

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/252

1968



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

D. MOSTWIN :

CZARNY OGIEŃ

P. HOSTOWIEC :

KŁOPOTY AWANGARDY

P. OLFENIUS :

WRAŻENIA Z POLSKI

G. J. FLEMMING :

ANTYPODY

APEL « KULTURY »

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Apel „Kultury”</i>	3
Danuta Mostwin:	<i>Czarny ogień</i>	5
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> ..	41
Czesław Miłosz:	<i>Zapiskane wczesnym rankiem</i>	54
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	56
Danuta Irena Bienkowska:	<i>O typowości</i>	65
—	<i>Demonstrator</i>	69

W I E R S Z E

Stanisław Kowalski:	<i>List do min. Kultury</i>	72
Stanisław Kowalski:	<i>List do starych komunistów</i>	74
Kazimierz Wierzyński:	<i>Nocna świeca</i>	77
Kazimierz Wierzyński:	<i>O co?</i>	78
Kazimierz Wierzyński:	<i>W czarnym kamieniu</i>	78
Kazimierz Wierzyński:	<i>Sen mara</i>	79

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	80
-------------	--------------------------------	----

K R A J

—	<i>Deklaracja ruchu studenckiego w Polsce</i>	87
Pierre Olfenius:	<i>Wrażenia z Polski</i>	91

SPRAWY I TROSKI

—	<i>Wywiad z min. Sneddenem</i>	96
George J. Flemming:	<i>Antypody (I)</i>	100

KRONIKA KULTURALNA

Józef Łobodowski:	<i>Po śmierci Małaniuka</i>	111
—	<i>Komunikaty</i>	129

K S I Ą Ż K I

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Realizm rosyjski</i>	131
Piotr Meynert:	<i>Widziane wprost</i>	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	147



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
------------	----------------------------------	-----



Ks. Bp Wł. Rubin, A. Cheiuk, M. Borwicz, P. Zaremba:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Październik - Octobre

1968

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

(W ODPOWIEDZI NA APEL)

Jerzy Agdan, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 24,50
Andrzej Bohomolec, Coleman, Alta (Kanada), po raz trzeci	F. 1350,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 98,00
Kazimierz Buterlewicz, Langdon Terrace, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 49,00
Anna M. Cienciała, Londyn	F. 25,00
Department of Slavic Languages and Literature, University of Toronto, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 630,00
Mieczysław Fridman, Bentleigh, Vic. (Australia)	F. 24,50
Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 450,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 63,00
Dr St. N. Korzeniowski, River Forest, Ill. (USA), po raz siedemnasty	F. 220,50
Czesław Lebelt, Berre l'Etang (Francja)	F. 10,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz dziesiąty	F. 122,50
J. Sobieniak, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 112,50
Józef Zielicki, Londyn	F. 98,00
A. i Wł. Żeleńscy, Paryż	F. 50,00
Bezimiennie, Lusaka (Zambia)	F. 24,50
Bezimiennie, New York	F. 14,50
Bezimiennie Paryż, po raz czwarty	F. 500,00
Bezimiennie, Trenton, N.Y. (USA)	F. 88,00

DZIĘKUJEMY!

Apel "Kultury"

Nasz poprzedni apel ogłosiliśmy w numerze czerwcowym-lipcowym Kultury. Zwróciliśmy się w nim do przyjaciół i czytelników, by dopomogli nam rozszerzyć naszą działalność. Punktem wyjścia naszego poprzedniego apelu były demonstracje studenckie w Polsce, które podcięty na krótko — zbyt krótko, niestety — „małą stabilizację” faszystowską Gomułki i Moczara. Odzew naszych przyjaciół i czytelników, jak o tym świadczy podana obok lista pierwszych wpłat, był znaczny.

Powtarzamy nasz apel w sytuacji, której dramatyczności nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Przeszło półmilionowa armia pięciu państw Paktu Warszawskiego najechała i okupowała Czechosłowację. Żołnierzom polskim narzucono nową haniebną rolę żandarmów, dławiących dążenia wolnościowe w bratnim kraju pod hasłem Za naszą niewolę i waszą. Nigdy jeszcze dobre imię Polski nie było na świecie tak zohydzane. Nie chodzi już teraz tylko o walkę z gomułkowsko-moczarowskim zamordyzmem serwowanym Polakom pod firmą „socjalizmu”, ale o to by Polak nie wstydził się że jest Polakiem.

Jesteśmy na Zachodzie w tej walce osamotnieni, nie możemy liczyć na nikogo z wyjątkiem podziemnych prądów w samej Rosji i w Europie środkowo-wschodniej. Powtarzana często przez Kulturę diagnoza polityczna okazała się na przykładzie Czechosłowacji tragicznie ścisła: rejon w którym żyjemy, i chcemy z godnością żyć jako ludzie wolni a równocześnie rozumiejący realia geopolityczne swego położenia, jest od Ameryki oddzielony przepaścią jałtańskiego podziału świata. Amerykanie i zachodni Europejczycy mogą nad tą przepaścią budować takie czy inne mosty, ale my musimy szukać prawdziwych sojuszników tam, gdzie ich rzeczywiście i na serio (choć chwilowo jeszcze wciąż potencjalnie)

posiadamy: w „demokracjach ludowych”, w Rosji i w podbitych przez nią krajach ZSSR. Łatwo przeciwstawić słabość miesięcznika wydawanego na emigracji potęgze rządów, wojsk i aparatów; ale łatwo też nie pamiętać że takich dzwonów, których uparty głos uderzał skutecznie w trwalsze twierdze i trony, było w przeszłości dużo.

Przykładem tego co rozumieliśmy i rozumiemy przez rozszerzenie działalności Kultury są nasze nowe inicjatywy wydawnicze. Wszyscy prenumeratorzy Kultury otrzymają bezpłatnie, niezależnie od bieżącego numeru październikowego, obszerny numer specjalny Kultury poświęcony w całości Czechosłowacji: ich dobrowolne wpłaty na fundusz Kultury będą dowodem, że czytelnicy docenili wagę naszego ogromnego wysiłku nadprogramowego. Przygotowujemy również Białą Księgę czechosłowacką, historię Czechosłowacji w opracowaniu Pawła Zaremby, polskie wydanie szkicu Sacharowa i bogaty wybór dokumentów Ukraina 1966-1968. Znaczenie polityczne wszystkich tych książek jest bezsporne, ale pokryć ich koszt może jedynie intensywna akcja sprzedaży znaczków Kultury wśród naszych przyjaciół i czytelników.

Przypominamy raz jeszcze, że ci wszyscy którym leży na sercu rozszerzenie działalności Kultury mają okazję dopomóc nam w wykazaniu jak duża — mimo odmiennych pozorów — może być jej siła.

REDAKCJA



Czarny ogień

„God gave Noah the rainbow sign,
No more water, the fire next time”.

(Z pieśni murzyńskiego niewolnika)

W roku 1848 oficjalny organ rządowy „Washington Union” zamieścił szereg ogłoszeń *of the slaves to be sold for the benefit of the Government**.

W roku 1968 ze zbudowanych na prędcie szałasów „Resurrection City” pochody Czarnych szturmują do drzwi Kapitolu domagając się swoich praw.

Gdy w lipcu 1776 roku Rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił, że „wszyscy ludzie są równi, że Stwórca obdarzył ich jednakowym prawem do życia, wolności i szczęścia”, pół miliona murzyńskich niewolników rozproszonych w Stanach Ameryki Północnej, zagęszczonych w zalewiskach ryżowych Georgii i plantacjach trzciny cukrowej w Mississipi, przywiązanych do plantacji bawełny Południa, czekających przez 157 lat na wyzwolenie, miało jeszcze przed sobą 87 lat niewolnictwa.

Albernathy, następca Martina L. Kinga, przywódcy liberalnej grupy murzyńskiej, który głosząc pokój, walkę bez gwałtu, sam zginął od kuli zamachowca w kwietniu 1968 roku, słusznie nazwał drewniane szałaszy wybudowane w samym sercu Waszyngtonu „Resurrection City”, gdyż to, czego jesteśmy świadkami jest obudzeniem się z długiego letargu czarnych obywateli Stanów. Jest w nich szybko wzrastająca duma z przynależności grupowej, jest młoda prężność, zuchwalstwo, poczucie własnej godności i siły.

* Niewolnicy na sprzedaż, z której dochód przeznaczony będzie na rzecz rządu.

Druga połowa dwudziestego wieku jest okresem masowych protestów i buntem człowieka przeciwko tym ograniczeniom, które nie pozwalają mu być sobą, albo takim jakim być pragnie. Jednostka zamknięta we własnych tylko granicach, traktowana jako część składowa maszynierii społecznej, instytucji czy fabryki, wyrwa się na ulicę protestując przeciwko obojętności, domagając się uznania i władzy za wszelką cenę. Widziana w tym układzie sprawa Murzynów amerykańskich jest tylko jeszcze jednym z aspektów ogólnego problemu światowego. Ma ona naturalnie swoje osobne korzenie, swój okres dojrzewania, tylko sobie właściwe dylematy i swój dynamiczny wybuch latem 1963 roku.

Zanim cofniemy się wstecz aż do roku 1619, kiedy to pierwsze transporty niewolników zawiązały do brzegów Ameryki Północnej, przyjrzyjmy się najpierw typowi amerykańskiego Murzyna z punktu widzenia antropologicznego. Nie jest to łatwe, gdyż Murzyn amerykański jest mieszańcem i do tego należy do jednej z trzech głównych odmian mieszanek rasowej. Pierwszym rozgałęzieniem jest typ mieszańca afrykańskiego, drugim połączenie krwi murzyńskiej z krwią amerykańskich Indian, trzecia to mulaci-Murzyni z domieszką białej krwi, zaszczipianej w nich przez długie lata niewoli, w której konkubinaty białego plantatora z kolorową kobietą był sprawą ogólnie znaną. Louis Wirth i Herbert Goldhamer omawiając cechy charakterystyczne Murzyna amerykańskiego stwierdzają na podstawie studiów ówczesnych obserwatorów, że w okresie niewolnictwa rzadko która lepiej wyglądająca Murzynka, a specjalnie mulatka, pozostawiona była w spokoju przez białych mężczyzn i że niewielu tylko białych młodych ludzi traciło swoje dziewictwo z białą kobietą.

Północna armia amerykańska, wyzwalając podczas Wojny Cywilnej uciemiężonych niewolnictwem Murzynów, zostawiła za sobą nie tylko zrujnowane Południe, ale i niezliczoną ilość białych genów wśród oswobodzonych Czarnych.

Współczesny, przeciętny Murzyn, jeśli porównamy go z przeciętnym białym, ma następujące odróżniające go cechy charakterystyczne: nieco dłuższą głowę, węższą i mniejszej pojemności czaszkowej, szerzej rozstawione oczy, szerszy nos, grubsze wargi, krótsze zewnętrzne ucho, krótszy nos i głębszą pojemność jamy nosowej, krótszy tułów, dłuższe kończyny, węższą i mniejszą miednicę, kręcone, albo wełniste włosy, więcej gruczołów potowych, bardziej wysuniętą dolną szczękę, zwykle ciemno-brązowe oczy, przeważnie czarne włosy i więcej skórniego pigmentu, którego ilość i odmiany różnią się znacznie.

Według białych Amerykanów do „rasy murzyńskiej” należy każdy, o którym wiadomo, że ma chociażby kroplę krwi murzyńskiej. Ta kropla krwi, a chociażby jej ślad tylko, zamyka mu drzwi

prowadzące do rasy białej chociażby skóra jego była bielsza od skóry wielu białych Amerykanów, oczy jasne, włosy proste, a kolor ich daleki od czarnego. Jeśli uda mu się utrzymać pochodzenie swego pradziadka czy też pra-pradziadka w tajemnicy — jest białym i wielu takich „Murzynów” przechodzi czy też uchodzi za białych.

Pismo amerykańskie z roku 1848 „Liberty Bell” tak pisze o ówczesnym handlu niewolnikami:

„Pośród wielu problemów Amerykańskiego Niewolnictwa najokrutniejszym jest handel niewolnikami. Nie orientujemy się w ilości niewolników przywożonych ze stanów, które hodują niewolników, ale wiadomo nam, że 40.000 zostało sprzedanych i wywiezionych z Virginii w ciągu jednego tylko roku. Najbardziej przykrym widokiem są aukcje niewolników gdzie kości, mięsa, krew sprzedawane są z taką samą obojętnością z jaką farmer sprzedaje konia albo owcę”.

Nie Amerykanie jednak przywieźli pierwszych niewolników z Afryki i nie oni, jak to się zwykle sądzi, rozpoczęli handel murzyńskimi niewolnikami. Było to na 50 lat przed odkryciem Kolumba, w roku 1441. Książę Henryk portugalski, o przydomku „Żeglarz”, wyprawił swoich dwóch kapitanów Antonio Gonçalvez i Nuno Tristan z misją zbadania zachodniego wybrzeża Afryki. Dwaj kapitanowie opłynęli wybrzeże Sahary i znad brzegów Złotej Rzeki przywieźli nieco złotego piasku i dziesięciu niewolników. Książę Henryk złoty piasek zatrzymał, niewolników natomiast wysłał w prezencie papieżowi Marcinowi Piątemu. Papież przyznał wtedy Portugalii suwerenność „nad wszystkimi krajami, które zostaną przez nią odkryte pomiędzy Cape Blanco i Indiami”. Pierwszy większy transport niewolników z Afryki dotarł do brzegów Portugalii 8 sierpnia 1444 roku. Oficjalny kronikarz portugalski, Gomez Eannes de Azurara, zanotował w swoim dzienniku:

„Wczesnym ranem przy wzrastającym upale marynarze zaczęli rozładowywać swoje cargo. Niewolnicy zgromadzeni razem na polu przedstawiali widok tak rozdzierająco smutny, że trudno się było nad nimi nie litować: niektórzy ze wzniesionymi do góry oczyma wydawali się błagać Stwórcę o zmiłowanie, inni w rozpacz rzucali się na ziemię, inni znów zawodzili żałobnie w im tylko znanym języku. Rozpacz ich pogłębiła się jeszcze, gdy marynarze zaczęli ich formować w pięć oddzielnych grup odrywając dzieci od rodziców, mężów od żon, i żadne więzy krwi ani przyjaźni nie zostały uszanowane. Trudno ich było rozdzielić, obejmowali się, żegnali, matki wrywały się do dzieci nie zwracając uwagi na razy zadawane im przez pilnujących ludzi, a tłum który zgromadził się, ażeby obserwować widok niecodzienny cisnął się i krzychał chociaż niektórzy wzruszali się do łez patrząc na to ludzkie nieszczęście. Wtedy przyjechał Infant i z wysokości swego wspaniałego konia spozjrzał na niewolników. Nie przyjął przypadającego mu

udziału 46 dusz, odrzucił je i pocieszył się tylko, że tylu pogan zostanie nawróconych na prawdziwą wiarę chrześcijańską”.

Pierwsi Murzyni w liczbie 20-tu wylądowali na brzegu amerykańskim w Jamestown, Virginia w roku 1619 i od tego czasu aż do roku 1808 import niewolników murzyńskich był ulegalizowany. Transporty niewolników przechodziły długą drogę często ze środka kraju, gdyż handlarze niewolnikami rozjeżdżali się tysiące mil na wszystkie strony afrykańskiego kontynentu, aż do zachodniego wybrzeża Afryki. Upychani w przeładowane *canoes*, podwożeni byli do czekających na nich okrętów, smagani biczami, popychani dzidami, musieli wspinać się po sznurowych drabinach na pokład. Okręty podwożyły ich do Indii Zachodnich na targi niewolników. Dopiero po pewnej aklimatyzacji i zaprawieniu w pracy na plantacjach, niewolnik przewożony był do miejsca przeznaczenia, między innymi i do kolonii angielskich w Ameryce. Ów słynny *middle passage*, droga pośrednia, którą odbywał niewolnik — drugi etap podróży, jest jednym z najbardziej krwawych dokumentów ludzkiego okrucieństwa. Zduszeni pod pokładem, mężczyźni oddzieleni byli od kobiet i powiązani parami wzdłuż przegubów rąk i poprzez kostki u nóg. Ci, których nie udało się powiązać łańcuchami układani byli, jak sardynki, parami, głowa jednego wzdłuż nóg drugiego niewolnika. Podróż taka trwała około 50 dni. Warto tu zatrzymać się i posłuchać relacji oficjalnego świadka, lekarza, któremu przypadło w udziale pełnić służbę na jednym z takich okrętów:

„Deszcze i wichry zmusiły załogę do zamknięcia i zatkania wszystkich otworów i wtedy jako rezultat braku dopływu powietrza wybuchły gorączki i biegunki pośród Murzynów. Zawód mój wymagał, abym często schodził na dół do ich pomieszczeń, ale były tak duszne i gorące, że mogłem tam wytrzymać zaledwie krótką chwilę. Nie tylko upały był niemożliwy do wytrzymania. Podłoga ich pomieszczeń była tak pokryta śluzem i krwią, że przypominała jatkę. Trudno wyobrazić sobie bardziej ohydną i przerażającą sytuację. Wielu z nich omdlewało, a wynoszeni na pokład umierali często, albo też już nigdy nie wracali do zdrowia”.

Kapitanowie okrętów z niewolnikami nie obchodzili się zbyt łaskawie ze swoim ludzkim cargo. Pierre de Vaissiere w książce *Saint Domingue* opisuje kapitana, który otruił cały swój ładunek niewolników, ponieważ wstrzymywany niesprzyjającymi wiatrami, nie miał dla nich dość żywności. Inny, zamordował swoich niewolników i ciałem zabitych towarzyszy karmił resztę Murzynów.

Ginęli od chorób, złego traktowania, popadali w melancholię, próbowali bronić się głodowymi strajkami, rzucali się na załogę w bezskutecznych powstaniach i buntach. A gdy wyprowadzano ich na pokład, raz na dzień, i biczami zmuszano do tańca, aby w ten sposób przełamać ich wzrastającą depresję, wyskakiwali za

burtę i znikali pod powierzchnią wody, tam tylko znajdując wolność.

Trudno jest określić ilu murzyńskich niewolników zginęło w czasie przewozu z zachodniego brzegu Afryki do Zachodnich Indii. W czasie jednego z takich transportów na 7.904 niewolników, 2.053 zmarło. Ci, którzy przeżyli, po dobieciu do portu w West Indies wystawiani byli na sprzedaż. C. R. James opisuje w swojej książce *Czarni Jakobini* sposób w jaki traktowani byli niewolnicy murzyńscy po zawinięciu do portu:

„Kupey niewolników badali przede wszystkim czy ich czarny towar nie ma jakichś defektów. Badali ich zęby, szczypali, wachali, próbowali nawet ich pot, aby stwierdzić czy krew niewolnika jest czysta i czy jego dobry wygląd nie kryje może jakichś utajonych chorób. Kobiety, zwłaszcza niektóre z nich, wzbudzały ciekawość i wtedy dopuszczano się ekscesów, na które koń zareagowałby wściekłym kopnięciem, a które niewolnica musiała milcząco znosić. Wreszcie handlarze, aby uzyskać utraconą przez obcowanie z niewolnikiem godność, pluli mu w twarz. Niewolnik stawał się własnością swego pana, gorące żelazo wypalało mu znaki po obu stronach piersi. Zjawiał się następnie tłumacz, który objaśniał niewolnika co do jego obowiązków, a później książd instruował go o pierwszych zasadach wiary chrześcijańskiej”.

Dwadzieścia lat po odkryciu Kolumba Murzyni afrykańscy transportowani przez hiszpańskich, portugalskich i duńskich handlarzy docierali zdziesiątkowani, wyczerpani i apatyczni na wyspy Morza Karaibskiego. W roku 1600 przeszło pół miliona murzyńskich niewolników rozproszonych było na zachodniej półkuli.

Historia Murzynów amerykańskich rozpoczyna się w sierpniu 1619 roku. Początkowo przyjmowani byli przez angielskie kolonie w Ameryce na tych samych prawach co i biali robotnicy. Przez długi czas nie istniało prawo, wprowadzające różnicę pomiędzy białą służbą z Anglii, a czarną z Afryki. Biali służący z Anglii byli to głównie tzw. *intended workers*, którzy zamiast odsiadywać w Anglii karę więzienia za długi, przewożeni byli do Ameryki, aby tu karę odrobić i uzyskać wolność. Zdarzało się więc nieraz, że w pierwszej połowie XVII wieku i murzyński niewolnik w Ameryce uzyskiwał wolność, naturalnie o ile przedtem przyjął chrześcijaństwo. Niewolnictwo Murzynów, jak głoszone w tym okresie, głównie aby uciszyć protesty przeciwko niewolnictwu, było tylko metodą nawracania pogan na prawdziwą wiarę i ratowaniem dusz przed potępieniem. Aż do roku 1660 kolonie angielskie i angielskie Indie Zachodnie przyznawały wolność Murzynowi natychmiast po przyjęciu chrztu. Tłumaczy to pewnie dlatego Murzyni tak chętnie garnęli się do chrześcijaństwa i dlatego raczej niechętnie właściciele niewolników dopuszczali do nich misjonarzy. Pierwszy stan Maryland zadeklarował w roku 1663, że niezależnie od przyjęcia chrztu, Murzyni są obowiązani

do służby *durante vita*, a w roku 1667 Virginia przeprowadziła ustawę na mocy której „Chrzeszt nie zapewniał wolności osobie związanej na całe życie ze swoim właścicielem, a to dlatego, aby panowie niewolników tym chętniej i bez obawy o ich utratę, mogli szerzyć prawdziwą wiarę”.

W roku 1776, około 500.000 murzyńskich niewolników pracowało w Stanach Zjednoczonych, przeważnie jako służba domowa. Co szósta osoba w kraju związana była wtedy niewolnictwem. Deklaracja Niepodległości, która w początkowym swoim brzmieniu oskarżała króla angielskiego „o chwywanie niewinnych i nieznanym mu ludzi, przewożenie na zachodnią półkulę i ograniczanie ich ludzkich praw niewolnictwem”, w ostatecznym wydaniu stwierdzała tylko, że „wszyscy ludzie są równi” wykluczając z tej równości Murzynów.

Traktowani jako dożywotnia służba, pozbawieni praw posiadania, zawierania jakiegokolwiek kontraktu, nawet kontraktu małżeńskiego, prawa zebrań publicznych, obrony w sądzie; zdani na łaskę białych z których każdy mógł ich zaatakować, każdy mógł im zagrozić, pozbawieni związków rodzinnych, własnych afrykańskich tradycji, własnej religii i języka, który przetrwał tylko w luźno zachowanych słowach i powiedzeniach, Murzyni amerykańscy u progu Rewolucji 1776 roku tworzyli osobną, szybko rozrastającą się grupę ludzi. Niewolnik nie liczył się nawet jako pełny człowiek, uznany był przez Kongres jako trzy piąte osoby przy określaniu ilości reprezentowanych osób z każdego stanu do Kongresu. Niektórzy w początkowym okresie niewolnictwa zastanawiali się poważnie czy Murzyn ma duszę. J. Utting przytacza wypowiedź jednego z Amerykanów, który we wczesnym okresie kolonialnym tak napisał:

„Wiem... że nasi nabożni i światli mężowie nie mogą zdecydować czy oni (Murzyni) mają duszę. I jeśli nie mają, powinni być przecież traktowani tak samo, jak zwierzęta. Pomimo to, żal mi ich”.

Wojna roku 1776, protest kolonii przeciwko zależności ekonomicznej od Anglii, była nowym etapem w historii Murzynów amerykańskich. Ponieważ Armia Kontynentalna nie chciała początkowo przyjmować Murzynów, zaczęli się oni masowo zaciągać do wojska brytyjskiego. W samym tylko roku 1778 30.000 niewolników uciekło z Virginii, aby zaciągnąć się w szeregi brytyjskie, które nie tylko, że przyjmowały ich chętnie, ale obiecywały i przyznawały wolność. Przerażony tym Kongres przeprowadził natychmiast ustawę, która pozwalała na przyjmowanie niewolników do wojska, a w zamian za służbę, gwarantowała wolność. Posypały się też tu i ówdzie w północnych stanach prawa eman-

cypacyjne Murzynów. Pod koniec Wojny Cywilnej 5.000 Murzynów w armii amerykańskiej uzyskało wolność.

Aż do roku 1808 Kongres bezskutecznie starał się o przeprowadzenie ustawy zabraniającej importu niewolników murzyńskich. Jeśli porównamy stan ówczesny z obecnym usiłowaniem zdeterminowanego prez. Johnsona i mniejszości Kongresu o przeprowadzenie kontroli nad handlem bronią i dodamy do tego psychikę Amerykanina sprzed 160 laty, przeprowadzenie Aktu 1808 roku nabierze innego znaczenia. Był to pierwszy krok w kierunku obalenia niewolnictwa. Anglia, która przez długi okres czasu była dla Stanów Zjednoczonych wzorem ustawodawstwa społecznego, i w tym o rok uprzedziła swoje dawne kolonie, deklarując w roku 1807, mimo silnej opozycji, handel niewolnikami jako nielegalny. Ustawę angielską przygotowała decyzja Lorda Mansfielda, który na 35 lat przed deklaracją ogłosił, jako Szef Sprawiedliwości, że „każdy niewolnik, którego stopa dotknie ziemi angielskiej stanie się automatycznie wolnym człowiekiem, tak jak i obywatel brytyjski”. W tymże roku 1752 15 tysięcy Murzynów uzyskało wolność w samej tylko Anglii, a pociągnięci obietnicą wolności Murzyni amerykańscy, którzy służyli w armii brytyjskiej na terenie Ameryki, zaczęli nadciągać na wyspę. Wspaniałomyślna Anglia znalazła się w kłopotcie. Gromady zubożałych wyzwolonych Murzynów wędrowały angielskimi drogami, gnieździły się po miastach, szukając pracy i żywności. Dr Henry Smeathman, przyrodnik, wpadł na pomysł repatriacji Murzynów do Afryki. Wybrano jeden z najgorszych zakątków pod słońcem, Sierra Leone, opisywane jako „Grobowiec Białego Człowieka”. Rząd brytyjski przystał na propozycję i 22 lutego 1787 roku z siedmiuset ochotników wybrano 351, których załadowano na trzy okręty: Vernin, Belisarius i Atlantic. Ażeby jednak dopełnić transakcji z podwójną dla siebie korzyścią Rząd brytyjski zdecydował się na jeszcze jedno posunięcie. Schwytano i spojono 60 białych „kobiet o wątpliwej moralności”, które włączyły się po ulicach miast i stanowiły niepożądany element dla państwa. Nieprzytomne kobiety zanieśiono na pokłady okrętów zdążających pod wodzą kapitana Marynarki J.K.M., Thomsona, do Sierra Leone. Niektórzy historycy podają, że jeszcze przed uzyskaniem przytomności kobiety te zostały poświęcone Murzynom-repatriantom. Żadna z nich jednak nie wytrzymała klimatu „Grobowca Białego Człowieka”.

Wróćmy do Wolnej Ziemi Waszyngtona, gdzie Akt 1808 roku mimo szlachetnych pobudek nie poprawił sytuacji murzyńskiej. Nawet ci, którym udało się uzyskać wolność w kilku stanach północnych i którym powiodło się materialnie, prześladowani byli przez białych. Na Północy nie wszędzie mogli się osiedlać swobodnie, na Południu nie wolno im było zmieniać miejsca zamiesz-

kania. Oddzieleni od białych i od tych czarnych, którzy nie zostali uwolnieni, żyli w nieustannej obawie, że za łada przewinienie lub nieostrożny krok w stosunku do białego zostaną z powrotem wtrąceni w niewolnictwo. Już w 1829 roku w Cincinnati biali mieszkańcy napadli na dzielnicę murzyńską zwaną „Małą Afryką” palili, niszczyli, mordowali tak, że połowa przerażonych kolorowych w popłochu opuściła miasto.

Wstrzymanie handlu niewolnikami (importu niewolników), których cena na początku XIX wieku wynosiła 600 dolarów za głowę, nie powstrzymała nielegalnego ich przemytu, skierowała jednak politykę właścicieli niewolników z systemu konsumpcyjnego na konserwujący. Obojętny dotychczas właściciel zaczął zwracać uwagę na stan fizyczny niewolnika. Ta zmiana traktowania odbiła się natychmiast w gwałtownym przyroście naturalnym niewolników, tak że pomiędzy rokiem 1800 a 1820 liczba ich z miliona podniosła się do jednego i trzy czwarte miliona. Rok 1820 stał się jednym z punktów zwrotnych w ekonomii amerykańskiego Południa i w historii amerykańskiego niewolnictwa. Zbiór bawełny podskoczył w tym roku z 8.000 na 65.000 bali. Ten nadzwyczajny urodzaj i rosnące zapotrzebowanie na bawełnę wpłynęły na politykę południowych plantatorów. Murzyn był nieocenioną, bezpłatną siłą roboczą na plantacjach bawełny, należało ją pomnożyć i utrzymać w stanie ograniczonego umysłowego rozwoju, aby Murzyn pozostał „na właściwym sobie miejscu” i nie miał sił, czasu, ani warunków na bunt. Ustawodawstwo południowe z łatwością wprowadziło klauzule zabraniające uczenia Murzynów czytania i pisania, nie pozwalające na ich wspólne nabożeństwa i ograniczające ich najbardziej zasadnicze ludzkie prawa. Czyżby Południe zapomniało o Konstytucji i o Deklaracji głoszącej, że „wszyscy ludzie są równi”? Potomkowie rewolucjonistów i emigrantów, którzy nieraz uciekali od prawa, nie mieli i pewnie wciąż nie mają dla niego należytego szacunku.

— Amerykańskie prawo — pisze Gunnar Myrdal — często zawiera ustawy, które nie są wprowadzane w życie, a jedynie wyrażają nadzieje, pragnienia, albo marzenia ustawodawców. Cechą kultury amerykańskiej jest stosunkowo słaby szacunek dla prawa i porządku. Każde prawo oceniane jest przez pojedynczego obywatela według jego własnej koncepcji... sam decyduje czy prawo wydaje mu się „słuszne” czy też „niesprawiedliwe” i jeśli ocenia je jako „niesprawiedliwe”, czuje się najzupełniej czysty we własnym sumieniu, aby je omijać.

Południowi plantatorzy obeszlą prawo „równości człowieka” w sposób, który był dla nich i ich mnożących się majątków, wygodny. Aby jednak uzasadnić swoje postępowanie zaczęli tworzyć teorie niższości rasowej Murzynów.

W. E. B. Du Bois, socjolog, Murzyn, były profesor uniwersytetu w Atlanta, przytacza wypowiedzenia „Starego Południa” na temat Murzynów:

„... jest naszym najszczerzym przekonaniem, że gdzieś pomiędzy człowiekiem i bydlęciem Bóg stworzył śmieszna kreaturkę, którą nazwał Negro. Czasem wydaje się nam się ona nawet miła w swoim ograniczeniu... niektórzy z nich, przy korzystnych warunkach, mogliby stać się ludźmi, ale w obronie własnej nie możemy im na to pozwolić i dlatego musimy wokół nich wznosić ograniczające ich ściany...”

Murzyn, głosiły teorie Południa, jest potomkiem Hama, na zawsze wyklętego przez Boga syna Noe’go. Poganin, barbarzyńca, skazany jest na wieczne służenie innym, aby pokutować za swój grzech. Pogardzany, przytłoczony pracą, wykorzystywany, Murzyn nie zawsze pozostawał biernym i nie brak wzmianek o powstaniach i buntach Murzynów z których jeden — w roku 1712 — sparaliżował niemal i przeraził Nowy Jork. Były to jednak wybuchy sporadyczne, poronione i najczęściej, na początku XIX wieku, murzyńscy niewolnicy z Południa szukali wyzwolenia w ucieczce. Uciekali czterema głównymi szlakami: Pierwszy wiodł na południe z portu Norfolk w Virginii, skąd wzdłuż oceanu i poprzez bagna przedostawali się do Północnej Florydy, aż do osiedli Indian, którzy ich tam przyjmowali i ukrywali. Pewniejszym szlakiem był łańcuch gór Appalachian skąd droga wiodła na północ. Trzeci szlak prowadził przez góry Cumberland w których wapienne pieczary dawały uciekinierom schronienie. Czwarty, poprzez dolinę rzeki Mississipi.

Już od roku 1831 zaczęły się formować radykalne grupy tzw. *Abolitionists*, ludzi którzy tym różnili się od osób przeciwnych niewolnictwu, że domagali się wyzwolenia natychmiast. Protest ich domagający się ustaw społecznych natychmiast, TERAZ, przypomina obecne hasła wypisywane na transparentach i wykrzykiwane miarowo w roku 1968 przez młodzież nie tylko murzyńską: *Freedom NOW!*

Abolitionists pomagali uciekającym Murzynom, szmuglowali ich tzw. „Podziemnymi Pociągami” do Kanady, walczyli otwarcie przeciwko ustawodawstwu ograniczającemu wolność Murzynów. Do historii Ameryki przeszedł John Brown, zwany Starym Brownem z Osawatomie. Popierany i finansowany przez Abolicjonistów, Brown wraz ze swoimi synami i małą grupą uzbrojonych ludzi osłaniał ucieczkę murzyńskich niewolników w górach Virginii. Otoczony przez oddziały pułkownika Roberta Lee, Brown został schwytany, dwaj jego synowie zabici, a on sam powieszony w Virginii 2 grudnia, 1859 roku.

Zwalczani przez Południe, hamowani przez Północ, *Abolitio-*

nists, zdołali jednak tak rozdmuchać sprawę niewolnictwa, że stała się ona zagadnieniem narodowym i co więcej, przekonała obywateli na Północy, że Wojna Cywilna wybuchła głównie w obronie praw Murzynów. W zasadzie emancypacja Murzynów przeprowadzona proklamacją z roku 1863 była tylko jednym z dodatkowych motywów Wojny Cywilnej. Jej zasadniczym powodem była wzrastająca siła ekonomiczna Południa. W roku 1850 zbiór bawełny doszedł do ćwierć miliona bali, a w roku 1860 spodziewano się 4 milionów bali bawełny. Wzbogacone Południe projektowało stworzenie monopolu rolniczego opartego o pracę niewolniczą i poprzez stworzenie własnego przemysłu, usamodzielnienie się od kapitału i wpływów Północy.

„Emancypacja — stwierdza W. E. B. Du Bois — była tylko taktyką wojenną, aby złamać siłę Konfederatów, ochronić Związki i uzyskać sympatię cywilizowanego świata”.

Rząd Stanów Zjednoczonych wbrew przekonaniom większości społeczeństwa zniósł niewolnictwo i po zakończeniu Wojny Cywilnej stanął przed faktem, z którym nie bardzo umiał sobie dać radę. Z jednej strony niezadowolenie zrujnowanego Południa, któremu Rząd nie wypłacił rekompensaty, zabierając darmowego pracownika i niszcząc plantację. Z drugiej strony, na Północy, wzrastająca niechęć do Murzynów białego robotnika, któremu Murzyn groził współzawodnictwem, przyjmując niższą zapłatę za pracę.

Kiedy w roku 1833 Anglia obaliła niewolnictwo, Parlament Brytyjski wypłacił właścicielom niewolników 20.000.000 funtów w rekompensacie. Nawet biskup z Exeter chętnie uwolnił 655 niewolników, aby zainkasować 12.729 funtów, 4 szylingi i 4 peny.

Yankesi nie mieli ani pieniędzy, ani ochoty aby płacić obywatelom Dixie za uwolnionych Murzynów. Aby jednak zabezpieczyć prawa wyzwolenców, których Południe nie chciało uznać, i utrzymać pod kontrolą buntujących się Południowców Rząd, ustawą z roku 1867, rozpoczął okres tzw. Rekonstrukcji. Była to właściwie kilka lat trwająca okupacja Południa przez wojska federalne i północnych urzędników, „Dyktatura Proletariatu” włączając w to naturalnie oswobodzonych Murzynów, którzy w wielu stanach południowych licznie przewyższali białych. Całe rzesze niewykształconych Murzynów, upojone nowoodzyskaną wolnością, prowadzone przeważnie przez nieraz bezwzględnych awanturników z Północy, cisnęły się do urzędów, płądowały plantacje dawnych swoich właścicieli, wznicały terror i chęć odwetu. Wtedy to powstał Ku-Klux-Klan i Towarzystwo Rycerzy Białej Kamelii — organizacje, których celem było kontrola nad Murzynami, niszczenie ich oraz prowokatorów i urzędników z Północy i przywrócenie dawnych rządów południowych.

Pamięć o zgrozie i okropnościach okresu Rekonstrukcji, rządów byłych niewolników i znienawidzonych *carpetbaggers* z Północy, które odsunęły białych od udziału w administracji Południa, przetrwała do dziś.

Niewątpliwie okres ten miał i swoje dodatnie cechy. Krótkie rządy Murzynów, z których spora grupa była wykształcona w amerykańskich *college*'ach wprowadziła wiele demokratycznych ustaw, jak np. darmowe szkoły publiczne, pomoc państwową dla ubogich, przyznanie funduszy państwowych na budowę kolejnictwa. Murzyni zasiedli w urzędach stanowych, dwóch z nich w senacie, jeden był nawet gubernatorem Luizjany, chociaż tylko przez 40 dni. Stratowane wojną, nieprzygotowane do rewolucji społecznej Południe, niszczone jeszcze ignorancją i nieraz nieuczciwością północnych urzędników, pozbawione swego lepszego elementu zdziesiątkowanego wojną, dostało się w ręce nowych kapitalistów z Północy. Ci nowi liderzy sprowokowali układ z Północą, na mocy której w roku 1876 Rząd Federalny rozwiązywał „Dyktaturę Proletariatu”, dawał wolną rękę nowoobranym władzom Południa w postępowaniu z Murzynami z tym tylko, aby powierzchowne formy prawne zostały zachowane i zapewnił sobie jednocześnie monopol przemysłu północnego na terenach południowych. Tak zakończył się krótkotrwały okres Rekonstrukcji i wolności prawnej Murzynom na terenie Stanów Południowych.

Przyznanie prawa głosu Murzynom i zrównanie ich z białymi były najgorszym upokorzeniem dla Południa. Północny Amerykanin nie może tego zrozumieć. Yankesi nie czując nawet specjalnej sympatii do Murzynów, nie odmawiali im jednak w zasadzie prawa głosu. Południowcy przez długie lata utrzymywali Murzynów w zależności od siebie, ubierali ich, żywili i nieraz lubili, nigdy jednak nie mogli pogodzić się z tym, że Murzyn może mieć takie same prawa, jak oni.

Szeregiem ustaw i ograniczeń odsunięto Murzynów od prawa głosu na Południu: wymagano umiejętności czytania i pisania, interpretowania konstytucji, wprowadzono klauzulę, że ten tylko może głosować, którego dziadek miał już prawo głosu, zmieniano miejsca publicznych głosowań bez zawiadomienia o tym Murzynów, itd. W roku 1896 w stanie Luizjana zarejestrowanych było 130.344 Murzynów, w roku 1900 tylko 5.320 Murzynów w tym samym stanie przystąpiło do głosowania. W ślad za tym przyszły inne ograniczenia.

Chociaż Kongres Stanów Zjednoczonych miał niewątpliwie szczerą intencję przeprowadzenia równości społecznej dla Murzynów i aktem z 1875 roku, tzw. *Civil Rights Bill*, ogłosił, że wszyscy obywatele państwa są uprawnieni do korzystania z udogodnień publicznych: szkół, teatrów, restauracji, parków, miejsc

rozrywkowych, to jednak już po niecałych 8 latach, bo w roku 1883 Sąd Najwyższy zmodyfikował dawne prawo ogłaszając je „niezgodnym z konstytucją” jeśli chodzi o zastosowanie go do osób prywatnych, prywatnych miejsc rozrywkowych i instytucji.

Południowcy przeprowadzili swoje własne ustawy, głoszące że w zasadzie Murzyni uprawnieni są do korzystania z takich samych udogodnień co i biali, jednak udogodnienia te, chociaż równe, powinny być oddzielne. Był to łańcuch tzw. *Jim Crow* praw, wspomnianych z goryczą przez Murzynów w czasie obecnym.

Emancypacja przyniosła Murzynom wolność fizyczną, ale społecznie, psychologicznie, politycznie, ekonomicznie i intelektualnie pozostali na długo w niewoli. Południe nie kryło się ze swymi uczuciami i dyskryminacja była tam sprawą otwartą. Północ, chociaż postępową, niechętną była emancypacji Murzynów. Na Północy niechęć ta wypływała z obawy białego robotnika, że napływający z Południa czarni godzący się na niższe stawki płacy, rywalizować będą z nimi ekonomicznie. Awantury wybuchły już w roku 1862 w Cincinnati gdzie Irlandczycy i Murzyni ubiegali się o pracę przy żegludze. Zamieszki przeszły przez Newark, New Jersey, Buffalo i Nowy Jork. Najbardziej gwałtowny *riot* wybuchł w tym czasie w Nowym Jorku w roku 1863 i trwał 3 dni; był buntiem irlandzkich emigrantów początkowo przeciwko zaciąganiu ich do wojska, obrócił się później przeciwko Murzynom. *Mob* rzucił się na dzielnicę murzyńską palił, niszczył, zabijał, przerażona policja nie mogła zapanować nad sytuacją i dopiero przysłane wojsko wprowadziło porządek.

Ten rys historyczny, chociaż niepełny i powierzchowny, jest jednak niezbędny dla lepszego zrozumienia sytuacji Murzynów we współczesnej Ameryce. Ażeby to zrozumienie pogłębić, należy jeszcze odpowiedzieć na pytanie dlaczego w Stanach Zjednoczonych, uważanych zwykle przez Europejczyka za kraj bogaty, prawie 29 milionów osób, a więc przeszło 15 procent narodu, żyje w ubóstwie. Według oficjalnych danych rodzina amerykańska złożona z czterech osób, której roczny dochód wynosi poniżej 3.335 dolarów rocznie, określana jest jako uboga. Dochód ten nie pozwala na zabezpieczenie najniezbędniejszych potrzeb życiowych. Na prawie 22 miliony Murzynów w Stanach Zjednoczonych przeszło 9 milionów to ludzie żyjący w skrajnym ubóstwie. Dlaczego? W kraju milionowych fortun, najwyższej stopy życiowej, w kraju, który może sobie pozwolić na pomoc zagraniczną wydaje się to paradoksem.

Aż do Drugiej Wojny Światowej większość ludności murzyńskiej koncentrowała się na Południu. Było to już nie zasobne Południe sprzed Wojny Cywilnej, ale na ogół biedne, ekonomicznie niedorozwinięte tereny. Murzyni zatrudnieni byli głównie na plan-

tacjach, tylko niewielu z nich posiadało własne, małe, źle wyposażone farmy, pozwalające na wegetację, ale nie na dochód. Zaraza bawełniana roku 1910 zrujnowała do reszty i tragicznie podupadłe już plantacje południowe. Farmy i plantacje zostały w wielu miejscach opuszczone, a robotnik murzyński pozbawiony pracy. W południowo-zachodnich Stanach, których nie dotknęła zaraza bawełniana i do których migrował robotnik rolny, praca była dużo bardziej zmechanizowana. Maszyny rolnicze, traktory, motorowe traki zaczęły wypierać niewykwalifikowanego robotnika. Wszędzie tam gdzie praca stała się mniej ciężka, mniej brudna, albo mniej ryzykowna, biali zastępowali czarnego. Zwalniani jako pierwszy, przyjmowany ostatni, niewykwalifikowany, ograniczony, często przerażony, woląc usuwać się z drogi białemu, Murzyn żył z dnia na dzień, tracił zaufanie do swoich możliwości, wstydił się koloru swojej skóry, swoich wełnistych włosów i jedyne pocieszenie i wyładowanie znajdował albo w religii, albo — jak to się najczęściej zdarza w gettach miejskich — w alkoholu i przestępcstwie.

„Granice twoich ambicji były już zakreślone dla ciebie w chwili gdyś się urodził” — pisze James Baldwin. — „Urodziłeś się w społeczeństwie, które z brutalną oczywistością i możliwie na każdym kroku wmawiało ci, że jesteś bezwartościową istotą ludzką. Nikt nie spodziewał się, że kiedykolwiek osiągniesz doskonałości: spodziewano się tylko, że zadowolili cię mierność”.

Brak poczucia własnej godności, brak wiary w lepsze jutro, niepewność, podwójny standart w stosunku do białych i Murzynów w sądach, w szpitalnictwie, nieraz w przyznawaniu opieki społecznej, stosunek policji, która protegowała białych, ignorancja Murzynów, dorywcze, słabo płatne zarobki, nadmierny przyrost naturalny obciążający rodzinę kilkanaściorciem dzieci i przedziwna ślepotą społeczeństwa, które dopiero w połowie dwudziestego wieku zaczęło „odkrywać” biedę we własnym kraju — oto jedno z najważniejszych powodów biedy murzyńskiej. Nie obwiniajmy jednak wyłącznie Stanów Zjednoczonych. Wystarczy przyjrzeć się historii Europy, aby z łatwością wynaleźć przykłady nierówności społecznej. Winę tu ponosi całe społeczeństwo świata, a sprawa murzyńska w Ameryce jest jednym z jaskrawych przykładów, tym bardziej wyrazistych, że w grę wchodzi kolor czarno-biały.

Pierwszym bohaterem narodowym murzyńskim był Booker T. Washington. Działalność jego przypomina nieco ruch pozytywistyczny w Polsce. Urodzony w niewoli i najsłabszym ubóstwie — jego łóżko było kłębem starych gałganów, Washington wspomagany przez białych południowych liberałów zdobył dość wykształcenia, aby stanąć na czele murzyńskiej instytucji naukowej na Południu, Tuskegee Institute. Nędzną szkołę, mieszczącą zaledwie 46 studentów, rozwinął w początkach XX wieku do

wyższej uczelni dla prawie półtora tysiąca studentów. Washington nie domagał się równości politycznej dla Murzynów, starał się podnieść ich ekonomicznie i naukowo. „Możemy być tak rozdzieleni, jak palce jednej ręki” — mówił Booker T. Washington — „i pracować tak efektywnie i razem, jak jedna ręka”. Tuskegee Institute zapoczątkował łańcuch wyższych uczelni dla Murzynów, które zaczęły produkować inteligencję murzyńską i murzyńskich nauczycieli.

Tymczasem już od roku 1915 rozpoczęła się wielka migracja murzyńska najpierw z ośrodków wiejskich na Południu do miast południowych, później coraz dalej, do miast północnych i zachodnich. Gdy w roku 1910 tylko 800.000, czyli 9 procent, Murzynów mieszkało na Północy, w roku 1967, 10 milionów — a więc 45 procent całej ludności murzyńskiej — mieszka w północnych albo zachodnich Stanach. Jednym z głównych powodów migracji murzyńskiej, która nie ustaje i obecnie, jest ogromny przyrost naturalny. Od roku 1940 do 1960 przyrost naturalny białych wzrósł o 34 procent, a Murzynów o 46,6 procent. Od roku 1960 do 1966 biali podnieśli liczbę urodzin o 7,4 procent, Murzyni zaś dwukrotnie, bo o 14,4 procent. Ameryka stoi przed problemem rosnącej siły murzyńskiej.

Spójrzmy teraz na ośrodki miejskie, a specjalnie na getto murzyńskie, które w ostatnich latach stało się miejscem krwawych niepokojów i gdzie wybuchł długo tamowany czarny ogień.

Gdy kilka tygodni temu wysiadłam przypadkowo z kolejki podziemnej na 114 ulicy, kilkanaście bloków na zachód od Columbia University, i zbliżyłam się do dwóch białych policjantów na rogu pytając, jak mogę dojść do uniwersytetu, powiedzieli mi:

— Łap szybko taksówkę i uciekaj stąd, tak bezpieczniej!

Pamiętam, że w zimie 1967 roku znów wysiadając „w nieodpowiednim miejscu” z kolejki znalazłam się w centrum Harlemu. Po kilku minutach zorientowałam się, że jestem jedynym białym człowiekiem i że dziesiątki ciemnych oczu przyglądają mi się ze zdziwieniem i wrogością.

Podeszłam do białego listonosza, który wysiadł z samochodu i spytałam go w jaki sposób mogę sobie skrócić drogę do uniwersytetu przez park. „Na miłość boską — powiedział — niech pani natychmiast wsiada do autobusu, nie wolno przechodzić przez ten park, nie możemy ręczyć za niczyje bezpieczeństwo”.

Dziesięć lat temu mogłam jeszcze w Baltimore, jako *social worker*, chodzić swobodnie po dzielnicy murzyńskiej, schodzić do piwnic gdzie mieszkali moi klienci, wspinać się po rachitycznych schodach „slumsów”, i poza zamkniętymi drzwiami bez uczucia lęku rozmawiać z Murzynami, przyglądać się ich życiu i starać się im pomóc. Jeśli byli mi wrodozy, nie wyczuwałam tej

wrogości. Dziś nie miałabym już na to odwagi. Klimat murzyńskiego getta zmienił się. I chociaż nigdy nie czułam i nie czuję najmniejszego uprzedzenia do czarnej rasy, przeciwnie sympatię i współczucie, przejęłam w siebie lęk białych. Kiedy dziesięć lat temu szłam ulicą Waszyngtonu w towarzystwie moich murzyńskich kolegów, zatrzymał nas biały mężczyzna: *You liberal!* — powiedział wzgardliwie. Nie rozumiałam wtedy pełni znaczenia tych słów, ale wyczułam nieprzyjemne napięcie w ciszy jaką zareagowali na to moi towarzysze. W tym samym czasie, pracując w departamencie opieki społecznej, miałam jako bezpośredniego zwierzchnika Murzynkę. Ta wykształcona osoba z dyplomem magisterskim z jednego z lepszych uniwersytetów amerykańskich była mi raczej niechętna. Zapytała mnie pewnego dnia patrząc na mnie wyzywająco: Jak wyglądała sprawa murzyńska i traktowanie Murzynów w Polsce? Nie uwierzyła mi kiedy starałam jej się wytłumaczyć, że sprawy murzyńskiej w Polsce nie było. Nawet te moje koleżanki czy koledzy Murzyni z którymi wydawało mi się że potrafię rozmawiać szczerze na wszystkie tematy, milkli i odsuwali się kiedy starałam się z nimi poruszyć sprawę powstających narodów afrykańskich. Jest coś przerażającego w tej rozgraniczającej białą-czarnej linii. Ta groza wisi nad czarnym gettem i lęk ten stał się udziałem całego amerykańskiego społeczeństwa.

Murzyni amerykańscy tworzą trzy społecznie nierówne grupy. Pierwsza i najmniejsza liczebnie jest to odpowiednik średniej i wyższej klasy białej. Są to ludzie, którzy zdobyli sobie zawody i dobrze płatne posady, mają własne domy i posyłają dzieci swoje do wyższych szkół. Druga większa grupa jest względnie ekonomicznie usytuowana z tym, że dochód rodziny wynosi więcej niż określone minimum \$ 3.300. Są oni niezależni, ale nie posiadają wykształcenia poza kilkoma latami szkoły podstawowej. Trzecia, najliczniejsza grupa jest i niewykształcona i ekonomicznie upośledzona. Ta trzecia grupa i niektórzy z drugiej grupy zamieszkują getta. Centralnym problemem murzyńskiego getta jest bezrobocie, wysokie ceny złych, często zaszczurzonych i zarobaczonych mieszkań, wyższe ceny żywności dyktowane przez białych właścicieli sklepików, nieustanne zadłużenie u sklepikarza, u domokrażnego handlarza, sprzedającego wszystko na raty i liczącego sobie za to wysoki procent. Rodziny są liczne i bardzo często głową rodziny jest pracująca matka, ponieważ ojciec i mąż albo nie mogą dostać pracy, albo po prostu opuszczają rodziny nie mogąc znieść ciężaru odpowiedzialności. Młodzież jest cyniczna, nie wierzy, że uczciwy wysiłek przyniesie rezultaty, uważa że powodzenie osiągnąć można raczej przez eksploatację innych i nielegalne manipulacje. Niskie i niestale zarobki oraz bezrobocie pociągają za sobą inne problemy społeczne: nieślubne dzieci, narkotyki, których centrem jest

nowojorski Harlem. W roku 1966 oficjalne statystyki podają, że w Stanach Zjednoczonych znajduje się 59.720 narkomanów (z tych których udało się zlokalizować), i że wśród nich 50 procent stanowią Murzyni. Dodajmy do tego przestępczość młodzieżową, zależność od niewystarczających zasiłków społecznych, niższy poziom szkół, wyższy procent chorób, z których choroby weneryczne są specjalną plagą getta murzyńskiego, zdeorganizowane rodziny i stale rosnące zagęszczenie poprzez napływającą z Południa biedotę. Niepewność jutra i niepewność nocy jest zmorą murzyńskiego getta. W złe umeblowanych, podziurawionych, podgniłych, źle ogrzewanych zimą a rozpalonych latem pomieszczeniach — ekrany telewizji pokazują „prawdziwe życie”, do którego Murzyn wie, że nigdy nie będzie miał dostępu nie dlatego tylko że jest biedny, bo mit chłopca czyszczącego buty, który stał się milionerem nie zbladł zupełnie jeszcze w Ameryce, ale dlatego tylko, że ma czarną skórę. Więcej niż ubóstwo, które dzieli z białymi, boli Murzynów dyskryminacja rasowa.

Jakże długo przechowujemy w sobie urazy zadane nam w dzieciństwie. Dorosły człowiek broni się albo odwetem, albo zaćśnięciem zębów, dziecko zachowuje pamięć upokorzenia przyrzekając zemstę później.

— Miałem trzynaście lat — pisze James Baldwin — przechodziłem wtedy Piątą Avenue przy Czterdziestej Drugiej ulicy gdzie znajduje się Główna Nowojorska Biblioteka. Szedłem do biblioteki. Przy przechodzeniu jezdni pochylił się nade mną pilnujący ruchu policjant: „Ty czarnuchu dlaczego się włóczysz po mieście, dlaczego nie siedzisz tam gdzie należysz?”

Podobno Elijah Muhammad, przywódca czarnych Muzułmanów w Ameryce, którzy głoszą, że Bóg jest czarny, a każdy żyjący na ziemi biały — diabłem skazanym na potępienie — był jako sześćioletnie dziecko świadkiem linczu swego ojca.

„Jeśli szedłeś do sklepów z matką albo z ojcem” — pisze Martin L. King — „wolno ci było kupować przy wszystkich kontuarach, z wyjątkiem tylko jednego. Jeśli byłeś głodny albo spragniony wtedy, należało o tym zapomnieć aż póki nie znalazłeś się w domu w murzyńskiej dzielnicy miasta, bo w twoim mieście podawanie żywności Murzynom przy tym samym kontuarze, co białym — było przestępstwem”.

„Wracaliśmy z wojny do domu” — wspomina James Baldwin. — „Dom! Samo to słowo tylko ma diaboliczny, przygnębiający dźwięk. Pomyśl co się dzieje z człowiekiem który po wszystkim co przecierpiał na wojnie wraca do domu i zaczyna wędrówkę za pracą, za miejscem do życia, który jeździ segregowanymi autobusami, a przed oczyma migają mu napisy: 'Dla Białych', 'Dla Kolorowych', albo znaki: 'Białe Damy' i 'Kolorowe Kobiety'. Patrzysz w oczy swojej żony i swego syna i słuchasz przemówień pónocnych i pónudniowych polityków, którzy każą ci spokojnie czekać. Czeaka!

Murzyni przestali czekać, zadawałać się obietnicami zmian.

Atakują słowem i presją tak, jak King i jego następcy, i ogniem, którym objętych zostało wiele miast amerykańskich w roku 1967 i 1968. *Riot* i *Violence* stały się popularnymi terminami w Stanach Zjednoczonych. Nie są to jednak ani wydarzenia ani terminy nowe. Tylko podczas gdy w przeszłości atakowali biali, teraz zaczynają atakować Murzyni. Zanim przyjrzymy się bliżej sytuacji ostatnich wydarzeń murzyńskich w Stanach, warto chociażby po krótko zanalizować istotę ulicznych rozruchów-*riots*.

Tak, jak lincz, który jest jednostronnym wymiarem kary i charakterystycznym zjawiskiem wiejskim i małych miasteczek południowych, tak *riot* jest właściwy miastu.

Lincz jest to morderstwo jednego człowieka, bez uprzedniego sądu, wykonane przez podniecony *mob* otwarcie, albo też przez grupę mężczyzn, jak Ku-Klux-Klan w ukryciu i z odpowiednimi ceremoniami. Wielu było okrutnych „Lynczów” od których nazwiska „Lynch” można wywodzić pochodzenie terminu. Przyjmuje się jednak, że związane jest ono z nazwiskiem Charles Lynch’a oficera amerykańskiego, wysokiego urzędnika państwowego i sędziego w Virginii pod koniec XVIII wieku, który skazywał obywateli sympatyzujących z Brytyjczykami na chłosty i kary bez uprzedniego procesu sądowego. Pomiędzy rokiem 1882 a 1946, 4.715 Amerykanów zostało zlinczowanych przy czym trzy czwarte z nich — to Murzyni.

Riot jest walką otwartą, uliczną w której zwykle zaatakowani Murzyni, chociaż słabsi liczbowo, występowali w odwecie. Gunnar Myrdal w swojej książce *American Dilemma*, opublikowanej w roku 1944, tak określa istotę *riot*:

„*Riot* jest najbardziej krańcową formą zbiorowego gwałtu, stosowanego do powstrzymania Murzynów przed uzyskaniem sprawiedliwości... W ostatnich latach *riot* stał się tak niepopularny, jak lincz”.

Sprawa murzyńska jest problemem tak dynamicznym, że nie tylko to co zostało napisane w roku 1944, ale i rzeczy wczorajsze przestają być aktualne. Dopiero wczoraj rano pisałam o wykorzystywaniu ekonomicznym Murzynów w gettach i wyższych cenach żywnościowych dyktowanych przez białych właścicieli sklepów, a już tego samego dnia wieczorem telewizja przyniosła informacje i film z Harlemu, gdzie Murzyni otworzyli własną, pierwszą spółdzielnię. Wracają „zapomniane” prawa z roku 1886 i Sąd Najwyższy dekretem z dnia 17 czerwca 1968 ogłasza, że: „Wszyscy obywatele Stanów Zjednoczonych będą mieli te same prawa, w każdym stanie i na każdym terytorium (dotychczas mieli je tylko biali obywatele) w wydzierżawianiu, kupnie i sprzedaży nieruchomości”.

Gunnar Myrdal, którego książka uważana jest za klasyczne dzieło dotyczące problemów murzyńskich w Stanach Zjednoczonych, nie przewidział, że *riot* stanie się znów popularny. Aby zrozumieć lepiej wydarzenia ostatniego pięciolecia i różnice jakie zaszły w charakterze rozruchów rasowych, cofnijmy się raz jeszcze do początków XX wieku. Najbardziej krwawe — aż do roku 1943 — były rozruchy w East St. Louis, w lecie 1917 roku.

Położone na południu stanu Illinois, na brzegu rzeki Mississipi, Wschodnie St. Louis jest brzydkim odpryskiem, dzielnicą przemysłową i robotniczą wielkiego St. Louis, przecinane licznymi krzyżującymi się tu liniami kolejowymi transportującymi węgiel z trzystu pobliskich kopalni.

Aż do Pierwszej Wojny Światowej niewiele mówiło się tu o Murzynach, uważani byli za problem Południa i nawet potrącenie się ludności murzyńskiej w East St. Louis w pierwszym dziesięcioleciu dwudziestego wieku, nie zwróciło specjalnej uwagi mieszkańców. W drugim dziesięcioleciu na każdego z 59.000 mieszkańców miasta przypadał już jeden Murzyn. Byli to spokojni, potulni czarni, którzy ani nie pchali się do bardziej kwalifikowanych prac, ani nie żądali żadnych zmian dla siebie. Chociaż Illinois z położonym na jego północnym krańcu Chicago, uważany jest za stan północny, to jednak przylega ono południową granicą do stanu Missisipi i mieszkańcy E. St. Louis mają raczej południową mentalność. Segregacja rasowa była ściśle przestrzegana we Wschodnim St. Louis. W dużych fabrykach kolorowi mieli oddzielne umywalnie, pracowali oddzielnymi grupami i jedli w osobnych „kolorowych sekcjach”. Mieszkali w gettach, a jeśli któryś z nich zachorował, leczony był przez kolorowego felczera. Dzieci murzyńskie chodziły do osobnych szkół mimo tego, że stan Illinois aktem z roku 1874 zniósł segregację w szkolnictwie. To samo dotyczyło segregacji w restauracjach, hotelach, teatrach, a nawet więzieniach. Nikt nie zwracał uwagi na przeprowadzone przez stan prawa równościowe. Awantury i *riot* 1917 roku wybuchły na tle politycznym i ekonomicznym. W roku 1916 Demokraci zaatakowali i oskarżyli Republikanów, że sprowadzają specjalnie Murzynów z Południa, aby zyskać sobie przewagę w wyborach. Demokraci więc wyolbrzymiając liczbę murzyńskich emigrantów rozpoczęli kampanię antyrasową w mieście. Pomagali im w tym pisma lokalne rozdmuchując i często fabrykując przestępstwa Murzynów w stosunku do białych, albo umieszczając takie rozogniające zapytania, jak np.: „Dlaczego kolorowi sprzedają swoje głosy tak tanio? Dwa dolary to zbyt mało. Każdy z nich powinien żądać pięć dolarów za sprzedany głos wyborczy”.

Lokalne partie wyborcze obrały sobie jako kozła ofiarnego Murzynów, których coraz liczniejsze grupy migrowały z Południa,

oskarżali ich o zagrożenie demokracji państwa, poprzez pomoc w fałszowaniu wyborów na prezydenta.

Niechęć społeczeństwa do Murzynów wywołana kampanią polityczną wzmogła się jeszcze, gdy strajk białych robotników w przetwórnictwie rudy aluminiowej został złamany ponieważ fabryka na miejsce strajkujących zaczęła przyjmować, i to po tańszej cenie, garnących się do pracy Murzynów. Delegacja białych robotników zwróciła się do majora miasta prosząc i grożąc, aby powstrzymał migrację kolorowych z Południa. Ówczesny major miasta, Fred Mollman, przyrzekł wszystko, ale niczego nie dotrzymał. Przez dwa tygodnie organizacje robotnicze czekały na odpowiedź majora, wreszcie zwołano zebranie publiczne listem, w którym domagano się drastycznej akcji, aby pozbyć się niepożądanego elementu murzyńskiego. Napięcie w mieście zaczęło wzrastać, mówiono już otwarcie o *riot*. Doszło do drobnych starć pomiędzy białymi i Murzynami, w każdym wypadku biali atakowali Murzynów, gazety lokalne jednak oskarżały tych ostatnich. W wystawach sklepów z bronią pojawiły się napisy: „Kup rewolwer dla własnej obrony!”. Gazety pisały: „Gdziekolwiek na wystawie sklepowej pojawią się rewolwery, zwracają natychmiast uwagę Murzynów. Kolorowi nie mogą się oprzeć połyskującej stali i wiadomo że wielu z nich odkłada pieniądze u właściciela sklepu z bronią, aby uzyskać wymarzony przedmiot. Wiedzą, że broń służy im podwójnie: jako obrona przeciwko białemu człowiekowi, a także jako bezpłatny bilet do uzyskania żywności”.

W roku 1918 w East St. Louis nie tylko kolorowi przyglądali się połyskującej broni i zachęcającym napisom „Kupuj rewolwer dla własnej obrony!”, biali mieszkańcy miasta uważał że jest niezupełnie ubrany bez ciężkiego rewolweru uwieszonego u pasa i objającego mu się o biodra. Ameryka nie łatwo rozstaje się z tradycją „Dzikiego Zachodu” i kulturą zbrojnego pogranicza. Myli się turysta spacerujący Piątą Avenue, albo Delegat do United Nations sądząc, że kowbojów spotyka się już tylko w „Westernach”.

Po wstępnych, sporadycznych kilkudniowych utarczkach, w których biali strzelali do domów murzyńskich, a Murzyni w odwecie strzelili do samochodu, zabijając dwóch białych, 2 lipca 1917 roku rozpoczęła się masakra. Grupy białych mężczyzn zaczęły się gromadzić na rogach ulic strzelając do każdego zauważonego Murzyna. Nastrój tłumu opisywany przez naocznych świadków był podobny do galerii widzów oczekujących na cyrkową paradę. Zatrzymywano tramwaje, Murzyni bez względu na wiek i płeć wyciągani byli siłą, bici, obrzucani kamieniami. Biali maszerowali ulicami rycząc że kolorowi mają natychmiast opuścić miasto. Chociaż gangi atakujących były stosunkowo niewielkie,

składające się z około 25 osób, to jednak cały tłum miejski przyląkł się widowisku. *Mob* strzelał spokojnie do broczących krwią rannych Murzynów. Gdy nieliczne ambulansy zabierały nieżywych już kolorowych, tłum klaskał w ręce i ryczał z radości.

„Widziałem” — opisuje naoczny świadek — „Murzynkę błagającą o litość, zapewniającą, że nikogo nie skrzywdziła i białą prostytutkę, którą odkrzykując ze śmiechem na zaczepne, grube żarty obserwujących mężczyzn, waliła swoją ofiarę kamieniami i kijem po twarzy i piersiach”.

Kilka kroków od niej grupa Murzynów uniosła ramiona w górę gestem proszącym o zmiłowanie. Mimo to powalono ich razami kolb. Krew trysnęła na białe skarpetki dziewcząt obserwujących widowisko i ten incydent rozbawił ludzi naokoło”. Z okrzykami „Dostaniemy was!” tłum ruszył na dzielnicę murzyńską. *Riot* trwał przez całą noc. Krzyczano: „Spalić ich!” Spłonęło dwieście domów w dzielnicy murzyńskiej, tzw. „Czarnej Dolinie”. Uciekający Murzyni błagali białych o schronienie i wielu z nich zawdzięcza życie białym obywatelom miasta, którzy ukryli ich w swoich domach. Opuszczone domy uciekinierów zostały zrabowane i bardzo wielu z nich nie miało już powrotu. Ani policja, której była zaledwie garstka nieproporcjonalnie mała do liczby mieszkańców, ani też Gwardia Narodowa nie tylko nie utrzymały porządku, ale były po stronie białych, nie starając się ochronić Murzynów.

Po uspokojeniu się rozruchów, w dniach następujących po *riot* atakujący do niedawna *mob* nie wykazywał najmniejszej skruchy, ani poczucia winy. Straty ludzkie w zamieszkach ulicznych i towarzyszącym im pożarach są trudne do określenia i zwykle liczba ofiar jest przesadzona. W East St. Louis zginęło 9-ciu białych i 39 kolorowych, była to największa liczba zabitych w jakimkolwiek z dotychczasowych *riots* w Stanach Zjednoczonych. Nastroj podniecenia nie uspokoił się i przez kilka tygodni następujących po *riot*, biali napadali na Murzynów, palili ich domy, albo czarni mieszkańcy znajdowali na ścianach swoich domów znak ostrzegawczy: wymalowane dwie czarne ręce. Nie jest pewne czy tylko 39-ciu Murzynów zostało zabitych, wielu utopiło się w rzece uciekając z miasta, wielu spłonęło, przywalonych ruinami domów. Najbardziej wstrząsająca była obojętność białych, którzy dobijali rannych Murzynów. Trudno przytaczać wszystkie szczegóły *riot*. Chciałabym jednak zamieścić zeznanie jednego świadka na procesie sądowym.

Zeznawała Murzynka, której mąż i syn zostali zabici w *riot*.

„Wracaliśmy tramwajem do miasta znad rzeki gdzie mąż mój i syn łowili ryby. Usłyszeliśmy ludzi, krzyczeli: Zatrzymajcie tramwaj! Ten człowiek

(wskazuje na oskarżonego białego) wyciągnął rękę poprzez okno, schwycił mnie, rozerwał na mnie ubranie, krzyczał: Chodź ty murzyńska suko, chcemy cię zabić! A potem on i ten drugi weszli do tramwaju i powiedzieli: Wszyscy biali wynosić się! Będziemy zabijać czarnuchów! Powiedziałam mu, że my nie mieszkamy nawet w East St. Louis i że nie zrobiliśmy nikomu nic złego. Wtedy ten człowiek chwycił mego męża za kołnierz, zrzucił go z tylnej platformy tramwaju i zastrzelił. Widziałam to. A ten drugi człowiek rzucił się na mego syna. Chwyciłam go za rękę, mówiłam: Zabiłeś mego męża, nie zabijaj mego dziecka! Ale on potrząsnął tylko moim synem, uderzył go rewolwerem po głowie i to był ostatni raz kiedy widziałam chłopca mego żywego. Wtedy ten człowiek wyrzucił mnie z tramwaju, zbił mnie i skopał i rwał mnie za włosy. Inny biały człowiek rzucił się pomiędzy nas: Nie zabijaj kobiet! — krzyknął. Wtedy ten zaczął go bić, a ja przeczołgałam się i ukryłam w sklepie. Przybiegł ten biały, wysoki człowiek, który mnie ochronił, osłaniał mnie i prosił: Nie bijcie jej więcej, proszę, nie bijcie już jej więcej! I mówił do mnie: Nie bój się, nie pozwolę cię zabić, zostań tu. — Rozkrzyżował ręce i osłaniając mnie wołał: „W imię Boga, nie zabijajcie tej kobiety!” — A potem nie wiem już jak znalazłam się w ambulansie, a obok mnie leżał kolorowy człowiek i twarz jego przykryta była dużą chustką. Wzięłam tę chustkę i otarłam sobie krew z oczu i zobaczyłam, że człowiek zabity koło mnie w ambulansie był moim mężem. A kiedy spojrzałam pod siebie zobaczyłam, że leżę na ciele mojego syna, miał oczy otwarte i nie żył”.

Z płonącego miasta gdzie na słupach ulicznych wisały ciała zlinczowanych Murzynów nieprzeliczone apele o interwencję wysyłane były do Białego Domu, do ówczesnego prezydenta Wilsona. Rząd reagował ciszą. Dnia 3 lipca 1917 roku sekretarz Woodrow Wilson'a, Józef Tumulty powiedział reporterom, że szczegóły *riot* w East St. Louis są tak nieprzyjemne, że doprowadzają go do mdłości i nie może o nich czytać. Wilson, mimo nalegań ze strony czynników rządowych, nie potępił *riot*, a kiedy delegacja murzyńska z Baltimore prosiła o audiencję u prezydenta domagając się potępienia ostatnich wypadków i protekcji rządowej, Wilson wymówił się brakiem czasu. Stany Zjednoczone wstrząśnięte zostały wypadkami w East St. Louis, ciche protestujące parady sunęły ulicami miast amerykańskich, prasa oburzała się na bezprawie, *New York Evening Mail* zamieścił szkic na którym na tle płonącego miasta klęcząca Murzynka z dwojgiem dzieci wyciąga ręce do prezydenta Wilsona. Wilson stoi obojętny trzymając w ręku proklamację: *The World must be safe for democracy*. Napis pod szkicem jest pytaniem klęczącej, płaczącej kobiety: Panie prezydencie, dlaczego nie uczynisz Ameryki bezpieczną dla demokracji?

Wybuch w East St. Louis nie był sprawą odosobnioną, awantury przeszły przez miasta w Pensylwanii i w Texasie. W latach 1940-44 nowa fala *riots* nawiedziła Stany. Najpoważniejszym był *riot* 1943 roku w Detroit.

Przez dwadzieścia lat we względnej ciszy i rosnącym dobrobycie kraju tliła się sprawa murzyńska. Wybuchła w roku 1963

w Birmingham. Zatrzymajmy się tutaj, aby przyjrzeć się roli kościoła w życiu społeczeństwa murzyńskiego.

Murzyńscy niewolnicy transportowani z Afryki do Ameryki przywieźli z sobą dwie religie: Islam i fetysyzm. Fetysyzm przeżył w niektórych tajnych rytuałach, nocnych krwawych ofiarach, albo otwartych uroczystościach, które jednak stopniowo zanikły i połączyły się z obrzędami i wierzeniami religii chrześcijańskich. Islam odrodził się wśród Czarnych Muzułmanów. Miejsce otaczanego szacunkiem i bojaźnią afrykańskiego czarownika *medecine man* zajął najpierw kaznodzieja murzyński tzw. *preacher*, który na tajnych zebraniach religijnych przewodził grupie murzyńskich niewolników; później, po Wojnie Cywilnej chrześcijański Kościół Murzyński stał się ośrodkiem życia społecznego, religijnego i politycznego Murzynów. Wielu przywódców w okresie Rekonstrukcji rekrutowało się z kolorowych kaznodziej, i wielu z nich po zakończeniu Rekonstrukcji powróciło do swoich parafii. Murzyni, jak i większość Amerykanów, należą do kościoła protestanckiego przy czym przeważa odłām Baptystów i Metodystów. Są naturalnie różne drobne sekty o niezmiernie emocjonalnych obrzędach, nie brak kobiet *preachers*, sekty zjawiają się nagle w dzielnicy murzyńskiej w jakimś pół-rozwalającym się sklepie, albo w mieszkaniu prywatnym i równie nagle znikają. Świadczy to o ogromnej potrzebie wypowiedania się religijnego Murzynów i o tym jak doniosłą rolę odgrywała i odgrywa u nich religia. Przywódcy duchowni byli to często ludzie najbardziej wykształceni, przejęci misją reformy, kaznodziejstwo było nieraz tradycją rodzinną, jak np. w rodzinie Marcina L. Kinga, którego i dziadek i ojciec byli pastorami kościoła protestanckiego.

Podobnie jak wyższa klasa społeczna białych, murzyńska *upper-class* gromadzi się raczej w kościołach prezbiterialnych i episkopalnych, gdy warstwa średnia i niższa należy do Baptystów i Metodystów. Murzyni-katolicy stanowią osobną grupę i często garną się do Kościoła katolickiego ze względu na lepsze szkoły dla dzieci, brak dyskryminacji rasowej i zasiłki społeczne. Trudno mi tu nie przytoczyć rozmowy, którą kilka lat temu miałam z Murzynką, która w starszym już wieku przeszła na katolicyzm. Była to niezmiernie godna, pewna siebie i dzielna osoba, która kilkakrotnie i z dumą powtarzała mi, że babka jej była niewolnicą i że ojciec jej wykupił jej matkę z niewoli.

Edith, która posiadała zaledwie kilka lat szkoły powszechnej, ale cały uniwersytet zdrowego rozsądku i przy wszystkich swoich zaletach była osobą niezmiernie despotyczną, tak odpowiedziała na moje pytanie dlaczego przeszła z kościoła metodystycznego do katolickiego:

Zaprosiliśmy na obiad tego „priczera”, zawsze był głodny,

nigdy mu nie było dość. Usmażyłam kurczaki, nakryłam do stołu i zaprosiłam wszystkich do jedzenia. Patrząc, a on nic tylko sięga po pierś kury, więc mówię: *Reverend*, dlaczego nie weźmie pan skrzydełka? A on na to: *I take the breast and all the rest*.

Nie koniec na tym. *Reverend* i jego żona klepali zawsze biedę, a że pracowałam wtedy u siedmiu starych kawalerów i starych panien gotując im jedzenie, znosiłam co dnia resztki z kolacji do domu „priczera”. Wytrzymałabym z tym wszystkim gdyby nie awantura w kościele. Pastor znalazł sobie przyjaciółkę, którą w czasie nabożeństwa w kościelnym „basemencie” obity dwie córki i żona kaznodziei. Wstyd był straszny i parafianie domagali się wytłumaczenia. Pastor wyszedł wtedy, a raczej stanął za pulpitem i tak powiedział do zgromadzenia: Przyznaję się do winy, kocham kobiety no i nic nie mogę na to poradzić. Ale chociaż — powiedziała Edith — przyznał się i oczyścił swoje sumienie. Dla mnie jednak było już tego zbyt wiele. Przeniosłam się do kościoła w którym księżom nie wolno się żenić.

Tak, jak wśród białych tak samo i wśród Murzynów rozpiętości klasowe i kulturalne są ogromne. Znałam białych pastorów, którzy swoją pracę misyjną traktowali jako *part time* i białych Świadków Jehowy, którzy pozwolili umrzeć własnemu dziecku, aby tylko nie dopuścić do niego lekarza. Historia opowiedziana przez Edith, a takich niewątpliwie jest wiele i to prawdziwych, nie powinna w żadnym wypadku umniejszyć doniosłej roli jaką Kościół Murzyński odegrał w pokojowej walce o prawa obywatelskie czarnych. Marcin Luther King Junior tak pisze o udziale Kościoła Murzyńskiego w ruchu wyzwoleniowym:

„W Montgomery, po odważnym akcie Rosy Park kiedy to odmówiła ona ustąpienia miejsca w autobusie białemu pasażerowi, rozpoczął się bunt, który doprowadził do bojkotu autobusów w latach 1955-56. Kampania skierowana przeciwko niesprawiedliwości rasowej w mieście miała swoje bazy w kościołach. Na całym Południu, i nawet jeszcze na kilka lat przed wydarzeniami w Montgomery, Kościół Murzyński objął przodownictwo w domaganiu się o prawa cywilne. Duchowni murzyńscy coraz bardziej zdawali sobie sprawę, że prawdziwym świadectwem chrześcijaństwa jest głoszenie społecznej ewangelii, podjęli kierownictwo w walce o równość rasową, zajęli ważniejsze stanowiska w organizacjach N.A.A.C.P. i wpływali na całość ruchu wolnościowego”.

N.A.A.C.P. — the National Association for the Advancement of Colored People — utworzone w latach 1909-10 zdążyło do obalenia bariery rasowej i walczyło nie tylko o podniesienie ekonomiczne i intelektualne „ludności kolorowej”, ale przede wszystkim o prawa obywatelskie Murzynów. Było to w opozycji do wspomnianego wcześniej Booker T. Washingtona, który podtrzymywał teorię „równi, ale oddzielni” i domagał się tylko postępu

ekonomicznego i szkolnictwa dla czarnych. Wspominany również wcześniej Du Bois, profesor uniwersytetu w Atlanta, Murzyn, był jednym z założycieli N.A.A.C.P. Omówienie działalności tej organizacji wymagałoby osobnego artykułu, dwie rzeczy jednak należy tu zauważyć: że opierało się głównie na południowych murzyńskich emigrantach, którzy osiedlali się w miastach północnych i przy pomocy małej grupy murzyńskiej *middle class* walczyło o prawa konstytucyjne dla murzyńskiej mniejszości, i, że większość czołowych stanowisk, aż do początku lat sześćdziesiątych zajmowali w nim biali.

Podczas gdy N.A.A.C.P. przyjęło jako swój cel polityczną i prawną obronę praw kolorowych, utworzona w roku 1911 National Urban League prowadzona przez filantropów i *social workers* zdążyła do polepszenia ekonomicznego emigrantów z Południa, apelowała o pomoc do przemysłowców i kupców i starała się polepszyć warunki mieszkaniowe kolorowych.

Ruch organizacyjny Murzynów coraz bardziej się wzmacniał i promieniował w różnych kierunkach. Masy niezadowolonych, rozczarowanych emigrantów z Południa gnieźdzących się w miejskich gettach Północy były doskonałym, chłonnym materiałem. Do nich to przemówił Marcus Garvey, Murzyn, który w roku 1914 stworzył Universal Negro Improvement Association — UNIA. Hasłem jego był: Powrót do Afryki i emancypacja Murzynów całego świata w oparciu o siłę ekonomiczną. Plan Marcusa Garvey zakiełkował już na Jamajce gdzie był on przywódcą murzyńskich robotników rolnych, stąd wyemigrował do Stanów Zjednoczonych marząc, że staną się one bazą i punktem wyjściowym wielkiego, ogólnoswiatowego ruchu murzyńskiego. Był to genialny organizator, który utworzył cały łańcuch przedsiębiorstw murzyńskich z linią okrętową łącznie. Został zwalczony przez liderów murzyńskich w Stanach, którzy dowiedli mu nieścisłości i oszustwa w jego przedsiębiorstwach i uwięziony, a potem deportowany, umarł w zapomnieniu. Ideę Marcusa Garvey podjęła później organizacja *Black Muslims*.

Podtrzymywany moralnie i uświadamiany społecznie przez własne organizacje kościelne, protegowany przez organizacje wolnościowe, które z trudem dobijały się do drzwi Białego Domu walcząc o równouprawnienie kolorowych, Murzyn amerykański na długo jeszcze pozostał niepełnym obywatelem Stanów Zjednoczonych. W czasie Drugiej Wojny Światowej zgłaszający się do wojska Murzyni nieraz byli odrzucani, a przyjmowani tylko w ten sposób aby proporcja ich w armii nie przewyższyła proporcji jaką stanowili jako mniejszość w społeczeństwie. Kierowani byli do oddzielnych jednostek i zwykle nie wysyłani na front. Czerwony Krzyż, za zgodą Rządu, dzielił potrzebną do transfuzji

krew na krew białą i murzyńską. Dopiero w roku 1949 Siły Zbrojne Amerykańskie zniosły prawo segregacji rasowej. W kraju natomiast Murzyni, którzy starali się o pracę w fabrykach zbrojeniowych, byli odrzucani i zatrudniani tylko jako woźni, albo niewykwalifikowani robotnicy.

W roku 1941 Philip Randolph, pewny popierających go głosów murzyńskich, zagroził prezydentowi Rooseveltowi ogólnym marszem na Waszyngton o ile nie przeprowadzi ustawy znoszącej segregację w fabrykach przemysłu wojennego. Roosevelt ustąpił i akt tzw. FECP, *Fair Employment Practices Commission* stał się precedensem dla dalszych ustaw znoszących dyskryminację rasową w fabrykach i urzędach. Do marszu na Waszyngton wtedy nie doszło, ale w sierpniu 1963 poprowadził go Marcin L. King uzyskując nim tzw. *Civil Right Bill* w roku 1964. W czasie obecnym jesteśmy świadkami jeszcze jednego marszu na stolicę Stanów Zjednoczonych tym razem o prawa ludzi ubogich białych i czarnych i protestującym przeciwko pladze głodu w najbogatszym kraju świata.

Do licznych już skrótów literowych organizacji wolnościowych, musimy jeszcze dodać trzy inne. CORE — *Congres of Racial Equality* utworzony został w roku 1942-43 przez ludzi o tendencjach pacyfistycznych, którzy starali się przeciwdziałać dyskryminacji rasowej drogą pokojową, wzorowali się na technice Gandhiego, urządzali tzw. *sit-in* w miejscach użyteczności publicznej i aż do końca 1961 roku przywódcy CORE byli to głównie ludzie biali.

Pamiętam moją rozmowę w roku chyba 1959 z jednym z moich kolegów, białym *social worker*, który był bardzo intensywnie zaangażowany w działalność CORE i uwięziony po manifestacji *sit-in* którą z innymi zorganizował w baltimorskim Luna-parku.

Joe skarżył się, że nie mogą przekonać czarnych, ażeby brali udział w manifestacjach. Odbywało się to w sposób mniej więcej taki: zgromadzeni przeważnie młodzi studenci, albo młodzi inteligentni Murzyni wchodzili grupą kilkunastu osób do restauracji i zajmowali stoliki. Nikt z kelnerek ani kelnerów nie obsługiwał ich, gdyż uważaliby to za uwłaszczenie swojej godności i zbojkotowani byłiby przez innych. W ten sposób przez kilka godzin największego ruchu restauracja była sparaliżowana i ani właściciel ani kelnerzy nie mieli spodziewanego dochodu. Z własnego doświadczenia wiem, że nieraz nie właściciele, a kelnerzy bojkutowali obsługiwanie Murzynów i terroryzowali właścicieli. W „Lanczenecie przy Alei Północnej”, którą opisywałam w książce „Ameryko! Ameryko!”, kelnerka Sally o dość wątpliwej wartości moralnej, posiadająca jednak białą skórę, urządziła mojej matce potworną

awanturę, kiedy ta chciała obsłużyć Murzyna. Powiedziała, że nie tylko opuści pracę, ale zbuntuje wszystkie inne kelnerki i opowie białym klientom o tym, że tu się podaje Murzynom.

Organizacja studencka SNCC zwołana została przez Marcina L. Kinga w kwietniu 1960 roku w Północnej Karolinie, ale już po roku studenci zerwali z nim, uważając go za zbyt liberalnego. SCLC, Southern Christian Leadership Conference, południowa organizacja zrzeszonych kościołów protestanckich miała jako swego przywódcę i organizatora Marcina L. Kinga, skarbnikiem jej był obecny następca Kinga i jego bliski przyjaciel Ralph Abernathy. Te dwie ostatnie organizacje były zainicjowane i prowadzone przez liderów murzyńskich. To, na co skarżył się kolega mój, Joe, a mianowicie brak czynnego udziału Murzynów w wystąpieniach oficjalnych, przestało być aktualne w początkach lat 60-tych. Murzyni spokojnie wyprosilili białych z czołowych stanowisk w organizacjach wolnościowych, chcą stanowić sami o sobie i pracować pod kierownictwem własnych, kolorowych liderów.

Rok 1963, wypadki w Birmingham, Alabama, rozpoczęły falę zbiorowych murzyńskich protestów.

„W całym kraju” — pisze Marcin L. King — „nie było miejsca, które można by porównać z Birmingham. Największe przemysłowe miasto na Południu, Birmingham w latach trzydziestych stało się symbolem rozlewu krwi gdy unie przemysłowe starały się zorganizować. Było to społeczeństwo, w którym długo deptane prawa człowieka wytworzyły atmosferę takiego strachu i ucisku, że unosiła się ona ciężko nad miastem, jak chmury dymu z jego licznych fabryk”.

W latach pomiędzy 1957 a 1963 17 niewyjaśnionych nigdy wypadków zbombardowania domów i kościołów murzyńskich miało miejsce w Birmingham. Gdy przejeżdżałam latem 1962 roku przez Birmingham uderzył mnie niebywały kontrast: ekspansywność i dostatek miasta i lepianki murzyńskie poza miastem. W tym mieście, nawet nieobeznany z sytuacją turysta wyczuwał napiętą atmosferę. W sklepach, na stacjach benzynowych, mówiono „że krew się poleje”. Na wiosnę 1963 roku Marcin L. King zorganizował cały łańcuch *sit-in* w jadalniach w Birmingham i poprowadził marsz Murzynów przez ulice miasta. W rezultacie wielu Murzynów zapełniło więzienie miasta a i sam King i jego przyjaciel Abernathy dostali się do więzienia, skąd wykupił ich śpiewak Harry Belafonte zbierając w ciągu kilku dni sumę 50.000 dolarów wśród artystów murzyńskich i ludzi sprzyjających idei pokojowej Kinga. Represje w Birmingham nie skończyły się ani nie ograniczyły do uwięzienia Murzynów. Policja atakowała maszerujących przy pomocy psów, waliła ich biczami, używała hydrantów. Wśród maszerujących demonstrantów było wiele kilkunastoletnich dzieci. Rzucano się na domy murzyńskie, bombardo-

wano je i palono. Pewnego rana w niedzielę bomba eksplodowała w kościele murzyńskim zabijając cztery małe dziewczynki uczące się religii w swojej niedzielnej szkole. Niepokoje rozszerzyły się na inne miasta: Chicago, Cambridge, Philadelphia i już nie tylko biali, ale i Murzyni atakowali, palili i strzelali do białych.

Awantury nie uspokoiły się w roku 1965, rozszerzyły w roku 1966 w którym 43 *riots* miało miejsce w różnych miastach amerykańskich, i doszły do szczytu w roku 1967. W lecie roku 1967 wiele miast amerykańskich objętych zostało ulicznymi walkami rasowymi. Zamiast przedstawiać chronologię wypadków, skoncentrujmy się raczej na jednym mieście. Wydaje mi się, że Newark będzie dobrą ilustracją tego, co stało się w wielu miejscach w Ameryce. Będziemy też mogli porównać przebieg i podłoże tych niepokoїв z opisywanym wcześniej *riot* w East St. Louis i zorientować się czy i jakie zaszły różnice w otwartych, ulicznych walkach rasowych w Stanach Zjednoczonych. *Riot* w East St. Louis miał miejsce w 1917 roku, wypadki w Newark, New Jersey w roku 1967 a więc prawie że dokładnie pół wieku później.

Newark położony w północno-wschodnim krańcu stanu New Jersey na bagnistych zalewiskach rzeki Passaic powstał w roku 1666 i początkowo był częścią wielkiego portu nowojorskiego. Gdy czasem przejeżdżam przez Newark ogarnia mnie uczucie depresji nie tylko dlatego, że widać w nim ślady zniszczenia, pozabijane deskami okna wystaw, popalone domy, ale jest coś przynębiającego w tej nieurozmaiconej niczym płaszczyźnie, w braku zieleności, jakby miasto to pozbawione było jakiegokolwiek radości życia.

Ściśnięte na 23,6 milach kwadratowych z czego jedną trzecią zajmują lotnisko i nieużyteczne bagna, miasto nie ma i od dłuższego czasu nie miało możliwości ekspansji. Na tym niewielkim obszarze gnieździ się 400.000 mieszkańców. Od przeszło dwudziestu lat biali obywatele Newark zaczęli opuszczać miasto i przenosić się na przedmieścia. W latach pomiędzy 1960 a 1967 miasto straciło 70.000 swoich białych mieszkańców. Do opuszczonych, zaniedbanych domów zaczęli napływać murzyńscy, kubańscy i portorykańscy emigranci. W ciągu sześciu lat miasto, które było w 65 procentach białe, stało się w 52 procentach murzyńskie a w 10 procentach zaludniali je Kubańczycy i Portorikanie.

Widzimy tu sytuację i proces podobny do sytuacji w East St. Louis sprzed lat pięćdziesięciu. Brzydkie, przemysłowe, zaniedbane miasto do którego masowo zaczyna napływać uboga, nieobeznana z życiem miejskim ludność kolorowa. Mimo przewagi kolorowych zdecydowaną większość w urzędach miejskich zajmowali biali. Podatki miejskie wzrosły niewspółmiernie tak, że w roku 1967 podatek roczny od domu wartości 10.000 dolarów wynosił

667,70, dwa razy tyle co podatek od tej samej wartości domu na przedmieściu. W roku 1967 87 procent ludności murzyńskiej w Newark wydierzało mieszkania w domach czynszowych, ale obciążony podatkami właściciel ani nie chciał też nie mógł utrzymywać ich w stanie chociażby najbardziej prymitywnym. Nie było nawet z kogo ściągać podatków ani na rosnące potrzeby zdrowotne ani sanitarne mieszkańców. Nie było też pieniędzy na utrzymanie szkół na jakim takim poziomie, a 78.000 dzieci uczęszczało do miejskich szkół publicznych.

Przeszło połowa Murzynów byli to ludzie o minimalnym wykształceniu kilku lat szkoły powszechnej, a z 13.600 młodzieży murzyńskiej w wieku pomiędzy 16 a 19 — 6.000 nie chodziło do szkoły. Typowe plagi murzyńskiego getta mnożyły się swobodnie wśród kolorowej ludności Newark'u. Dwanaście procent Murzynów było bez pracy, 40 procent dzieci murzyńskich mieszkało i wyrastało w zdeorganizowanych domach, procent przestępczości był tu najwyższy w całych Stanach Zjednoczonych. Newark zajmował piąte miejsce w Ameryce w nielegalnym handlu narkotykami, Mafia kontrolowała większość zorganizowanego bezprawia i przestępstw. Napięcie i niezadowolenie wśród Murzynów wzrastało w przyspieszonym tempie. Kiedy sekretarz wydziału oświatowego zdecydował się przejść na emeryturę, Murzyni proponowali swego kandydata. Major miasta zaoponował, jego kandydatem był biały chociaż 70 procent dzieci szkolnych było kolorowych i chociaż biały miał tylko wykształcenie podstawowe, a Murzyn dyplom magisterski. 27 czerwca 1967 w dniu wyborów sekretarza wydziału oświatowego, policja miasta była w stanie ostrego pogotowia. Było to na skutek uprzednich awantur o owo stanowisko sekretarza, którym przewodził niejaki „pułkownik” Hassan-Jeru-Ahmed, były handlarz perukami, który uważał siebie za reprezentanta „Czarnej Ochotniczej Armii Wyzwolenia”. Pułkownik przyjechał do Newarku z Waszyngtonu, płomiennymi mowami poderwał i poprowadził Murzynów na zebrania rady miejskiej i wydziału oświaty, tam dynamiczne swoje przemówienia poparł nie mniej wymownymi gestami zrywając taśmę z dyktafonu, rozwalając aparat o ścianę, w czym pomagali mu jego kapitanowie. Chociaż żadna armia wyzwolenia nie przyszła w ślad za swoim przywódcą, to jednak rozpałił on tak atmosferę miasta, że gotowe było siłą wprowadzić swego kandydata-Murzyna. Lokalni przywódcy CORE w dniu 27 czerwca przerwali zebranie wyborcze i objęli jego przewodnictwo. Wynik zebrania był niespodziewany, sekretarz wydziału oświaty, który już był jedną nogą na emeryturze, zdecydował się pozostać jeszcze na swoim stanowisku. Ubieganie się o władzę w szkolnictwie było jednym z punktów zapalnych rozruchów w Newark. Drugim źródłem niez-

dowolenia była decyzja zarządu miejskiego przeznaczenia 150 akrów ziemi w sercu miasta na budowę nowej stanowej szkoły medycznej i dentystycznej. Na głośnych, całonocnych zebraniach Murzyni protestowali przeciwko tej innowacji która jeszcze bardziej ścieśniałaby ich w mieście i przeciwko obracaniu pieniędzy stanowych nie na polepszenie warunków getta, a na budowę wyższej uczelni, przeznaczonej najprawdopodobniej w większości dla białych studentów.

Na początku lipca 1967 roku Newark miał 24.000 bezrobotnych Murzynów, do cyfry tej należy dodać 20.000 młodzieży, która nie miała co z sobą zrobić, bo zeszłoroczne prace i programy letnie dla młodzieży murzyńskiej finansowane przez rząd zostały zniesione na skutek obciążenia finansowych w budżecie państwa.

Ludność murzyńska miasta nigdy nie miała dobrych stosunków z miejską policją. Policjanci byli przeważnie pochodzenia włoskiego, ludzie których aresztowali — Murzyni. Prawdą jest że wielu spośród policjantów nadużywało swojego autorytetu i nie raz wśród mieszkańców getta słyszeć można było oskarżające krzyki przeciwko *Police brutality*.

W roku 1965 major miasta, Addonizio, był w trudnej sytuacji. Z jednej strony naciskała na niego mniejszość murzyńska domagając się akcji, która ukróciłaby brutalność policji, z drugiej strony policja sprzeciwiała się stanowczo jakiegokolwiek ingerencji i kontroli. Andonizio wpadł na genialny pomysł. Zdecydował mianowicie, że wszystkie zażalenia na brutalne postępowanie policji, kontrolę i inwestygację należy przekazywać do neutralnej organizacji, mianowicie FBI. Kopie zażeń należy przekazywać bezpośrednio do stolicy, do naczelnika Federalnego Biura Inwestygacyjnego. FBI może jednak działać tylko wtedy, gdy federalne prawa obywatela zostały znieważone i nie bawi się w drobne lokalne dochodzenia. Major miasta umył ręce i nikt już nie słyszał o żadnych zażaleniach. W tej atmosferze napięcia, niezadowolenia, bezrobocia, i niespełnionych, a nawet nie rozpatrzonych zażeń wybuchł lipcowy *riot* w roku 1967.

Jeśli cofniemy się znów o 50 lat wstecz i przyjrzymy się podłożu, na którym wybuchł *riot* w St. Louis, charakterystyczny dla ówczesnych rozruchów rasowych, to z łatwością zauważymy, że wtedy chodziło przede wszystkim o rywalizację w pracy do której garnęli się kolorowi migranci i której strzegli biali robotnicy, podczas gdy teraz kolorowi nie tylko protestowali przeciwko brakowi pracy i złym warunkom mieszkaniowym, ale domagali się udziału w decyzjach. To Murzyn teraz, uzbrojony w prawa równościowe, które stopniowo nadawał mu rząd federalny, domagał się wprowadzenia ich w życie i coraz silniejszym głosem wołał o *BLACK POWER*.

Awantura rozpoczęła się 12 lipca i trwała przez pięć dni i nocy do 17 lipca. Choć *riots* mające wtedy miejsce w innych miastach amerykańskich różniły się w wielu aspektach od *riot* w Newark, to jednak przebieg ich, główne cechy charakterystyczne i podłoże były w niektórych wypadkach identyczne. Tak, jak patolog na podstawie mikroskopowego badania komórki, może wyciągać wnioski i stawiać diagnozę schorzenia całego organu, tak samo patologię *riot* możemy łatwiej zrozumieć badając ją mikroskopijnie raczej niż sposobem makroskopijnym.

Wcześniej wieczorem taksówkarz, John Smith, został zatrzymany przez samochód policyjny. Czterdziestoletni Murzyn, Smith, urodzony w Georgii, ukończył jeden rok *college* zanim powołano go w roku 1950 do wojska. Wyszedł z wojska w stopniu kaprała, nie wrócił już do *college*, a zarabiał jako muzyk w orkiestrze, robotnik fabryczny, a wreszcie jako taksówkarz. Smith nie był zbyt dobrym szoferem i w ciągu krótkiego czasu spowodował aż 9 wypadków. Licencja jego została zawieszona. Kiedy policja zatrzymała jego taksówkę, Smith nie miał legalnego prawa jazdy. Policjanci opierającego się Smith'a zaciągnęli do miejskiego więzienia. Więzienie umieszczone w centrum miasta jest punktem obserwacyjnym dla zamieszkujących w pobliżu Murzynów. Natychmiast rozniosła się coraz to rozdmuchiwana pogłoska, że Smith został zbity do nieprzytomności przez policję. Powtarzali ją sobie przez radia miejscy taksówkarze, przetelefonowywali mieszkańcy Newarku. O 10.30 wieczorem liderzy murzyńscy zażądali rozmowy z inspektorem policji. Tymczasem coraz większy tłum gromadził się przed posterunkiem policji, gdzie mieściło się więzienie. Murzyni dyskutowali głośno i histerycznie ostatnie wydarzenie i przypominali jedni drugim jakich to krzywd doznali w przeszłości od białej policji. Inspektor policji stwierdził, że Smith był pobity, że powinien być zbadany przez lekarza i przewieziony do szpitala.

Atmosfera była pełna napięcia, ludzie nie chcieli się rozchodzić do domów, obrzucali policję wyzwiskami, aż nagle kilka koktajli Mołotowa rozbiło się o mury policyjnego budynku. Ktoś krzyknął: Ogień! Ugaszono go wkrótce, ale wyzwiska i wrogie okrzyki nie ustawały, biała policja i murzyński tłum przeklinali się nawzajem. Znaleźli się powiadomieni murzyńscy przywódcy i zaczęli formować zbuntowany *mob* w pochód protestacyjny na magistrat. Z ciemnych uliczek i zaułków zaczęły padać na tłum kamienie. Ktoś podpalił stary, stojący na ulicy samochód. Straż pożarna, która przybyła aby gasić pożar została obrzucona kamieniami. Włamano się do pobliskiego sklepu z napojami alkoholowymi, w ciągu kilku minut tłum dorwał się do innych sklepów. W mieście zaczęło się bezprawie. Następnego dnia popołudniu

naczelnik policji ogłosił, że mianuje Murzyna kapitanem policji. Był to pierwszy wypadek, że Murzyn osiągnął w Newark tak wysoką rangę. Tymczasem wśród getta rozeszły się plotki, że Smith umarł. Rosnące napięcie podsycali jeszcze Czarni Nacjonaści, przywódcy *Black Power*, Czarni Muzułmanie i grupa tzw. *Afro-American* — niezmiernie radykalne i wojownicze odłamy Murzynów.

Straż ogniowa nie mogła już ugasić licznych pożarów, policja nie mogła upilnować ludzi rozbijających wystawy sklepowe i rabujących co się tylko dało. Trzeciego dnia rozruchów major miasta zwrócił się do gubernatora stanu New Jersey, Hughes'a, prosząc o przysłanie oddziałów Gwardii Narodowej. Gwardia Narodowa pogorszyła jeszcze sytuację. Byli to młodzi ludzie, niewyszkoleni, nieobeznani z Murzynami, przerażeni, strzelali na chybił-trafił wszędzie dopatrując się podstępów i czyhającego na nich na dachu, albo w oknie domu Murzyna z karabinem czy rewolwerem. W roku 1967 na 17.529 żołnierzy stanowej Gwardii Narodowej było zaledwie 303 Murzynów. W tej chaotycznej strzelaninie zginęło 23 osoby: 21 Murzynów, biały detektyw i biały strażak. Wśród zabitych Murzynów było sześć kobiet, jeden starzec i dwoje dzieci. Ludzie ginęli od zabłąkanych kul, jako ofiary wystrzału, który był nieporozumieniem, ginęli bezsensownie, nie wiedząc za co i dlaczego.

Tego lata, 1967 roku, *riots* wybuchły w 23 miastach amerykańskich. Powołana 28 lipca przez prezydenta Johnsona komisja do zbadania przyczyn niepokojów wewnętrznych stwierdziła: „Naród nasz zmierza w kierunku dwóch oddzielnych społeczeństw, białego i czarnego — oddzielnych i nierównych”. Chociaż raport komisji ukazał się już na początku roku 1968 i zawiera długą listę wskazówek, rad i sugestii czym i w jaki sposób należy przeciwdziałać dalszym wybuchom gwałtu, wskazówki te jak dotąd w większości zostały zlekceważone.

Kończąc ten zarys problemu murzyńskiego w Stanach Zjednoczonych, zdaje sobie sprawę jak wiele rzeczy nie zdołałam w nim umieścić, jak wiele spraw zostało potraktowanych powierzchownie i jak wiele jeszcze można by na ten temat napisać. Wydaje mi się, że dwóch z tych rzeczy chociażby w krótkim omówieniu nie mogę pominąć. Pierwsze jest to problem *Black Power*, druga sprawa to Czarni Muzułmanie: *Black Muslims*.

Zacznijmy od *Black Muslims*. Organizacja ta powstała w roku 1930. Było to w okresie gdy nadzieje Murzynów podbudowane rosłą równością rasową było u szczytu oczekiwania, i gdy jednocześnie ich warunki ekonomiczne i możliwości zarobkowe przedstawiały się tragicznie. Czarni Muzułmanie głosili naddciągającą do-

minację czarnych ludów, upadek „białego diabła”, domagali się osobnych terenów w Stanach Zjednoczonych dla czarnych, które staną się „murzyńskim rajem na ziemi”. Poprzez twardą pracę, jedność i wyrzeczenie się wielu słabostek życiowych dążyli do siły ekonomicznej. Religią ich jest Islam. Są oni, jak wspominałam, odrodzeniem się idei Marcus’a Garvey z tym tylko, że nie głoszą powrotu do Afryki, a separatyzm w obrębie Stanów Zjednoczonych. Stoją oni na przeciwnym biegunie hasel pokojowych, głoszonych przez Marcina L. Kinga. King pisze o nich z niechęcią uważając ich za grupę inspirującą i prowokującą gwałt, za ludzi, którzy stracili wiarę w Amerykę, którzy odrzucili chrześcijaństwo i których siła wzrosła na nienawiści. Elijah Muhammad prowadzi grupie Czarnych Muzułmanów. Do Czarnych Muzułmanów należał przez jakiś czas Malcolm X, niezwykle dynamiczna i ciekawa postać, który po sprzeniewierzeniu się zasadom organizacji i szukając współpracy z białymi, został zamordowany przez wyznawców Muhammad’a.

„Kiedy byłem w Chicago” — pisze James Baldwin — „zostałem zaproszony przez Szlachetnego Elijah Muhammad do jego domu na obiad. Jest to okazała rezydencja na południowym krańcu miasta, w której jednocześnie mieści się główna kwatera Narodu Islamskiego... Młody, przystojny człowiek o łagodnie uśmiechniętej twarzy otworzył mi drzwi i wprowadził do dużego pokoju. Po jednej stronie siedziały kobiety, ubrane na biało, zaabsorbowane niewowleciem, które należało pewnie do najmłodszej z nich. Po drugiej stronie, siedmiu czy sześciu młodych mężczyzn, w ciemnych garniturach. Nie było w nich ani śladu pompatyczności chociaż przedstawiali widok niezmiernie godny. Pokój zalany światłem słonecznym miał w sobie łagodność i spokój, był jak mieszkanie zapamiętane we wczesnym dzieciństwie i jak słoneczność, która później pojawia się tylko we śnie... Przywitano mnie z nienarzucającą się serdecznością, z szacunkiem, kobiety wychodziły i wracały do pokoju przygotowując pewnie obiad, mężczyźni rozmawiali, ale nie zagłębiali się, ani też nie zatrzymywali specjalnie na żadnym temacie, i wyczuwało się że oczekują na przyjście Elijah’a. Kiedy wszedł, wstaliśmy wszyscy...

Człowiek, który wszedł do pokoju był nieduży, szczupły i drobny, o wąskiej twarzy, dużych, ciepłych oczach i rozbijającym uśmiechu... W jadalni były dwa stoły, przy jednym usiedli mężczyźni, przy drugim kobiety. Kiedy tylko odzywał się Elijah, odpowiadał mu chór młodych mężczyzn: ‘O tak, to prawda’. ...Elijah mówił o zbrodniach białego człowieka łagodnym, trochę żartobliwym głosem. Na początku istnienia w całym wszechświecie nie było ani jednej białej twarzy. Czarny człowiek sprawował rządy nad ziemią, i czarny człowiek był doskonały. Był to okres, który biały człowiek nazywa przedhistorycznym. Biali chcą, abyśmy uwierzyli, że i my, tak jak oni, mieszkaliśmy niegdyś w jaskiniach, skakali po drzewach, żywili się surowym mięsem i nie umieli mówić. Ale to nie prawda. Czarny człowiek nigdy nie żył w podobnych warunkach. To Allah poprzez swoich mędrców pozwolił Diabłu na przeprowadzenie piekielnego eksperymentu w rezultacie którego stworzony został diabeł zwany białym człowiekiem, a później gorsza jeszcze kreatura: biała kobieta. I postanowione zostało, że te monstrualne kreatury będą panowały nad ziemią przez pewną ilość lat. Rządy te się kończą i Allah pragnie teraz przywrócić pokój i zgnieść rządy białych diabłów”.

Jakkolwiek fantastycznie brzmią wywody i nauki Elijah'a, ma on swoich wyznawców i należy do czarnej rzeczywistości amerykańskiej. Rekrutował on swoich wyznawców wśród najbardziej upadłego i skorumpowanego elementu murzyńskich slumsów, wśród alkoholików, byłych więźniów (posyłał pieniądze Murzynom w więzieniach) i przemawiając do ich zagubionej godności osobistej podawał im jako ostatnią deskę ratunku religię dającą w zamian za wiele wyrzeczeń — nadzieję i wiarę w dominację czarnego człowieka. Głosił, że Bóg jest czarny. *Black Muslims* przyjął się i jest produktem getta murzyńskiego w wielkich miastach północnych. Mimo opisywanej przez Baldwina łagodności Elijah'a, który ogłosił się prorokiem wybranym przez Allaha, i mimo otaczającej go „słonecznej” atmosfery, potrafił on wydawać okrutne wyroki, a ruch jego oparty o niewykształcony element murzyński jest niezmiernie wojowniczy i bezkompromisowy. Jest to grupa stosunkowo mała, opisałam ją nieco szerzej ze względu na jej egzotyczność i jako przykład wielu sekt narodowościowych murzyńskich, dla których dobrą pożywką jest zamknięty klimat getta.

Dużo poważniejszym, ciekawszym i bardzo aktualnym ruchem jest głoszona obecnie *Black Power*.

„Kiedy maszerujący poprzez Mississippi wyśpiewywali *Black Power*”, — pisze profesor David Danzig — „zwracali się do innych Murzynów, głównie do robotników rolnych, drobnych najemnych farmerów i mieszkańców małych miasteczek, którzy tłoczyli się wzdłuż dróg obserwując maszerujących demonstratorów. Slogan ten niewątpliwie miał różne znaczenie dla wielu z demonstrujących, którzy wykrzykiwali go tym razem chętniej niż zesłane *Freedom Now*. ... jest to przede wszystkim wzrastające w ciągu ostatnich dwudziestu lat poczucie wspólnoty grupy wśród Murzynów... jest to nowy, polityczny realizm oparty o świadomość, że jedyną drogą do wyzwolenia Murzynów jest solidarność grupowa”.

Były prezydent NAASP, Arthur Spingarn, powiedział, że gdy w roku 1914 piketował na rzecz praw Murzynów w Memphis, Tennessee, żaden z Murzynów nie przyłączył się do protestów. Rola białych w ruchu murzyńskim zmieniła się. Od czasu ruchu „abolicjonistów” aż do Drugiej Wojny Światowej sprawa murzyńskich praw wolnościowych pozostawała w ręku małych grup działaczy społecznych, którzy perswazją raczej niż siłą starali się przekonać rząd i społeczeństwo. Sytuacja zmieniła się nagle. To co było zagadnieniem raczej pobocznym wybuchło jako jeden z głównych problemów narodowych.

„Doszliśmy do takiego stanu” — pisze Danzig — „że nawet dobrze poinformowani ludzie nie mogą wymienić teraz nazwiska białego lidera o prawa cywilne, gdyż wszystkie te pozycje objęli Murzyni... w życiu amerykańskim pojawiła się nowa siła — jest nią Ruch Murzyński”.

Ruch ten nie jest monolityczny, różne są jego cele i różne aspiracje. Skoncentrowany jest jednak w kierunku uzyskania tego, co jest udziałem przeciętnego, białego obywatela Stanów: *good life*, udział w dobrobycie państwa.

Chociaż Ruch Murzyński ma jako swój główny cel polepszenie materialne czarnych, nie ogranicza się jednak do tego jednego aspektu. Stara się rozbudzić dumę z własnego pochodzenia, zaufanie do siebie, do siły organizacyjnej czarnych i poczucie godności jednostki.

Poprzez długie lata swojej historii Murzyni amerykańscy uważali białe społeczeństwo Stanów za twór monolityczny. Murzyni domagający się integracji społecznej, równości na każdym kroku z białymi, zorientowali się, że ci „biali” rekrutują się z różnych grup etnicznych i że każda z nich pielęgnuje swój własny separatyzm. „Białe dzielnice” nie były tylko białymi, były to albo dzielnice włoskie, albo irlandzkie, greckie, polskie czy żydowskie. „W kontraście do *upper-middle class* i grup bardzo zamożnych” — pisze profesor Danzig — „ich (grup etnicznych) uprzedzenie do koloru istnieje obok ich solidarności etnicznej i własnych grupowych interesów”. Murzyni nabierając doświadczenia w życiu miejskim, nauczyli się jeszcze jednej rzeczy od amerykańskich grup etnicznych: potrzeby zbiorowej, grupowej siły.

Nathan Glazer w artykule pt. „Murzyni i Żydzi”, ogłoszonym w żydowskim piśmie *Commentary* w roku 1964, pisze o napięciu pomiędzy Murzynami i Żydami, które ma swoją długą historię gdyż:

„doświadczenie Murzyna ograniczało się do Żyda, który go eksploatował, a nie do tego typu Amerykanina pochodzenia żydowskiego, który był jego współpracownikiem, przyjacielem, albo sprzymierzeńcem”. ... Nie wiem dlaczego w tylu miastach amerykańskich Murzyni usadowiali się w tych samych miejscach w których początkowo osiedlali się Żydzi... „Są trzy możliwe powody. Po pierwsze, Żydzi na ogół osiedlali się w dużych domach czynszowych, gdzie wynajmowali mieszkania i są to niewątpliwie tańsze warunki mieszkaniowe dla nowoprzybyłych. Po drugie, Żydzi byli bardziej ruchliwą ekonomicznie i geograficznie grupą imigrantów (niż na przykład Włosi czy Polacy) i w rezultacie ich dzielnice szybciej otwierały się dla imigrujących Murzynów. A wreszcie, Żydzi nie reagowali gwałtownie przeciwko nowo napływającemu elementowi — a w wielu wypadkach i tak już byli gotowi do przeprowadzenia się do innych dzielnic”.

Nathan Glazer w wyżej przytoczonym artykule tłumaczy antysemityzm murzyńskiego getta tym, że murzyński lokator czy klient nienawidził swego żydowskiego właściciela domu i sklepiarza, chociaż uczucia te nie były odwzajemnione. Murzyni spotkali się początkowo z Żydami jako ich lokatorzy, klienci albo służba domowa, a więc w charakterze ludzi zależnych i klasowo

niżej postawionych. Obecna konfrontacja żydowsko-murzyńska jest już innego wymiaru, zależność zostaje zastąpiona przez realizację.

„Raz jeszcze” — pisze Glazer — „historia postawiła Żyda o krok przed Murzynem. Teraz Murzyn-nauczyciel zależny jest od Żyda-kierownika szkoły, Murzyn-*social worker* — od żydowskiego zwierzchnika. W roku 1963 na 800 kierowników szkół w Nowym Jorku tylko jeden był Murzynem, tylko 4 wyższe pozycje w administracji na 1.200 zajęte były przez Murzynów... większość tych pozycji zajęta była przez Żydów którzy w latach trzydziestych zaczęli masowo napływać do szkolnictwa. W tym wypadku Murzyni, którzy do szkolnictwa zaczęli dostawać się później, mają niższe niż Żydzi pozycje. Co gorsze, obarczają białych (konkretnie Żydów) odpowiedzialnością za słaby poziom nauczania dzieci murzyńskich”.

„Murzyn” — pisze Nathan Glazer — „domaga się wejścia do świata i do społeczeństwa, które egzystuje tylko w wyobraźni. W świecie takim istnieje tylko jedno amerykańskie społeczeństwo, a dziedziczność, cechy etniczne, religia, rasa, są tylko ubocznymi, nieważnymi cechami charakterystycznymi”. Glazer pisał swój artykuł w roku 1964, od tego czasu Murzyni zmienili się i zaczynają tworzyć swoją własną grupę etniczno-narodową. Ogień, który tlił się w nich przez okres niewoli, przez lata upokorzeń, płomień w który sami nie wierzyli, wybuchł z potężną, przerażającą siłą. Czy Ameryce uda się opanować ten ogień? Czy będzie on żywiołem oczyszczającym, czy też niszczącym? Jedno jest pewne: problem ludzi kolorowych w Stanach Zjednoczonych wzrasta. Nie napisałam rasy murzyńskiej, gdyż Murzyni amerykańscy nie są rasą, są grupą ludzi ograniczanych i maltretowanych społecznie i politycznie przez całą historię Stanów, grupą ludzi w których mieszała się krew afrykańska z białą krwią przybyszów z całej Europy, którzy w nowym świecie szukali wolności.

Protest jest naturalnym prawem istoty ludzkiej. W każdym z nas drzemie Sfinks, pół-zwierzę o ludzkiej twarzy i każdy z nas zdolny jest do gwałtu, ażeby zadokumentować swoją wolę. A przede wszystkim każdy z nas chce się liczyć, być sobą, ale nie sobą w samotności. W dżunglach nowoczesnych miast szukamy uznania dla własnego „ja”, domagamy się respektu dla niepowtarzalnej jedyności naszego człowieczeństwa. O to uznanie, respekt i zadokumentowanie własnego człowieczeństwa walczy Murzyn amerykański.

Tak, jak wśród białych tak i wśród Murzynów różne są jednostki, różne ich wykształcenie, poziom moralny i środki, którymi się posługują. Wiele rzeczy irytuje nas, budzi w nas odrazę i uczucia te rozciągamy natychmiast na całą grupę ludzi. Stąd uczucia anty-murzyńskie, anty-polskie, antysemityzm. Wzrok nasz nie

nabrał jeszcze tej bystrości, aby przez potrójną zasłonę różnic: koloru skóry, religii i pochodzenia dojrzeć twarz człowieka. Może dlatego, tak jak w biblijnej przepowiedni i pieśni murzyńskiego niewolnika, Bóg zamiast wody zsyła ogień.

Danuta MOSTWIN

BIBLIOGRAFIA

1. Myrdal, Gunnar, *An American Dilemma*, 1944.
2. Rose, Arnold, *The Negro in America*, 1948.
3. *Report of The National Advisory Commission on Civil Disorders*, 1968.
4. Baldwin, James, *The Fire Next Time*, 1962.
5. Baldwin, James, *Another Country*.
6. Baldwin, James, *Giovanni's Room*.
7. King, Martin Luther, Jr., *Why We Can't Wait*, 1963.
8. King, Martin Luther, Jr., *Strength to Love*, 1963.
9. De Graft-Johnson, J.C., *African Glory*, 1954.
10. Du Bois, W.E.B., *Black Folk Then and Now*, 1939.
11. Rudwick M. Elliot, *Race Riot At East St. Louis, July 2, 1917*, 1964.
12. Bronowski, J., *The Face Of Violence*, 1954.
13. Moynihan P. Daniel, *The President and The Negro: The Moment Lost*, A Commentary Report, 1967.
14. Glazer, Nathan, *Negros and Jews: The New Challenge to Pluralism*, Commentary, 1964.
15. Danzig, David, *In Defense Of 'Black Power'*, Commentary, 1966.
16. Goldman, Eric, *Rendez-vous with Destiny*, 1952.
17. Wilson, Armistead, *A Tribute for the Negro*, 1848.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

KŁOPOTY AWANGARDY

Wyrazy, jak wiadomo, zmieniają swój sens. Można by więc zapytać co znaczą dziś takie wyrazy jak *nonkonformista* lub *antykonyformista*. Vittorio Mathieu w mającym się niedługo ukazać *Dizionario delle parole di moda* pisze: „Wyraz *antykonyformista* jest dziś tytułem, z którego nie chciałby zrezygnować nikt, kto ubocznie chociażby bierze udział w życiu umysłowym lub towarzyskim. Na szczęście jest mnóstwo sposobów zasłużenia sobie bez większego ryzyka na ten tytuł. Wiele zależy od trafnego wyboru norm, którym wypowiada się posłuszeństwo. Są reguły, z którymi lepiej nie wojować, aby nie ściągnąć na siebie przykrości w postaci wyroku sądowego lub potępienia opinii. Są jednak także reguły na pozór powszechnie obowiązujące, lecz które utraciły aktualność, i których przekroczenie nie budzi gniewu władz ani obywateli. Wśród nich przezorność każe wybierać. Są reguły powszechnie znane, mające za sobą autorytet Dekalogu, tradycji, etykiety, ustaw; reguły, które przed kilku wiekami mogły zaprowadzić nieposłusznego na stos i dziś jeszcze teoretycznie wtrącić go do więzienia, lecz których przekroczenie w rzeczywistości nic nie kosztuje, bo nie stoi za nimi żadna realna siła która nakazywałaby je szanować”.

Tyle słownik modnych wyrazów. Jest rzeczą oczywistą, że najłatwiej jest dziś być nonkonformistą w dziedzinie sztuk pięknych. Obowiązują w nich tylko reguły gustu i jedyną sankcją grożącą nieposłusznemu jest wzruszenie ramion najbliższych stojących.

Nie zawsze jednak tak było. Przez długi czas dziedzina ta podlegała silnej interferencji religii. Na wciąż np. aktualne pytanie, czy wypada przedstawiać postać ludzką w rzeźbie i malarstwie, wierzący dawali kilkakrotnie przeczącą odpowiedź. Pierwsi

chrześcijanie, zaledwie przyszli do władzy, poobtłukali młotkami nosy wszystkich prawie znanych nam posągów greckich i rzymskich, ikonoklaści zabronili w ogóle przedstawiania człowieka, protestanci wreszcie wyrzucili z kościołów rzeźby i zeskrobali ze ścian freski. W tych czasach fanatyzmu nonkonformizm nie popłacał.

W epoce Baroku kościół był głównym mecenasem artystów i z gustami jego należało się liczyć. Reguł wprowadzić nie brakło, lecz stawały się coraz mniej imperatywne. Wszechpotężny „pan kardynał” mógł powoływać komisję Akademii Francuskiej dla zbadania czy Corneille w *Cydzie* przestrzega reguł Arystotelesa, lecz można było także głośno powiedzieć, że Arystoteles był osłem, nie ściągając na siebie kary Boskiej. Nieomylność w sprawach sztuki zachowali dotąd tylko kapłani marksizmu-leninizmu. Dzięki tej okoliczności artyści rosyjscy malują wciąż w stylu *pieredwiżników*, dając jedyny w swoim rodzaju przykład cierpliwości i immobilizmu. Gdzie indziej przez dłuższy czas sądy w sprawach sztuki ferowano na podstawie dobrego smaku, opartego na autorytecie tzw. wyższych sfer towarzyskich, którym przypisywano szczególne uzdolnienia smakotwórcze. W imieniu powoli zmieniających się gustów odrzucano zbyt śpiesznych nowatorów.



Gdy w *Dzienniku* Goncourtów czytamy, że Paryżanie pękali ze śmiechu przed obrazami Maneta, trudno nam to sobie wyobrazić, bo w pierwszych latach obecnego stulecia nastąpiła w tej dziedzinie głęboka przemiana pojęć i obyczajów.

Rewolucja zaczęła się od futurystów. Odtąd wszystko co miało pozory nowości i odbiegało od poprzednich wzorów stało się towarem najbardziej poszukiwanym na rynku artystycznym. O gustach burżuazji przyjęto mówić z lekceważeniem. Bankierzy i przemysłowcy, w granicach swych możliwości, popierali awangardę. Jako świadek tego przewrotu usiłowałem zrozumieć przyczyny niespodzianej sympatii bankierów do tzw. nowej sztuki, równie obcej im jak robotnikom. Myliłem się zapewne szukając w tym aliansie między finansjerą i bohemą jakiejś głębszej kalkulacji. Po prostu być może ludzie zamożni, niedawno jeszcze ryczący ze śmiechu przed obrazami Maneta i — poza nielicznymi wizytami w operze — pozbawieni kontaktu ze światem sztuki, uznali, że ich sytuacja majątkowa i towarzyska wymaga odświeżenia tych tradycyjnych stosunków, i za przewodników wybrali artystów nowej bohemy, których przedsiębiorczość i pomysłowość nie uszły ich uwagi.

Zmiana orientacji wyższych sfer stała się zielonym sygnałem

dla pospolitego ruszenia, pragnącego przede wszystkim być *à la page*. Był to początek powszechnego nonkonformizmu, o którym mówi Vittorio Mathieu. Wszystko, co wydawało się nowe i zrywało hardo z tradycją, było dobre. Słyszałem pianistów grających pod włos Beethovena i Chopina. Cokolwiek odpowiadało tym kryteriom, było komentowane przez krytyków i profesorów w namaszczonej i hermetycznej języku wtajemniczonych. Z historii Maneta wyciągnięto wniosek, że każdy twór sztuki, który wydaje się dziś groteskowy, będzie jutro bardzo poszukiwanym towarem. Szerząc się wśród handlarzy obrazów, mniemanie to przyniosło nowatorom pewne powodzenie materialne. Na wystawie futurystów, jaką widziałem w 1911, wszystkie obrazy zostały wykupione w dniu wernisażu.



Sztuki plastyczne podzieliły się w XX wieku na dwie odmiany: na sztukę mniej lub więcej figuratywną, jaką możemy oglądać w paryskim Musée d'art moderne, i na abstrakcyjną sztukę awangardy, której największe zbiory znajdują się w amsterdamskim Stedelijk Museum. Tam też zebrane są wszystkie prawie znane obrazy Kazimierza Malewicza.

Od początków awangardy — tj. od futurystów, supematystów i dadaistów — dzieli nas 50-60 lat, okres czasu odpowiadający dwu pokoleniom. Nagromadzone doświadczenie pozwala już rozpoznać niektóre punkty graniczne zjawiska awangardy. Widzimy więc, że nie udało się jej pociągnąć za sobą całej młodzieży. W ostatnich latach zaczęły mnożyć się wystawy młodych i najmłodszych, którzy nie chcą nic słyszeć o abstrakcji i innych nowościach. Wiek zaczął ciążyć awangardzie. Zwrócenie zasadniczo ku przyszłości, awangardyści oglądają się dziś za siebie. Z okazji 50-lecia grupy *dada*, w kilku miastach wystawiono pozostałe po niej relikty. Na tegorocznej Biennale projektowano wystawę pierwszych futurystów. Do ruchu awangardy, będącego dotąd wyścigiem nowości, w którym każdy nowy pomysł deklasował poprzednie, retrospekcja wprowadziła czynnik obcy i niebezpieczny. Okazało się, że złotym wiekiem pomysłowości był okres *dada* i że niewiele wymyślono odtąd istotnie nowego. Dla mnie, który znał Hugo Balla z czasów studenckich i bywał w zuryskim Cabaret Voltaire, miejscu spotkań pierwszych dadaistów, nie było to żadnym odkryciem, ale po 50 latach świadkowie są już bardzo nieliczni i nie mogą polegać zbyt na swej pamięci. Jubileusz ruchu *dada* pozwolił wszystkim zapoznać się z jego początkami. Pierwsi dadaści pracowali w rodzaju euforii, bawiąc się serdecznie swymi pomysłami, które późniejsi naśladowcy rozrabiali *mit*

tierischem Ernst, jak mówią Niemcy, ze zwierzęcą powagą. W swym aspekcie historycznym wyścig nowości ukazał się, częściowo przynajmniej, jako pół wieku przeżuwania inwencji dadaistów.

Inne, bardziej istotne ograniczenie awangardy wynika z charakteru omfaloskopicznego jej twórczości, z jej pogardy dla świata zewnętrznego, który teoretycy chcieliby pozostawić fotografom. Ci ostatni nie zgłosili się zresztą wcale po ten spadek. Wręcz przeciwnie, dali się wciągnąć sami w ruch awangardy. Przed kilku laty widziałem wystawę fotografii naśladowujących malarstwo abstrakcyjne. W literaturze zamykanie się artystów w ich świecie wewnętrznym i odwracanie się od zjawisk zewnętrznych nie jest nowością. Znali je romantycy; Dostojewski, który tak często obwoził swych bohaterów koleją, nie wzmiankuje nigdzie, aby widzieli coś przez okna wagonu. Sigmond Freud rozszerzył granice naszego życia wewnętrznego. Potem przyszli Franz Kafka i James Joyce, mistrze literatury XX wieku. Herzmanovsky-Orlando, wymieniając *Omphaloskopische Studienkommission* wśród głównych instytucji kulturalnych dawnego Wiednia, myślał zapewne o literaturze, nie przewidując rozszerzenia się tego prądu na sztuki plastyczne. Dziś, po 50 latach doświadczenia, trudno się oprzeć wrażeniu, że omfaloskopia nie przyniosła szczęścia sztukom plastycznym i nie leżała być może wcale w ich naturze. Wbrew przewidywaniom pierwszych entuzjastów świat wewnętrzny artystów okazał się jednostajny i bogactwa jego zostały szybko wyczerpane. Nie mając pewności co do wybranej drogi, awangardysty, jak przed nimi szkoły konserwatywne, zaczęli powoływać się na sławnych przodków i pół wieku tradycji.

Przez pewien czas wydawało się, że awangarda utraciła swój impet i powraca do bardziej tradycyjnych form sztuki. Surrealizm zwłaszcza sugerował możliwość takiej ewolucji. Wkrótce jednak wzrastająca fala malarstwa abstrakcyjnego zmyła wszystkie próby moderantyzmu. W kilka lat później na horyzoncie ukazała się nowa czołówka awangardy, w zapale nowatorskim zrywająca nie tylko z tradycją, ale, zdawałoby się, z samą sztuką. Mam tu na myśli takie zjawiska jak *pop art*, *happenings*, *environments*, *mini-art* i in.

Dziś, jak przed 60 laty, muza skrajna znajduje protektorów w sferach najzamożniejszych. Można jednak wątpić aby nowi mecenaszy byli bezpośrednimi potomkami dawnych. Znalezione na strychu obrazy futurystów, kupione przez przodków, dałyby im zapewne do myślenia. Na szczęście dla awangardy z wojen i przewrotów, w których stopniały dawne fortuny, wyszli nowi milionerzy przyjaciele muz. Produkcja artystyczna awangardy zwraca się zresztą coraz mniej do klienteli prywatnej. Od protektorów

awangardyści oczekują raczej poparcia w ministerstwach, radach miejskich i parlamentach.



Awangarda, operująca niegdyś na terenie bohemy przetykanej milionerami, spowaźniała i uległa procesowi instytucjonalizacji. Jest dziś przemysłem narodowym, subwencjonowanym z funduszków publicznych. Pościg za nowością stał się zjawiskiem ciągłym, stałym, uregulowanym. W systemie tym wenecka Biennale jest centralnym ośrodkiem awangardy, konsekrującym nowe prądy i polecającym je innym instytucjom subwencjonowanym. Wystawa ta utrzymywana jest ze środków miasta i rządu włoskiego, którego przedstawiciel zasiada w zarządzie przedsięwzięcia. La Biennale nabiera przez to charakteru urzędowego, oficjalnego. Wystawiającym w Wenecji artystom amerykańskim to nie szkodzi, artyści europejscy natomiast, zwłaszcza włoscy, nie wszyscy czują się wygodnie w tych oficjalnych butach. Artystów jadących rzekomo na samej szpicy nonkonformizmu i rzucających po drodze zuchwałe wyzwania wszystkim tradycjom, zbyt oficjalna opieka rządów chrześcijańsko-demokratycznych może łatwo postawić w fałszywe położenie. Jeszcze łatwiej narazić się na zarzut, że reprezentowany przez nich rodzaj sztuki nie powstał ani z ich własnej inicjatywy, ani z wolnego wyboru publiczności, lecz został narzucony przez system subwencji i życzliwą perswazję czynników oficjalnych.

Ze swej strony zarządy miejskie, ministerstwa kultury i komisje budżetowe parlamentów nie bez racji wzbraniają się oceniać wartość artystyczną wystawianych przy ich pomocy dzieł sztuki, pozostawiając to zarządom towarzystw, administrujących muzeami i lokalami wystawowymi. Stąd walka awangardy z tradycją przybrała w ostatnich latach charakter wojny pozycyjnej. Walka toczy się o każde miejsce w zarządzie subwencjonowanych towarzystw i o sterroryzowanie pozostałych członków dla uniknięcia niebezpiecznych rozłamów. Taka sama walka toczy się o instancje reprezentujące opinię publiczną. Miejsce krytyka, zwłaszcza w piśmie konserwatywnym, który omawiałby szeroko wszystkie poczynania awangardy, pomijając milczeniem inne, chociażby najważniejsze manifestacje artystyczne, jest w tej wojnie cenną pozycją.

Przed kilku laty od pewnego malarza mediolańskiego posyłałem następujące zwierzenie: „Z temperamentu i wykształcenia jestem malarzem figuratywnym i czułem wstręt do abstrakcji. Ale cóż? Abstrakcyoniści uniemożliwili mi udział w wystawach zbiorowych, sprzedaż obrazów nastroczała mi niepokonane trudności. Wobec tego przed ośmiu laty skapitulowałem i zacząłem, jak inni, malować obrazy abstrakcyjne i w tym rodzaju, jak pan

widzi, osiągnąłem nawet pewne powodzenie. Myślę jednak wciąż, że malarstwo abstrakcyjne nie ma przyszłości, i że straciłem bezpowrotnie osiem lat życia”.

Kiedy porównuję Malewicza i innych nowatorów sprzed pół wieku z obecną awangardą zorganizowaną, mam wrażenie, że postawy ich różnią się od siebie zasadniczo. Pierwsi zbliżali się samotnie do wielkiej przygody, drudzy idą kupą rycząc głośno dla nadania sobie kontenansu i przestraszenia inaczej myślących. Pewien włoski uczony, autor ciekawej rozprawy o roli matematyki u malarzy weneckiego *settecenta*, opowiedział mi następującą anegdotę. Gdy z przyjacielem, profesorem w Academia Brera, zwiedzali przed kilku laty wystawę malarzy abstrakcyjnych w Padwie, ich wymienianym półgłosem uwagom przysłuchiwał się chodzący za nimi krok w krok starszy pan o imponującej staturze, jak się później okazało członek jury weneckiej Biennale, który tracąc wreszcie cierpliwość ryknął: *Via, contadini!* Precz stąd ciemni chłopci! Wy i tak nigdy nic ze sztuki nie zrozumiecie. Ortega y Gasset słusznie dostrzega podobieństwo między dzisiejszą awangardą i ikonoklastami. Łączy ich nie tylko pokrewieństwo doktryny, lecz także fanatyzm i nietolerancja.

Po 50 latach tryumfów malarstwo abstrakcyjne przestało być nowe i zaczęło się przykrzyć. Nowości trzeba było szukać gdzie indziej. Korzystając ze swej organizacji awangarda mogła odrzucić pędzle i palety, inaugurując epokę antymalarstwa. Przypuszczam, że nazwa ta odpowie najlepiej kierunkom zwanym *pop art*, *hapenings*, *environments* i *minimal art*. Na tym niebezpiecznym zakręcie kryzys tegorocznej Biennale zasługuje na uwagę.



Co się stało w Wenecji? 18 czerwca miał się tam odbyć wernisaz tegorocznej Biennale. Wtajemniczeni w prace przygotowawcze zauważyli już przedtem pewne niezdecydowanie organizatorów wystawy. Z jednej strony wystawa miała być miejscem startu najnowszej twórczości awangardowej pod obiecującą nazwą *mini-art*; jednocześnie, robiąc konkurencję muzeom historycznym, miała zawierać obrazy czterech najstarszych futurystów i wystawę, ilustrującą poszukiwania plastyków w latach 1950-1965. Inni zauważyli, że coraz widoczniejszy powrót do malarstwa figuratywnego, uchodzący za ostatnią nowość, reprezentowany będzie na wystawie tylko przez artystów amerykańskich. Inni pozostali wierni tradycyjnemu malarstwu abstrakcyjnemu.

Przygotowania do wystawy zbiegły się z buntem młodzieży paryskiej i ogólnym poczuciem niepewności, wskutek czego wszyst-

kie przygotowania uległy spóźnieniu i w przededniu wernisażu brakło jeszcze połowy eksponatów.

Nadto w samej Wenecji bunt młodzieży ześrodkował się na przygotowującej się do otwarcia wystawie. Około setki studentów miejscowej Akademii Sztuk Pięknych, okupujących od 3 miesięcy swą uczelnię, razem z grupą młodych malarzy weneckich, utworzyło komitet bojkotu Biennale. Rozeszły się pogłoski, że studenci przygotowują demonstracje i będą próbowali okupować lokale wystawy. Ponieważ studenci uniwersytetu i robotnicy odmówili udziału w bojkocie i demonstracjach, gra toczyła się nie na tle ogólnej „kontestacji”, ale przybrała formę konfliktu między młodzieżą artystyczną i awangardą-instytucją, popieraną przez czynniki oficjalne. Wrogość młodzieży była bolesnym ciosem dla awangardystów. Zapewne, po 50 latach awangarda osiągnęła wiek kanoniczny, ale przypomnianie sobie tego jest rzeczą przykrą.

Przezorniejsi radzili odłożyć wernisaż, ale czynniki urzędowe, widząc przed sobą garstkę studentów i malarzy, zdecydowały się na próbę sił. Z Triestu i Padwy sprowadzono tysiąc policjantów i karabinierów; gęsty kordon otoczył budynki wystawowe. Wieczorem na pełnym turystów placu San Marco ukazała się grupa studentów niosących transparenty. Jedne mówiły po prostu „Precz z wystawą!”, inne poruszały motywy społeczne: „*Espositori premiati contro operai licenziati*”. Policja rzuciła się rozpędzać manifestantów i w zamieszaniu poturbowała kilku turystów.

Reakcja awangardystów była burzliwa. Z 22 artystów włoskich 18 wycofało się z wystawy, wysyłając protest do szefa rządu w Rzymie i żądając odwołania dyrektora administracyjnego wystawy, któremu przypisywali winę zajść. Wycofało się trzech z czterech artystów francuskich i wszyscy Szwedzi; Japończycy nie przyjechali. Podczas trwającego trzy dni wernisażu lokale wystawy były częściowo puste, zamknięte lub pełne skrzyń, do których pakowano eksponaty wycofane. Zrazu Weneccjanie nie rozumieli pretensji artystów obcych. „Czemu są niezadowoleni?” — pytali. — „Czyż nie zrobiono wszystkiego dla zapewnienia bezpieczeństwa ich osobom i arcydziełom, nie mówiąc o reklamie?” Dla awangardy była to jednak prawdziwa antyreklama. Co bowiem myśleć o rodzaju sztuki, któremu po 50 latach nie wystarczają subwencje, i którego trzeba bronić od publiczności przy pomocy sił zbrojnych?



Wenecka Biennale jest główną twierdzą awangardy posiadającą największy autorytet i pochłaniającą najwięcej pieniędzy. Są także mniejsze twierdze, równie ambitne i subwencjonowane.

W Bernie należy do nich Kunsthalle, lokal wystawowy wzniesiony przed pół wiekiem i zarządzany przez miejscowe stowarzyszenie artystów i ich przyjaciół. Poświęcona sztuce XX wieku, Kunsthalle wystawiała dzieła artystów bliższych awangardy, jak twórca suprematyzmu Malewicz, i Otto Nebel, senior abstrakcjonistów niemieckich, lecz także dalszych od niej, jak niemiecka grupa *Die Brücke* lub rzadko widywany w galeriach malarz francuski Jean Bazaine. Przed kilku laty jednak czołówka awangardy opanowała zarząd Kunsthalle i odtąd produkty ołówka, pędzla i dłuta pojawiają się w niej coraz rzadziej.

Ostatni sezon rozpoczął się od dwóch wystaw „młodych artystów angielskich”. Na pierwszej w głównej sali znajdowały się tylko dwa skromne eksponaty: w jednym końcu ustawiono grupę żółto lakierowanych desek w szyku luźnym, niby w warsztacie stolarza wyrabiającego trumny; w drugim końcu stała równie luźna kompozycja z czerwonej blachy. Na następnej wystawie w tejże sali leżało na podłodze kilka grup rur z plastyku, trochę zaledwie mniejszych od rur kanalizacyjnych. Wśród tych eksponatów przechadzało się kilkanaście młodych kobiet w *minijupes* i kolorowych pończochach, zaproszonych widocznie przez dyrektora dla uniknięcia zarzutu, że na wystawie nie było nic ciekawego do widzenia. W dorocznym sprawozdaniu dyrektor Kunsthalle chwalił artystów angielskich jako jedną z najżywotniejszych grup awangardy, mającą zresztą za sobą laury zdobyte na Biennale w 1966. Z tego sprawozdania dowiadujemy się, że koszty tej wystawy wyniosły przeszło 38.000 frs. Mimowoli przychodzi na myśl, że stolarze berneńscy i miejscowa fabryka opakowań z plastyku mogłyby dostarczyć tych eksponatów za kilkaset lub nawet kilkadziesiąt franków. Ale kto mówi o kosztach, gdy chodzi o sztukę awangardy? Wprost z Kunsthalle dzieła angielskich artystów miały być przewiezione do Düsseldorfu i Amsterdamu, gdzie czekali na nie nowi entuzjaści i nowe subwencje.

Wystawa urządzona w Kunsthalle w lipcu rb. z okazji jej 50-lecia miała być miejscem startu nowego rodzaju sztuki noszącego nazwę *environments* (termin ten pochodzenia amerykańskiego wymawia się *enwajronments*), co ma znaczyć otoczenie, obramowanie. Otoczenie czego? Czegokolwiek, chociażby próżni. Stosownie do programu na wystawie znalazły się tylko trzy „obzedary”, reszta, bez związku z nimi, tworzyła otoczenia rzeczy nieobecnych, których nic nie sugerowało natury.

Environment zaczynało się od budynku Kunsthalle, który w przeddzień wernisażu zawinięto w mleczno-białe olbrzymie prześcieradło z plastyku. Autorem tego arcydzieła był bułgarski awangardysta Christo, który zapakował już w plastik kilka budynków w Niemczech i w Ameryce. Wychodząc ze słusznej przesłanki, że

brzydotę współczesnej architektury należałoby zasłaniać, Christo wyciągnął z niej mało przekonujące wnioski. W Bernie np. nie wykorzystał właściwości luźno spadających tkanin i warstwę plastyku obwiązał gęsto sznurami. W tym stroju Kunsthalle była najpodobniejsza do toboła brudnej bielizny, czekającego na transport. Do wnętrza wchodziło się przez wąską szczelinę między fałdami plastyku. Dla uspokojenia gości rozpowszechniono ustnie wiadomość, że Christo używa niepalnej odmiany plastyku. W przeddzień wernisażu przechodząc koło Kunsthalle odciąłem wąski pasek plastyku i przyłożyłem doń zapalną: zapłonął żywym ogniem. Potem dowiedziałem się, że policja zrazu nie chciała pozwolić na owijanie kilkuset zaproszonych w łatwopalny materiał i dopiero na interwencję wpływowych mecenasów udzieliła pozwolenia na trzy dni. Straż ogniowa znajdowała się w stanie alarmu.

Następnego dnia, idąc z przyjaciółmi na wernisaż, zobaczyliśmy stojącego przed Kunsthalle umundurowanego agenta t-wa Securitas, szwajcarskiej policji prywatnej. Widocznie niezadowolony, powiedział: „Nigdy bym nie przyjął tu pracy, gdybym był przedtem wiedział, że chodzi tu tylko o ośłupianie ludu”. Na to zauważyłem, że lud nie da się wyprowadzić w pole, i że zabawa w Kunsthalle jest przeznaczona dla zamożnych. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Widocznie w Bernie ludzie bogaci nie uchodzą za obranych z rozumu. Szmul Tojer, doświadczony kupiec z Włodzimierza na Wołyniu, formułował tę opinię w słowach następujących: „Człowiek bogaty nie może być zupełnie głupi, bo jeżeli Bóg mu poskąpił rozumu, pieniądze będą myślały za niego”. Ale czy to jest prawda? Czy nie był to tylko subtelny komplement starego kupca dla pieniądza i jego posiadaczy?

W westybulu dalszą drogę zagrażał przedmiot niezwykle w tym miejscu jakkolwiek dobrze znany z lunaparków. Był to gumowy wór szeroki na cztery i gruby na pół metra, wypełniony wodą i uginający się pod stopami wchodzących. W lunaparkach przedmioty takie otaczają salwy śmiechu; ręce wyciągają się do osób tracących równowagę. Tu nikt się nie śmiał. Wszyscy zdawali się zbyt zajęci umieszczeniem wora wśród dzieł sztuki, aby ocenić komizm sytuacji. Katalog mówił, że wór był dziełem niemieckiego artysty nazwiskiem Klaus Ringe, którego twory — wystawiane już w Paryżu, Berlinie, Luxemburgu itd. — są „niemal przerażającej prostoty”. Fotografia przedstawia artystę jak leży, ubrany, w wannie.

Po pokonaniu tej przeszkody wchodzący znajduje się przed wysokim do pułapu murem ze skrzynek od mydła, zagrażającym wejście do głównej sali. To nowe dzieło przerażającej prostoty nosi podpis amerykańskiego artysty Andy Warhola. Liczący 37 lat

Warhol jest już sławnym artystą plastykiem i filmowcem, wystawiał w Los Angeles, New Yorku, Amsterdamie, Paryżu, Kolonii, Monachium, Wiedniu i dwudziestu innych miastach. Literatura o nim wynosi kilkadziesiąt pozycji. Uchodził za jednego z mistrzów *pop art*'u. Dla urozmaicenia biografii katalog zawiera także fotografię Warhola z młodą aktorką, która postrzeliła go ponieważ zajął w jej życiu zbyt wiele miejsca. Sam Warhol daje swym admiratorom następującą receptę: „Kto chce o mnie wiedzieć wszystko, niech patrząc na moje obrazy, filmy, na moją osobę, trzyma się samej powierzchni. Tam mnie znajdzie: pod spodem nie ma nic”. Jeden z komentatorów ubiera tę myśl w ezoteryczny język krytyków: „W życiu prywatnym (Warhol) broni się przy pomocy zdecydowanej i lodowatej naiwności. Trzyma się z dala od świata, filtruje i odkaża go, aby uwolnić od choroby zwanej duszą, z której wieje ciepło i zimno. Chce być kamieniem wśród kamieni, maszyną wśród maszyn: chce spłycić świat i zrobić go nieszkodliwym. Wówczas wszystko staje się piękne”. Zatem — o ile słowa te zrozumiałem i o ile są w ogóle do zrozumienia przeznaczone — Andy Warhol identyfikuje się ze starym kartonem od mydła i „aby wszystko stało się piękne” proponuje tę samą receptę widzom. Nie jestem jednak pewny czy na drodze do piękna Warhol jest dobrym przewodnikiem. Jedna z mniejszych sal Kunsthalle wyklejona jest papierowym obiciem jego produkcji. Jako jedyny ornament figurują na nim krowie głowy naturalnej wielkości, tworzące ukośne szeregi, Brzydota i wulgarność tego taniego papieru są tak napastliwe, że osoby wrażliwe dostają na jego widok swędzenia skóry. Uciekłszy w popłochu od warholskich krow, nie zauważyłem stojących tamże eksponatów artysty o swoim nazwisku Piotra Kowalskiego, do których musiałem wrócić nazajutrz.

Piotra Kowalskiego poprzedził tym razem pewien rozgłos, należał bowiem do artystów, którzy wycofali się z tegorocznej Biennale. W katalogu widzimy zdjęcie przedstawiające taką scenę: dwaj mężczyźni zasłaniają drzwi wielkim kartonem, na którym czytamy: „Zamknięte do końca Biennale. Odmawiamy wystawiania pod protekcją zbrojnej policji”. Kowalski uchodzi za koryfeusza *minimal art*, nowego pomysłu awangardy, który tegoroczna Biennale miała właśnie przedstawić szerszej publiczności.

Urodzony we Lwowie w 1927, Piotr Kowalski wyjechał w 1946 do Brazylii, gdzie próbował malarstwa; potem przeniósł się do Stanów, gdzie w Massachusetts Institute of Technology studiuje architekturę, fizykę i matematykę, zdobywając w 1952 dyplom architekta. Specjalizuje się w zastosowaniach materiałów plastycznych do budownictwa i jest autorem wynalazków praktycznych w tej dziedzinie, ułatwiających prefabrykację domów miesz-

kalnych. Jego projekty budowlane zyskują nagrody i uznanie we Francji, gdzie Kowalski mieszka obecnie. Nie rezygnuje jednak z ambicji artystycznych. W 1965 demonstruje na zjeździe rzeźbiarzy w Kalifornii sposób modelowania stali przy pomocy dynamitu. Jego kompozycja z nierdzewnej stali wysoka na 7 metrów, i na którą artysta zużył 28 kg. dynamitu, zdobi campus uniwersytetu w Long Beach. Proceder ten, jak można przypuszczać, wysunął go na same czoło awangardy. Jest sławny i niezależny. Na fotografii z ostatniej Biennale widzimy go jak pogodnie uśmiechnięty trzymać nogi w starych chodakach na stole. Artysta, który zamiast ołówka i pędzla używa dynamitu? To jest coś nowego. Każdy chciałby to zobaczyć.

Ekspozaty Kowalskiego z tegorocznej Biennale nie mają jednak nic wspólnego z dynamitem. Katalog weneckiej wystawy przedstawia go jako koryfeusza *minimal art*, poetę pięciu „form matek”: sześcianu, kuli, piramidy, stożka i cylindra. Jeden z krytyków włoskich pisze, że Kowalski w imponujący sposób ukazuje pierwsze wzloty myśli odrywającej się od kontemplacji przyrody, i w tym widzi program sztuki minimalnej lub esencjonalnej.

Kompozycje Kowalskiego w Kunsthalle nie odbiegają od weneckiego programu. Są to przezroczyście sześciiany spięte listewkami z ciemnego metalu. W jednym z nich widzimy małą piramidę ze świecących się rurek neonu. Nieczuły na poezję „form matek” nic o kompozycjach Kowalskiego nie umiem powiedzieć prócz tego, że różnią się korzystnie od wypełniających Kunsthalle *environments*. Robią mianowicie wrażenie przedmiotów czysto umytych i odkurzonych, gdy reszta budynku przypomina raczej śmietnik niż przybytek muz.

Wśród *environmentów* główną atrakcją jest dzieło R. J. Soto, artysty urodzonego w Wenezueli w 1923 i mieszkającego od 1950 w Paryżu. Kompozycja jego zajmuje całą główną salę. Wzdłuż ścian zwiesza się z pułapu kilka warstw cienkich rurek metalowych, które, potrącone, wydają dźwięk szklanych dzwonek. Pomysł ten, uznany za genialny już na Biennale 1966, otrzymał różne nazwy — muru panoramicznego, ściany kinetycznej, penetrable — i otworzył wielką służę pustosłowia. Niektórzy krytycy widzieli w nim jutrenkę przyszłego urbanizmu.

„Ściany kinetyczne” i „penetrable” w tysiącach wariantów można oglądać we Włoszech Południowych. Dlaczego nikt tego nie zauważył? Widocznie pół wieku sztuki omfaloskopicznej, pogardzającej światem zewnętrznym, przytępiły zmysł spostrzegawczy naszych współczesnych. Artyści i krytycy podróżują obecnie jak Jonasz w brzuchu wieloryba, który jeździł daleko ale widział mało.

„Penetrable” są ubocznym produktem trzęsień ziemi, podczas

których drzwi zacinają się, właśnie w chwili, gdy z walących się domów trzeba śpiesznie uciekać. Tam gdzie trzęsienia ziemi są częste, drzwi zastąpiono zasłonami, aby jednak obcy nie mogli wchodzić niepostrzeżenie, zasłony składają się ze sznurów paciorków, rurek szklanych lub metalowych które, potrącone, dzwonią dyskretnie. W niektórych miastach tylko banki, urzędy, muzea i szkoły posiadają prawdziwe drzwi, zamykane na noc po wyjściu publiczności i pracowników. Wraz z robotnikami włoskimi obyczaje Południa zeczęły przenikać także do Szwajcarii, i jedną z tych zasłon oglądać można w Bernie u wejścia do Café Blaser. W Wenezueli trzęsienia ziemi są tak częste, że dyskretnie dzwoniące zasłony należą zapewne do tamtejszego folkloru.

Z ulgą opuszczam Kunsthalle, przedzierając się ku wyjściu przez wór z wodą i kłęby plastyku, ale wystawa tu się jeszcze nie kończy. Przed Kunsthalle stoi mianowicie kompozycja berneńskiego artysty Bernharda Luginbühla, ur. w 1929, która ze względu na rozmiary — 8×6 m — musiała pozostać za drzwiami. Autora jej katalog przedstawia jako talent tytaniczny, „dla którego agresywność jest naturalną możliwością”. Z daleka kompozycja ta, pomalowana na żółto, przypomina buldożera, który stanął dęba, i nazywa się „Cyklop”. Z bliska jest ciężką maszyną z żelaza, mogącą ważyć 10-15 ton. Luginbühl jest już sławnym artystą. Wystawiał dwukrotnie na Biennale, w Ameryce, Wiedniu itd.; literatura o nim obejmuje kilkanaście pozycji.

Formy maszyn kusiły od dawna awangardzystów. Jeden z najstarszych tworców o formie maszyny widziałem w 1922. Nazywał się *rumorharmonium* i wydawał dźwięki, które przyjęto dziś zaliczać do muzyki konkretnej. Autorem jego był Luigi Russolo, talent uniwersalny, pod wielu względami wyprzedzający o dwa pokolenia obecną awangardę.

Ciekawą kompozycję w tym rodzaju widziałem przed kilku laty na wystawie powszechnej w Lozannie. Był to 3-metrowej wysokości kloc żelazny, złożony z kółek zawilej maszynerii, poruszanej prądem elektrycznym. Stojąc w parku pośród pawilonów reprezentujących niestrudzoną pracę Szwajcarii, pseudomaszyna poruszająca się zupełnie bezinteresownie miała w sobie coś ironicznego. Widocznie też nie wybaczonej jej dotąd tej szczypty szyderstwa. Autor jej, Tingely, ofiarował swą kompozycję miastu Zurych, ale gdziekolwiek usiłowano ją ustawić, spotykała się wszędzie z protestem mieszkańców i dziś stoi zapewne w jakiejś remizie. „Cyklop” Luginbühla, nie dając powodu do myślenia, jest zapewne bliższy obecnej czołówki awangardy.

◆

W katalogu wystawy znajdujemy m.in. rodzaj apelu francuskiej *Groupe de recherche d'art visuel*. Apel ten mówi o „śmiertelnym niebezpieczeństwie” grożącym nowej sztuce, o ogromnym dystansie dzielącym publiczność od twórczości artystycznej i o tym, że „publiczność pozostała o 1000 mil w tyle” za awangardą. Apel wzywa do żywszego udziału w obecnym życiu sztuki.

Słowa te budzą kilka refleksji. Przede wszystkim sztuce awangardy nie grozi dziś żadne niebezpieczeństwo. Z katalogów wystaw dowiadujemy się, że wszystkie te ubogie i brzydkie przedmioty, które oglądaliśmy w Kunsthalle i gdzie indziej, objechały już pół świata, zaczynając od Wenecji, i są pilnie oczekiwane w innych subwencionowanych lokalach wystawowych. Jak długo mają poparcie finansowe rządów, miast i milionerów, artyści awangardy mogą obchodzić się bez publiczności. Wielu uważa swą sytuację za tak pewną, że przybiera postawy aroganckie.

Wyrażenie „Publiczność pozostała o 1000 mil w tyle za awangardą” jest pospolitą bzdurą, opartą na dwóch mętnych przesłankach: (1) że w sztuce istnieje ciągły postęp i (2) że postęp ten ma kierunek obecnej awangardy.

Oskarżenie publiczności o niechęć i ignorancję jest oczywiście nieporozumieniem. Nigdy jeszcze być może zainteresowanie sztuką nie było tak powszechne jak dziś. W Bernie np. w 1952 Kunsthalle była jedynym lokalem wystawowym. Dziś jest ich 25; liczba wernisaży przekracza rocznie setkę. Aby nadać tym cyfrom odpowiednią wymowę, trzeba dodać, że Bern liczy 160.000 mieszkańców. W ogólnym natłoku wystaw i komentarzy hałas i reklama awangardy zeszły trochę na dalszy plan. Weźmy także pod uwagę rozmiary, jakie w ostatnich latach przybrał handel starymi obrazami i meblami. Tysiące ludzi przyglądają się w witrynach antykwarzy wyrobom starego rzemiosła. *Environments* wydają się im potem tworam i ubogimi, zarówno w pomyśle jak w wykonaniu.

W sytuacji obecnej awangardy najważniejszym czynnikiem zdaje się być jej wiek. Ruch ten był bunt młodych w 1910-1925, dziś jest zjawiskiem opartym na tradycji i instytucjach. Dzisiejsi rycerze awangardy, urodzeni w 1923-1929, są drugim pokoleniem, pokoleniem spadkobierców, żeby nie powiedzieć epigonów. Prócz, może, używania dynamitu do modelowania metali, trudno znaleźć u nich jakiś proceder artystyczny nie mający początków u dadaistów. Publiczność zaczęła się nudzić. Dla odświeżenia wyobraźni chodzi się dziś do muzeów. — Niech będzie chociażby Rafael, byle tylko wreszcie coś innego.

Zapísane wczesnym rankiem

ZAKŁĘCIE

Piękny jest ludzki rozum i niewyciężony.
Ani krata, ni drut, ni oddanie ksiązek na przemiał,
Ani wyrok banicji nie mogą nic przeciw niemu.
On ustanawia w języku powszechne idee
I prowadzi nam rękę, więc piszemy z wielkiej litery
Prawda i Sprawiedliwość, a z małej kłamstwo i krzywda.
On ponad to co jest wynosi co być powinno,
Nieprzyjaciół rozpaczy, przyjaciół nadziei.
On nie zna Żyda ni Greka, niewolnika ni pana,
W zarząd oddając nam wspólne gospodarstwo świata.
On z plugawego zgiełku dręczonych wyrazów
Ocala zdania surowe i jasne.
On mówi nam, że wszystko jest ciągle nowe pod słońcem,
Otwiera dłoń zakrzepłą tego co już było.
Piękna i bardzo młoda jest Filo-Sofija
I sprzymierzona z nią poezja w służbie Dobrego.
Natura ledwo wczoraj święciła ich narodziny,
Więć o tym górą przyniosły jednorożec i echo.
Sławna będzie ich przyjaźń, ich czas nie ma granic.
Ich wrogowie wydali siebie na zniszczenie.

TWÓJ GŁOS

Przeklinaj śmierć. niesprawiedliwie jest nam wyznaczona.
Błagaj bogów, niech dadzą łatwe umieranie.
Kim jesteś, te trochę ambicji, pożądliwości i marzeń
Nie zasługuje na karę przydługiej agonii.

Nie wiem tylko co możesz zrobić, sam, ze śmiercią innych,
Dzieci oblanych ogniem, kobiet rażonych śrutem, oślepych
[żołnierzy,
Która trwa wiele dni, teraz, tu, obok ciebie.
Bezdomna twoja litość, nieme twoje słowo
I boisz się wyroku, za to że nic nie mogłeś.

S P O S Ó B

Tak wrażliwy na zapach szpitali i koszar, na nieodwołalność
poniżenia,

Że powinien bym był spędzić życie w korkowej celi, szczękając
zębami,

Od nieznanomych przodków dostałem rozwagę i upór, więc
wynałazłem sposób:

Rytmiczne wymawianie słów układanych, powtarzanych na
ulicy, w autobusie, w barach, na drogach,

A tym bardziej w północy rannych godzin, kiedy świadomość
wynurza się jak diabelska góra.

Ale umiałem to robić tylko po polsku, w języku którego
nikt nie rozumie, chyba twardogłowi zawodowcy stadionu
w Wabash albo Milwaukee.

I gdybym mógł nie mówić, nie mówiłbym nic, bo nie było mi
obojętne że zwracam się do nikogo.

Czesław MIŁOSZ

Fragment z dziennika

IX. PORNOGRAFIA

G.: — Czas leci. Rok 1955. Ja wciąż pełnię funkcje, żal się Boże, sekretarza Banco Polaco. Coraz gorzej to znoszę. Już nie mogę dłużej. W ataku rozpaczliwego bohaterstwa rzucam bank. Był to skok w niewiadome. Moje oszczędności wynosiły ze dwa tysiące dolarów, żadnej posady w perspektywie, nic czego mógłbym się ucześcić.

I oto te dwa lata pobankowe stały się rozkoszne! Codziennie święto, niedziela od rana do wieczora. A Ręka, losem moim zarządzająca, okazała się łaskawa, akurat po opuszczeniu banku uzyskałem z kilku źródeł drobne zasiłki, dzięki którym miałem zapewnione bardzo minimalne minimum egzystencji. Mogłem więc zabrać się do pisania. A że jednocześnie obalono w Argentynie dyktaturę Perona, wiatr wolności owiewał mnie ze wszystkich stron!

Pisać? Znowu pisać? Co pisać? Jak zawsze, zacząłem coś babrać na papierze w niepewności, w niewiedzy, w okropnym ubóstwie, które wszystkie moje początki nawiedza. Powoli bogaciło się to, natężało, i tak powstał nowy kształt, nowy utwór, powieść, którą nazwałem *Pornografią*. Wtedy był to tytuł nie taki zły, dziś wobec nadmiaru pornografii stał się banalny i w kilku językach zmieniono go na „Uwiedzenie”.

W owym czasie kupiłem maszynę do pisania, nowiusieńkiego Remingtona „semi-portatil”, szlachetnie matowego, i to było, jakbym Rolls-Royce’a sobie sprawił! Trzy dni walczyłem ze sobą, czy go kupić, czy też zadowolić się używaną Olivetti, którą mi proponowano.

Na tym Remingtonie wystukałem *Pornografię*.

R.: — Od razu na maszynie?

G.: — Nie, piszę piórem, nie umiałbym inaczej, a na maszynie przepisuję tekst już gotowy, wprowadzając drobne ulepszenia.

R.: — Dlaczego *Pornografia* wtedy się panu napisała?

G.: — Dobrze powiedziane, bo mnie utwory „się piszą”... Ale *Pornografia* była jednak koniecznością na mojej drodze.

U pierwocin wszystkiego, co może powiedzieć artysta, kryje się sekret pewnej piękności — takiej, a nie innej — i to jest, być może, jego zasadniczy wybór. Niewątpliwie, wszedłem w literaturę oczarowany, uwiedziony, pewnym rodzajem urody, która zaważyła na moich, najbardziej nawet oderwanych, spekulacjach myślowych. Musiał więc nadejść moment, żebym w sztuce przedsięwziął wyprawę do owego uroczyska, gdzie się święciły moje czary i uroki.

Pan wie z mego Dziennika, jak ciężko przeżyłem ostateczne zerwanie z młodością, które nastąpiło bardzo późno, bo do czterdziestego roku życia wyglądałem i czułem się młodo. Należę do ludzi, którzy nigdy nie zaznali średniego wieku, smak starości poczułem od razu po rozstaniu się z młodością.

Nie przypuszczam, abym w moich z pięknością i młodością przygodach był odosobniony. Wyglądam na egotystę, zamkniętego w swojej wieży, ale chyba już udało mi się wykazać, jak bardzo jestem synem mojego czasu. Wszystkie te, wie pan, głębokie przesunięcia w sferze naszej poufnej mitologii, gustów, inklinacji, cechujące czasy obecne, dzięki którym Młodość uzyskiwała ostatnio przewagę i Syn wziął górę nad Ojcem, dosięgnęły mnie u swego zarania, bodaj podczas pierwszej wojny światowej, kiedy zaledwie dawały znać o sobie. Już wtedy znalazłem się w dotkliwych kleszczach tej metamorfozy, pamiętam to jakby zawstydzenie, czy zdziwienie, że owe „bądź dorosły”, jakim mnie częstowano, nie budziło we mnie sympatii i że ja, młody, młodość lubiłem, jakbym był stary. W późniejszym życiu nacisk młodości na mnie wzrósł niepomieranie, ale zacząłem spostrzegać, że nie ja jeden jestem jego ofiarą. Naokoło mnie coś się działo w ludziach z młodością... może i doniosło dla rozwoju ludzkości są takie zmiany, dokonujące się w narcyzyzmie naszym?

Dalsze przygody moje z dwiema boginiami, młodością i pięknnością, mógłbym zawrzeć może w czterech tezach, bardzo dla mnie odkrywczych.

Pierwsza: Młodość to Niższosc.

Druga: Młodość to Piękność.

Trzecia (jakże ekscytująca!): A więc Piękność to Niższosc.

Czwarta (dialektyczna): Człowiek jest rozpięty pomiędzy Bogiem, a Młodym.

R.: — Czy doszedł pan do nich stopniowo?

G.: — Raczej tak. Jak zawsze. Ale, o ile inne idee narastały we mnie spokojnie, te związane z młodością nieraz dosięgały mnie jak chwilowe olśnienia, prawie dramatyczne, wrapiające w wielkie poruszenie najbardziej mroczne zakamarki mojej istoty. Jeśli mówię, że jednak powoli do nich dochodziłem, to dlatego, że nawiedzały mnie i znikwały, żeby znów powrócić.

Do prawdy, że *Młodość to Niższość*, dotarłem bardzo wcześniej i od razu, jak do czegoś niewątpliwego. Tak, być młodym oznaczało być słabszym, gorszym, niezrobionym, niedostatecznym, niedojrzałym... być, zatem, poniżej wszelkiej wartości... i, (uwaga!) nawet poniżej siebie samego (w przyszłości). A więc Młody musi być poddany Dorosłemu i słuszne jest panowanie Dorosłego nad Młodym. I na pewno Młodość, nie co innego, pchnęła mnie ku wszelkiej innej niższości, społecznej, czy nawet duchowej.

Potem objawiło mi się, że *Młodość to Piękność*. Mówię „objawiło”, ponieważ wielka jest różnica między zwykłym uświadomieniem sobie jakiegoś komunału, a wdarciem się w jego treść żywą, stwarzającą. Jeden z błysków tej iluminacji wydarzył mi się w Tatrach — pamiętam — w lecie, byłem już dobrze po dwudziestce, wyjechałem kolejką linową z Zakopanego na Kasprowy Wierch i spędziłem noc w schronisku, gdzie nikogo nie było, ściany tylko, wyłożone dwoma rzędami łóżek, masą materaców, chmury włóczące się po ziemi i zalepiające wzrok, zimno, wilgoć, jakieś obaławianie... Trzeciego dnia rozjaśniło się i w ostrości ożywczego powietrza i światła zeszedłem, jeśli się nie mylę, na Halę Gąsienicową (dziś już gubię się w tych górach) i tam, w schronisku, zastałem dwie wycieczki młodzieży szkolnej, jedną żeńską, a drugą męską. Chłopcy i dziewczynki, nic nadzwyczajnego, ale błąkała się po nich jakaś możliwość uwiedzenia... i niedorozwinięcie, drobność ich, szczupłość dziecinna jeszcze zamiast osłabić to wrażenie sprawiło właśnie w jakimś nagłym przeinaczeniu, że ta możliwość uwodzicielska stała się tym potężniejsza i te dwie grupy przetworzyły się w dwa chóry i śpiew wytrysnął olbrzymi, natchniony i przemienił się w Piękność. A też było coś „wewnętrznego” w tym śpiewie bezgłosnym i wyniosłem z tego także tę myśl, że piękność, utajona w młodości gatunku ludzkiego, jest czymś nader specjalnym, czymś „wewnętrznym”.

R.: — Wewnętrznym?

G.: — W przeciwieństwie do piękności świata zewnętrznego. Czytałem niedawno zwierzenia pewnego malarza, że dla niego stara i brzydka kobieta jest piękniejsza od młodej i pięknej. Nie przeczę, gra światła na pryszczach i zmarszczkach jest bogatsza... ale cóż to za spec nierozróżniający pomiędzy tym rodzajem piękności, a tą, którą gatunek ludzki sam w sobie wyhodował i nieprzerwanie powtarza w uwodzicielskim kształcie dziewczyny, mło-

dzieńca? Tę mamy w sobie, ona jest nasza i wymaga od nas czego innego, innego podejścia. Pomieszanie tych dwu piękności jest moim zdaniem jedną z przyczyn, dla których współczesne malarstwo stało się fatalną szkołą estetyczną i duchową.

Ale jakto? Więc młodość, która jest gorsza, niższa, jest jednak piękniejsza? No tak, rozumiałe z punktu widzenia biologicznego, że słabszy, podrzędny, ten potrzebujący opieki, ten lichy i nieumiejętny, musi zjednać sobie łaskę mocniejszego. Męczyzna dorósł nie potrzebuje uwodzić, jest silny, góruje, panuje. Wdzięk i piękność są bronią kobiety, młodzińca i dziecka, istot słabszych.

Z tego jednak wynikałoby, że... że... *Piękność to Niższość*.

Proszę zauważyć, jak wystrzela coś naprawdę ważnego dla artysty z zestawienia dwóch pojęć. Myli mi się chronologia tych wtajemniczeń. Chyba już pod koniec mego pobytu w Argentynie, przypadkowo, w rozmowie, nasunęła mi się ta formuła, która przecież przebywała we mnie od dawna... i poczułem że trafia w moje sedno. Artysta „pracuje w piękności”, jak inni w ubezpieczeniach, lub w agronomii, ale dobrze nie wie, jaka jest ta jego piękność... i otóż to zdanko przypadkowe wyjaśniało mi wiele, wiele rzeczy. Znalazłem rację wystarczającą wielu moich fobii, to dlatego nienawidziłem malarstwa kościelnego, gdzie piękno łączy się z cnotą, urody wychuchanej elegantek od Diora, czystej poezji, abstrakcyjnej sztuki, stąd także brała się alergja moja na punkcie wąsów i brody! Dlatego Piękność musiała być dla mnie jak kamień drogocenny, osadzona w poniżeniu. I... i... o ileż w tej postaci była bardziej pasjonująca, to jej odbierało mdłą harmonię, nudną doskonałość, jakże stawała się liryczna i dzika nawet, jakaż prężność nieobliczalna w bogini strąconej i przykutej do młodości! I czyż nie to odpowiadało najbardziej skłonnościom, niewyznanym jeszcze w pełni, mojego czasu, epoki? Czyż nie to było marzeniem skrytym wchodzącego w życie pokolenia?

Wysiłki sztuki współczesnej by nas raczyć pięknem obiektywnym i abstrakcyjnym wydały mi się w tej perspektywie prawdziwie strusią polityką tchórza. Mówię, jak artysta. Ktoś powiedział „nie sposób walczyć z tym, co dusza sobie wybierze”.

R.: — Pisz pan o tym w dwóch rozdziałach Dziennika z 1956 roku, poświęconych dzielnicy portowej Buenos Aires, Retiro.

G.: — Wtedy byłem skłonny ująć młodość, jako rodzaj wartości samej w sobie: młodość jest poniżej wszelkiej wartości, jedyną wartością młodości jest młodość.

I pewnie dlatego, gdym pisał krótką przedmowę do wydania francuskiego *Pornografii*, nasunęło mi się pod pióro takie zdanko:

„Człowiek jest między Bogiem, a Młodym”.

Co się wyklada: człowiek ma dwa ideały, boskość i młodość. Chce być doskonały, nieśmiertelny, wszechpotężny — chce być

Bogiem. Chce być kwitnący, świeży, wstępujący w życie — chce być Młody. Pragnie doskonałości, ale lęka się jej, bo wie, że jest śmiercią. Nie chce niedoskonałości, ale przyciąga go ona, bo jest życiem i pięknnością.

I znowu, nic nadzwyczajnego, taka sobie myśl... a dla mnie jakaś lampa rozświetlająca!

Albowiem w pisaniu moim istnieje tendencja — ponieważ konspiracyjna, nielegalna — by naturalny rozwój ludzki od niedojrzałości do dojrzałości uzupełnić dążeniem wręcz odwrotnym, prącym w dół, z góry do dołu, od dojrzałości do niedojrzałości. Już w *Ferdydurke* widać, jak bardzo, walcząc o moją dojrzałość, jestem jednak zadurzony w mej niedojrzałości. To mnie krciło zawsze: człowiek ma dwie mety, jest rozpięty między dwoma biegunami. Tak, zapewne, Dorosły jest nauczycielem, mistrzem, panem Młodego. Ale czyż ten Dorosły nie uczęszcza po cichu do innej szkoły, gdzie Młody nad nim rządy obejmuje? Czyż wściekła dynamika życia, to sprężenie, zdławienie, stanowiące o jego energii, byłoby bez tego możliwe? Pisałem w dzienniku: wojny nasze są wojnami chłopców, porządek społeczny oparty jest na gwałcie, któremu na imię pobór do wojska, który jest zniewoleniem chłopców do ślepego posłuszeństwa, poddaniem ich woli oficera, to że jedni ludzie uzyskują władzę nad innymi może stać się tylko dzięki giętkości, lekkości chłopca; ale ślepe posłuszeństwo jest w gruncie rzeczy dwustronne i obopólne, ten co rozkazuje staje się niewolnikiem niewolnika. I w owym zdławieniu wzajemnym powstają ładunki energii, odwaga, śmiałość, furia, nadludzkość, nieludzkość, tu się rodzą, zabarwione lekkością, niewinnością. Udział Młodości w naszym życiu dorosłym, udział niedojrzałości, nie został dostatecznie wydobyty na światło dzienne.

Teraz możemy już pomówić o *Pornografii*.

R.: — Jeszcze jedno pytanie. W wielu krajach mamy dziś do czynienia z prawdziwym buntem młodych. To zdaje się potwierdzać w sposób dość zastanawiający wszystko co pan pisał od lat o zmieniającym się stosunku dorosłych do młodych i vice versa, co według pana będzie z czasem coraz bardziej dramatyczne i płodne. Czy pan odnajduje te swoje myśli w niedawnych wypadkach, chociażby paryskich?

G.: — Być może. Jak już powiedziałem, dla mnie młodość jest niedostatecznością i niższością we wszystkim, oprócz w jednej jedynej rzeczy: w tym, że się jest młodym, w młodości jako takiej... Nic dziwnego więc, że ich poczynania są partactwem o tyle, o ile są programem politycznym, społecznym, ideologicznym. Ale one są o wiele więcej ślepym wyładowaniem poza wszelką ideologią, rodzajem wybuchu. To tak, to jest młodość. Aby mnie zrozumieć trzeba przyjrzeć się temu bardziej oczami

artysty, niż moralisty. Chłopiec rzucający kamienie, tak, to dobre, to artystycznie nie razi. Chłopiec wygłaszający mowy i żądający przebudowy świata, nie, to złe, to naiwne i pretensjonalne.

Niestety! Obok pewnej autentyczności, jakaż atmosfera dusząca głupstwa i frazesu! A dlaczego? Ponieważ ten bunt jest o wiele więcej dziełem dorosłych niż młodych. Proszę: kilka setek studentów zaczyna robić chryje w Nanterre, czy gdzie indziej, z takiej czy innej przyczyny, i przy okazji wyładowuje swoje pretensje do społeczeństwa. Nic tak ważnego. Ale wtedy prasa, radio, telewizja rzucają się na temat z tych podniecających, nadających się do omawiania, felietoniści, socjologowie, filozofowie, politycy zabierają głos: „Duch nowego pokolenia”, „Co mam odpowiedzieć mojemu synowi?”, „Jaka jest ich tajemnica?”, „Młodzież nas oskarża”, „Pokolenie bez busoli”. To brzmi dobrze. Głębokie. Dobrze się czyta. Powiedziano że za Carmichaelem w Stanach Zjednoczonych stało na początku pięciuset Murzynów i pięć tysięcy dziennikarzy; z Cohn-Benditem działa się to samo. I w tym wieku trudno nie poczuć się narzędziem historii, gdy się figuruje na pierwszej stronie wszystkich tygodników. Młodzi uwierzyli. Nadęli się. A dorośli, spietrani, oklapli. Potwór młodości, taki jak się nam ukazuje w tej chwili, jest naszego własnego wyrobu.

Ten kryzys jest o wiele bardziej kryzysem dorosłych niż młodych. Dowodzi przede wszystkim zaskakującego osłabienia człowieka dorosłego w obliczu młodzieży.

R.: — A to jak pan sobie tłumaczy?

G.: — My, starsi, dobrze zdajemy sobie sprawę, że nasze przewagi się wykańczają. Zasada autorytetu ojcowskiego, która od wieków utrzymywała syna w biernym posłuszeństwie, zaczyna trzeszczyć. Młodzież coraz bardziej ukazuje się nam jako siła twórcza w swoim rodzaju, działająca swoimi środkami. Ale natura tej siły i jej rola nam się wymykają. Problem różnicy wieku, fazy wstępującej i zstępującej życia, dojrzałości i niedojrzałości, wyższości i niższości, nie, to nie jest łatwe, to nawet bardzo trudne i niejasne. Dorosły jest zagrożony młodym, trawiony jakąś odmienną przenikającą go rzeczywistością... której działanie dałoby się określić może jako dopływ nieustanny „niedojrzałości”, albo jako redukcja... albo jako nacisk... ściągający, streszczający, dynamizujący... zostawmy to. W każdym razie dorosły utracił swoją spokojną wyższość, która wynika po prostu z faktu, że jest bardziej rozwinięty.

Śmieszni ci wszyscy profesorowie, myśliciele, przerażeni, obalwani, w kurczowych wysiłkach by „zrozumieć młodzież” i „nadażyć historii”. Co za tchórzostwo i jakaż nędza! Zamiast ujrzeć w tej rewolucji hecę na wielką skalę, przypisują jej cele

świadome i górne: „my jesteśmy starzy, spóźnieni, a oni przyszłość, nowa fala!” Wszystko to sprowadza się do następującej karykatury: z jednej strony Młody — potężny, groźny, prorok, natchniony, mściciel, anioł lub demon, a z drugiej Dorosły — rozrzuśiony, chuderlawy, gubiący portki. I każdy z nich czuje się śmieszny wobec drugiego.

To może jest najważniejsze, jak dla mnie. To dowodzi że jeszcze raz kiepska, spartaczona forma wdziera się pomiędzy pokolenia. Dlaczego spartaczona? Gdyż nie odpowiada rzeczywistości. Jaka jest rzeczywistość? Nie pytajcie, nie jestem w stanie udzielić pełnej odpowiedzi. Ale jedno mogę stwierdzić z całą pewnością: jeśli autentyczna obecność Młodego da się odczuć, to nie ma na gruncie społecznym, zbiorowym, politycznym lub ideologicznym. Dziś moda żeby widzieć jedynie aspekt społeczny człowieka. Ależ nie. To bardzo powierzchowne i ciasne. Wiele spraw dzieje się na terenie prywatnym — i sekretnym — i tu właśnie Młody ukazuje się jako niebezpieczny zwiastun pewnej poezji, pewnej specyficznej piękności... i jako ściągający w niższość.

Nic pewniejszego jednak że lisy polityki nie omieszkają owładnąć tą siłą, która na ulicy wykazała swoją skuteczność. Te nędzne kokieterie sfałszują jeszcze bardziej współzycie młodych z dorosłymi. Oto czemu jestem pesymistą, trzeba się przygotować na długi okres fałszu, bzdury, mdlącej frazeologii, złego samopoczucia, nieudolności, niezręczności... Co zawsze się zdarza, gdy forma zła, irytująca, sztuczna, ustala się między dwiema osobami, lub pokoleniami.

Tyle miałbym do powiedzenia... z mego punktu widzenia, „formalnego”. Chcę jeszcze dodać że bunty młodzieży w krajach za kurtyną nie mają nic z tym wspólnego. Te są z przesyty. Tamte z nędzy.

R.: — Jeszcze słówko. Już od pewnego czasu mnie intryguje, że tak rzadko dotąd wspominał pan o „niedojrzałości”, która jest, obok „formy”, przecież najważniejszą pana ideą. Ale wygląda jakby pan kładł nacisk teraz o wiele większy na formę.

G.: — Wydaje mi się, iż może łatwiej wnikać w mój świat od tej strony. I zmęczyły mnie te grube nieporozumienia z niedojrzałością, która, biedaczka, zbyt często staje się pretekstem dla lenistwa myślowego: „Och u Gombrowicza sensu nie ma, to takie infantylne, niedojrzałe”. Może też trochę wpływ strukturalizmu; który jest moim wrogiem o tyle, że wywodzi się z nauki, gdy ja, człowiek sztuki, jestem z istoty swojej anty-naukowy, anty-obiektywny; ale jest też moim sprzymierzeńcem, gdyż łączy nas ta sama fascynacja formą. Powitałem strukturalizm z radością, jak

przedtem egzystencjalizm, ponieważ to są nurty, którymi i ja płynę.

Przejdźmy do *Pornografii*.

Bohater tej powieści, Fryderyk, jest Krysztosem Kolumbem, wyruszającym na odkrycie lądów nieznanych. Czego szuka? Tej właśnie nowej piękności i nowej poezji, utajonych pomiędzy dorosłym a chłopcem. To poeta o wielkiej, krańcowej, świadomości, takim go chciałem mieć w powieści. Ale jakże trudno porozumieć się w dzisiejszych czasach! Niektórzy krytycy ujrzeli w nim szatana, ni mniej, ni więcej, a znów inni — Anglosasi przeważnie — zadowolili się naklejką bardziej trywialną, *voyeur*. Mój Fryderyk nie jest ani szatanem, ani *voyeur*'em, natomiast ma w sobie coś z reżysera, czy nawet z chemika, który kombinując ludzi między sobą usiłuje wytworzyć z nich alkohol nowego uroku.

Cóż się dzieje w *Pornografii*? My, Fryderyk i ja, dwóch starszych panów, ujrzeliśmy parkę, chłopca i dziewczynę, jakby stworzonych dla siebie, skutych wzajemnym, bijącym w oczy, *sex appeal*'em. Ale oni jakby o tym nie wiedzieli, tonie to jakoś w ich młodzieńczym nieureczywistnieniu (nieumiejętność właściwa wiekowi). Nas, starszych, korci to i podnieca, chcielibyśmy aby urok się ucieleśnił. I ostrożnie, z zachowaniem pozorów, zaczynamy im dopomagać. Na nic nasze zabiegi, rozbijają się one o tę fazę przedświt, wstępną, o ten ich przedpokój bytu.

A dalej? Pomińmy chytre podstępny Rajfura-Reżysera (który jest także *Voyeur*'em, ale *voyeur*'em-poetą). Dymy bijące z tego uroczyska coraz bardziej nas odurzają, aż w końcu, rozpaleni ich obojętnością, odkrywamy że w braku zespolenia fizycznego grzech, grzech wspólny, jej i jego, może ich połączyć i — o, radości — nawet nas z nimi złączyć, mimo różnicy wieku.

W końcu wytwarza się taka sytuacja (w tej powieści, rzuconej na krwawe tło Polski wojennej, przez Niemców zgwałconej), że my, Dorośli, mamy zabić pewnego wybitnego członka podziemnej organizacji, walczącej z Niemcami, który załamał się i może zdradzić. Czyn przerastający siły nas, dorosłych, wiedzących czym jest śmierć, nas, świadomych, nas, poważnych. Ale ktoś lekki dokona go lekko — i chłopcu powierzamy to morderstwo, które w jego rękach stanie się chłopięc.

Fryderyk organizuje tę zbrodnię młodzieńczą wciągając w nią i dziewczynę, ten grzech wspólny, dorosło-młody, który nas zespoli. A w ostatniej chwili Rajfur-Reżyser nie wiedząc jak włączyć w to innego chłopca, który się pęta niezatrudniony na boku, po prostu zabija go. Aby lepiej smakowało, żeby zupa była lepsza z tym kawałem młodego mięsa dodatkowym, żeby wzmocnić tą zakrwawioną chłopięcością chłopięcość tamtego, rówieśnika...

Rozpacзлиwa walka dojrzałej woli urzeczywistnienia z ową od-

ciążającą właściwością młodości, lekkiej, lekkomyślnej, nieodpowiedzialnej. Wola tym silniejsza, im bardziej to, w co uderza, nie stawia oporu. Ale słabość silniejsza jest od siły. I w samym finale siedemnastoletnia lekkość odbiera wagę zbrodniom, grzechom, powieść kończy się nieurzeczywistnieniem.

R.: — O tym finale pisano, że brak mu intensywności.

G.: — Przecież o to właśnie mi chodziło, finał ma się rozplątać w nic.

Może i źle robię podając tutaj takie schematy. Autor nie powinien za dużo dopowiadać. Ale jak uchronić się w inny sposób od zupełnie fałszywych, zgoła dowolnych interpretacji? Niechże czytelnik wie, przynajmniej w najgrubszym zarysie, jak mnie się taka powieść układa, i z czego się rodzi.

Gdyby mnie ktoś solidnie przydusił pytaniem, jaka jest ta piękność, za którą Fryderyk ugania się w *Pornografii*, odpowiedziałbym: dobrze nie wiadomo. Dla wielu takie wywyższenie chłopca będzie dowodem moich homoseksualnych skłonności i trudno mi się z tym nie zgodzić. Zauważę tylko: czy na pewno mężczyzna najbardziej męski, z kobietą związany, jest zupełnie nieczuły na wdzięk i piękność Młodszego? A także: czy homoseksualizm, odwieczny, nagminny, ciągle się odradzający, jest jedynie zboczeniem?... czy raczej zboczenie staje się tak powszechne i nieustannie obecne dlatego, że wyrasta na gruncie istotnego czaru? Czy nie jest tak, że mężczyzna urzeczony młodością, na zawsze oczarowany chłopcem i jemu poddany, woli skryć się w ramiona kobiety, która jest dla niego poniekąd *chłopcem dozwolonym*? W tym twierdzeniu jest sporo przesady i jakaś cząsteczka prawdy.

Witold GOMBROWICZ

O typowości

Od dawna przestałam się interesować ludźmi, interesują mnie już tylko typy. Może dlatego, że tak trudno jest o prawdziwe indywidualności. Ludzie w Ameryce są produkowani masowo, na taśmie i nawet cechy szczególne rozdaje im się według pewnego schematu — intelektualistom łysy głowy i odstające uszy np. A więc w samych odchyleniach od normy jest zawsze pewna norma, nawet ludzie wyjątkowi są wyjątkowi w pewien zgodny sposób, odpowiadają pewnym postulatam, takie i takie I.Q., taki i taki zakres wyobraźni.

A więc o wiele jest rozsądniej i prościej zajmować się typami. Typy podpadają pod pewne kategorie ustalone już od wieków — typy sangwiniczne i flegmatyczne, typy z kompleksem Edypa i z kompleksem Narcyza, typy *hippies* i typy, które w języku młodych nazywają się *square*. Młodzi zresztą sami w swym odstępstwie od reguł ustalili reguły, ich bunt obowiązuje, jak mundur oficera, ogranicza ich, jak para ciasnych spodni, narzuca im pewien schemat.

Czy zawsze odstępstwa od normy przeradzały się w normę, czy każdy bunt kształtuje swój własny konformizm, czy naprawdę nie ma takiej drogi, którą można iść samemu, nie w tłumie, nie oglądając się, ani wstecz na tradycję, ani nie szukając żadnych przyszłościowych modeli? Czy naprawdę skazani jesteśmy na typowość w tym samym sensie, jak skazani jesteśmy na życie, przez które niesie nas jedna para nóg, jedna para rąk, dwoje oczu w okularach i jeden nos, zawsze o cal przed nami? Czy naprawdę nie ma stąd ucieczki, czy każda sytuacja jest tylko powtórzeniem tego, co już było i wciąż potencjalnie istnieje, taki sam człowiek, takie same miejsce, taki sam problem?

Oczywiście każdy z nas kiedyś wierzył we własną wyjątko-

wość, w niepowtarzalność każdej własnej myśli, aż pewnego dnia dostrzegł, że nawet wtedy, gdy jest zupełnie sam, towarzyszy mu zastęp ludzi samotnych, jak on. Nawet w samotności jesteśmy w towarzystwie wszystkich filozofów i mędrców, wszystkich wariatów i świętych, którzy już przed nami i po nas byli i będą tłumnie sami.

Jest w tym nawet pewna pociecha, bo przecież wyjątkowość, prawdziwa wyjątkowość, byłaby wielką klęską. Proszę sobie wyobrazić np. wyjątkowość odczuć. Znaczyłoby to w praktyce, że z niczym nie można się dzielić, bo nikt nas nie zrozumie, nikt nas nie odczuje i nawet te słowa przebrzmia całkowicie bez echa, do nikogo nie trafią, w nikim nie obudzą tych samych, co moje, refleksji, lub w każdym razie podobnych. Zupełna wyjątkowość byłaby, jak garb, pod którym każdy z nas giąłby się we dwoje.

Schemat natomiast jest jak wygodny pantofel, który już sam narzuca nam kierunek. Tyle i tyle kroków i rezultat jest z góry przewidziany, mogą być co najwyżej nieznaczne odchylenia, tak zresztą jak w przyrodzie, gdzie sama liczba odchyień jest ściśle oznaczona. A więc jest deszcz, albo świeci słońce, albo jest pochmurno, albo pada śnieg. Odmian, jak zauważymy, niewiele, rozmaitość pozorna, nawet kolejność z góry da się przewidzieć, uzależnić od sezonu. Schemat — wygodny but — wybiera miejsca płaskie. Jego mottem jest sprawdzalność, empiryczność, brak ryzyka.

Żyjemy po Bożemu, każdy z własną żoną, lub mężem, trawimy bez tabletek, śpimy bez pastylek nasennych i nawet ci z nas, którzy chodzą do psychiatry, chodzą grzecznie raz na tydzień, czy na miesiąc, głęboki fotel w cieniu, zapuszczone rolety:

— Panie doktorze, męczy mnie tęsknota za czymś niecodziennym, za jakimś ostrym pędem wprost przed siebie. Czas mija tak powoli, nawet drzewo starzeje się za oknem, nawet pies oddycha już wolniej. Czy nie można by czasu przyspieszyć?

— Niech pan kupi sobie auto.

— Panie doktorze, męczy mnie tęsknota za jakąś pracą twórczą, wszędzie ta rutyna, tysiące drobnych ruchów, powtarzanych bez końca w tych samych odstępach czasu. Tak bym chciała coś stworzyć, zupełnie innego i nowego, żeby się zachłysnąć nowością, żeby aż do bólu... Pan wie?

— Niech pani pójdzie na lekcje ceramiki.

— Panie doktorze, czemu pan zawsze wygląda tak, jak mój ojciec ze złych snów. Ojca przecież już nie ma i nawet tamten kamień pod ziemię się zapadł. Panie doktorze, nigdy nie posyłam mu kwiatów, nigdy nie mówię panu „dziękuję”. Czy to źle? Czy naprawdę nie ma pan dla mnie nic więcej oprócz pastylek, przecież te pastylki daje pan prawie wszystkim? Czy to możliwe, aby

pomagały wszystkim na każde zmartwienie, na każdy ludzki ból. My nie jesteśmy z plastyku i możemy się stłuc, jak Marilyn Monroe, której doktor także dawał pastylki.

W świecie typowych przeżyć, typowych miast i miasteczek, wśród typowych pojazdów i typowych środków przekazu każdy z nas jest typem. Pan S. np. to typ emigranta. Nigdy nie przestał dowodzić sobie i innym, że słusznie zrobił pozostając tutaj. Szuka każdej okazji, żeby swoją rację zaznaczyć, nie daruje ani chwili, żeby nie podkreślić, jak on to mądrze zrobił, zupełnie świadomie, nie przez żaden przypadek. Jego racja słaba ma widocznie podstawy, skoro ustawicznie trzeba ją podpierać, zbroić wciąż w nowe, ważne argumenty, żeby pewnego dnia nie rozbiła się w proszek, jak Humpty Dumpty z angielskiego wierszyka. Emigracja na płocie wahań i kiwa nam się, kiwa, raz w tę, raz w tamtą stronę. W Polsce by powiedzieli: „Panowie nie dajmy się zwariować”.

Młody S., jego syn, to człowiek bez zasad. Lub nie, jego zasadą jest przeciwstawiać się ojcu, walczyć z nim namiętnie o wszystko, o narodowość, cel w życiu, o wszelkie wartości. Młody S. nie zdaje sobie sprawy do jakiego stopnia narodowość ojca wytycza jego protest, do jakiego stopnia on sam jest tylko echem starego człowieka, którego każde „tak” rodzi jego „nie”. Afirmacja w przeczeniu, zwykłe prawo życia, konflikt pokoleń, typowość.

W świecie typowych przeżyć powtarzamy do znudzenia wciąż te same gesty. Nawet wyrazy twarzy są nam narzucone przez modę. Jesteśmy dziwnym zlepkim modnych postaw, nawet nasze urazy wypływają z tych samych źródeł. Dlatego chcąc nas poznać trzeba studiować schematy. Najłatwiej by chyba było sporządzić kilka wykresów, ustalić jakąś skalę zmniejszeń i przybliżeń, aby na mapie naszych przeżyć i wzruszeń wszystko było zaznaczone naukowo.

— Chce się pani płakać? To normalne. Zwykły upadek nastroju, będzie pani miała period.

— Już wszystko w porządku, oczy nam się śmieją? Nie należy się dziwić. Ciśnienie się zmniejszyło.

I tak w kółko i w kółko, nie należy się dziwić, wszystko jest normalne, poczucie wartości też zależy od trawienia. Po typowej niestrawności typowa depresja, zachwianie woli życia, ale potem burza mija, trzeba zapłacić czynsz, kupić mięso na obiad, wykonać szereg z góry przewidzianych ruchów i ucieczki nie ma, chyba że do łóżka, w kraj różowych snów i pastylek.

— Panie doktorze, wiem, że jestem pacjentem typowym. I nigdy niczym pana nie zaskoczę, każdy mój krok jest do przewidzenia, mieści się w jakimś schemacie, do którego pan ma klucz.

Tylko że ja, panie doktorze, ciągle nie wiem, jak mam żyć. Może to jest typowe, może i tego w moim wypadku należało się spodziewać, ale ja nie wiem i chyba wyrzucę te tabletki, kopnę nogą but, bo chciałabym pójść gdzieś dalej i wyżej, jeśli jest w ogóle takie miejsce nietypowe na globie typowości, w krainie schematów. Tylko proszę za mną nie wysyłać tych innych pacjentów, choć raz w życiu chcę być sama, żeby mi nie ciążyła żadna milcząca obecność i żeby mnie nie nękała niczyja nieobecność, nie stawała przede mną wyrzutem. A jeżeli to niemożliwe, to niech mi pan nie radzi, żebym się zajęła ceramiką. Niech mi pan nic nie radzi, sama znajdę jakąś radę, jestem typem kobiety, która daje sobie radę, nie zawsze i nie wszędzie, lecz na ogół. Panu mówię „dziękuję” za to, czego pan nie mógł, lub nie chciał, a ojcu pošlę kwiaty, tamten kamień wyrwę z ziemi. Jutro będzie słońce, albo deszcz. Śniegu chyba nie będzie, bo to przecież lipiec. Innej możliwości nie ma. Do widzenia, panie doktorze. Pan był typowy i ja też. Wszyscy jesteśmy typami, tylko niektórzy z nas mają cechy szczególne np. zajęczą wargę, ale o tym już innym razem.

D. I. BIEŃKOWSKA

Demonstrator

Proszę się do mnie zgłaszać. Jestem zawodowym demonstratorem. Protestuję już od tak dawna przeciwko wszystkiemu i wszystkim, że żadna dziwna sprawa nie budzi mego zdziwienia. Proteścik? Już się robi! Kogo mamy obstawić, konsulat, czy City Hall? Na stojąco, czy w pozycji siedzącej (siedzenie liczy się taniej). Każde życzenie klienta jest dla mnie rozkazem. Pracuję solidnie i tanio. Mam cały zespół ludzi — specjalistów w tej dziedzinie. Jedni specjalizują się w krzykach, inni w biciu okien, nawet podrzucenie bomby nie jest wykluczone, chociaż to kosztuje — pan rozumie — ryzyko. Im większe ryzyko, tym się więcej płaci. Takie jest prawo handlu.

Chwała Bogu, roboty mam mnóstwo. Na Wietnamie zrobiłem majątek. Demonstracje kontra i za idą nieprzerwanie. Moim ludziom aż brzydnie wciąż ta sama tematyka. Chcieliby jakiejś zmiany, ale ja im zawsze mówię — grunt to dobry interes. Jak długo w Wietnamie się biją, nam pieniądze lecą w kieszeń. A o to tylko chodzi. *Business is business.*

Powodów do demonstracji nie brak. Teraz nam przybyła sprawa Murzynów. Jest się za kim ująć, jest na kogo napaść. Sami biali płacą. To taka ciekawa rzecz. Biali za wszystko płacą. Wiedocznie im zależy, aby praca szła. Co by w przeciwnym razie robiła policja?

Z policją mam umowę. Kiedy pałki idą w ruch, moi ludzie nie dostają pałkami. Policja ich poznaje po małych znaczkach w klapie. Oczywiście to kosztuje, nic na świecie nie jest za darmo, ale ja uważam, że nie warto ponosić ryzyka. Ryzyko się nie opłaca.

Moją dewizą życiową była zawsze ostrożność, pewien minimalizm, porzucenie na małym, ale pewnym. Drugim moim

mottem jest zupełna dyskrecja. Niech się pan nie niepokoje, nikt się nigdy nie dowie o naszym *business deal*. Zapłaci pan gotówką, nie czekiem. Tak będzie wygodniej i prościej. Pan chyba rozumie, że wolę nie zgłaszać tych dochodów w *income tax*.

Więc kogo mamy obstawiać, kogo mamy ośmieszyć, dyplomację, czy może profesorów? Ci ostatnio dostają w kość na wszystkich uniwersytetach. Warto by w to wejrzeć. Trzeba by tylko zmienić trochę taktykę — *more sophistication* — trzeba by zabawić się w studentów. Tylko kto za to zapłaci? Studenci? To wątpliwe. Chyba sami profesorowie.

Tępmi konserwatystów i komunistów, tępmi arystokrację i proletariat, występujemy przeciwko wszystkim wojnom i układowi, byle interes szedł. Jeszcze jedna odezwa, jeszcze jeden list w prasie? Nie, nie będzie pożaru, nasi ludzie nie płoną żywcem. Nie, tego nie mogę, nie jesteśmy na Wschodzie, niech pan tego nie wymaga. Co innego głódówka. To się jeszcze da odstawić. Mam nawet kilku grubych, którzy na to pójdą chętnie.

Żeby kogoś obić? Nie, proszę pana, ja nie biorę brudnej roboty. Z tym proszę nie do mnie. Mogę panu zresztą podać adres. Niedaleko, dobra firma, ceny, jak na taką robotę, przystępne.

O co pan chciał jeszcze spytać? Ja jestem od interesu, nie od udzielania wywiadów. No dobrze, odpowiem. Czy mi nie przeszkadza, że tak raz w te, raz we wte, raz za Wietnamiem, raz przeciw. Panie, czy pan dziecinny? Kogo w Kanadzie w gruncie rzeczy obchodzi Wietnam? Chyba producentów broni na amerykańskich kontraktach, nie ludzi. Ale ludzie lubią ruch, żeby coś się działo, żeby ktoś dostał w mordę, lub choćby jakiś zator, jakaś szarpanina na Yorkville. Ludzie mają z tego uciechę. To lepsze, niż kino, lepsze nawet, niż cyrk. — Trudeau dostał jajkiem? Czy to było jajko gotowane? — Ktoś podpalił sztandar amerykański? A czy ten sztandar spłonął? Grunt, że coś się dzieje, jest o czym porozmawiać w przerwach między programami.

Więc przystąpmy do sprawy, bo ja, proszę pana, nie mam czasu. Na te hocki klocki etyczne mogą sobie pozwolić intelektualści. Mam tu takiego jednego. Układa dla nas hasła, piękne zresztą hasła, z intelektualnym polotem. Ale poza tym jest słaby, do pracy się nie nadaje. Nawet transparentu udźwignąć nie może, co dopiero bomby. Od tego są inni chłopcy, doborowe typy, wszyscy z czarnym pasem Judo, takich jak wypuścić, całe miasto się trzęsie. Sama radość patrzeć.

Chce się pan przekonać. Proszę pójść pod konsulat, pozna ich pan po kurtkach. Oni tam jeszcze będą. Niech się pan namyśli. Wszystko da się zrobić, oprócz żywych pochodni. Na to nie ma chętnych. Ale poza tym — grunt to pieniądź — pieniądź wszystko

zrobi, otworzy wszystkie drzwi. Pan da pieniądze, ja — fachową robotę. Wszystko się da załatwić, tylko ani słowa. Niech się pan nie obawia. Ma się doświadczenie. Tyle lat w interesie... Więc do zobaczenia. I niech pan pamięta. Gotówką, nie na kredyt. *Cheerio! Bye, bye!*

D. I. BIEŃKOWSKA

ALEKSANDER WAT
CIEMNE ŚWIECIDŁO

Poezje zebrane
Okładka Jana Lebensteina
Stron 244.

CENA: We Francji Frs. 20,00
W Anglii Sh. 30/-
W USA i innych krajach \$ 4,25

**Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy:**

LIBELLA

12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ÎLE-PARIS IV

Stanisław KOWALSKI

LIST DO MINISTRA KULTURY

(fragmenty)

Panie Ministrze
Ekscelencjo i Obywatelu
Kultury
ja
poeta ludowej dwudziestotrzyletniej Polski
piszę do Pana

23 lata, mój Boże, karnacja młodości
owe spaceru
gdy nocą zmęczone oczy
szukają ciepłego brzasku nad miastem
i jeżdżą polewaczki brzuchate
i w bramach butelki mleka

Dygresję niech Pan mi ministrze wybaczy
ja chciałem do Pana...

— hallo, czy Ministerstwo? — tak, słucham
— czy mógłbym uzyskać audiencję? — kto mówi?
— poeta. Milczenie. — Wy kpicie obywatelu
— ja chciałbym audiencję z ministrem kultury
— w sprawach skarg i zażaleń towarzyszy
Minister przyjmuje w poniedziałki
od piętnastej do siedemnastej —

Kultura, mój Boże, ileż wykarczowanych nocy
rąk benzyną zmywanych
płócien
liter spod palców
na jeden rozdział w szufladzie

ukradkiem rzucanych pytań
to be or not
pustych krzesel
odbitych głosów
wierszy
taśmy z cenzury
zresztą jakież w trzech słowach
kultura

Ja ciągle ministrze od rzeczy
przepraszam (że żyję)
otóż

— hallo, to ty? — ja. — Dziady zdjęto
— co??
— hallo, ty? — ja. — Studenci demonstrują
— Chryste, jacy? —
— prowokacja? — nie
— przyjedziesz? — gdzie
— krakowskie

Pan widzi, ministrze, nie mogę

... zabito studentkę...

... nieprawda...

... uważaj z lewej...

bij go kapusia...

... panowie spokojnie

... spokojnie...

... na rany Chrystusa...

... studenci do nauki...

... mamó...

... ciemniaki, ciemniaki...

... precz z kacapami...

... Dubczek. Czesi. Dubczek. Czesi. ...

... trzymaj za ręce...

... mamó...

... jeszcze Polska...

... Warszawa chce...

... jego Magnificencja...

... póki my...

... mamó...

... żyjemy...

... towarzysz Wiesław...

... precz...

... dlaczego...

... ko ła kow ski, ko ła kow ski...

... tamte drzwi...

... moški...
... krew...

... niech żyje Partia...

sto kiedyś kwiatów zakwitło hałami
gospodarz był mądry wybierał jak pszczoła
dziś na murach krzyczą ale co zostanie
z hał —
sto kwiatów zakwitło
kiedyś

Panie Ministrze
Ekscelencjo i Obywatelu
Kultury
w imieniu...

— hallo, to ty? — ja — przyjedź zaraz
— gdzie? —
— jak zwykle

przeegraliśmy jeszcze raz
rozbici
zaskoczeni
oszukani w imię konstytucji
prowokowani
szpiclowani
odcięci od okłamywanych robotników
szkalowani
my, Polacy

Warszawa, kwiecień-maj 1968.

LIST DO STARYCH KOMUNISTÓW

(fragmenty)

Ja wiem,
że wam w Berezie
słowiki nie śpiewały
a za czerwonym płótnem
widzieliście chleb
mnie wtedy nie było na świecie

dwadzieścia lat patrzę

co robicie
dwadzieścia lat
to dużo
po drodze szkoła
uczyłem się liter
niczego mi w prezencie nie dano
więc myślę że jestem u siebie
a wasze ręce
choć obce
nie odmawiam wam na mojej ziemi
pobytu
jestem u siebie dwadzieścia lat
dlatego chyba mam prawo
mówiliście że chleb to wolność
ulotki wasze do dziś w muzeach znajduję
mówicie to także dziś
gdy mydlaną bańką
prysnęły obietnice
gdy pałki na profesorskie togi
gdy stoję w kolejce po mięso
gdy prawdę — to w cztery oczy
gdy pensja — to kilka koszul

wolność: skartowaciały krzew
w drutach kolczastych nam kwitnie
wam się zdawało że piszecie Manifest
że waszym wiekiem
były sztafety męczeństwa
a to tylko wszyscy ze wszystkimi
na sianie kopulują

za Katyń
za Auschwitz
nie chcę rachunku
oko za oko
ząb za ząb
a wasz argument
że antypolskie
że antysocjalistyczne
że opłacane w dewizach
jest jak jazgot przekupki
na targu
wiem że swą słabość
chronicie pałkami milicji
wy w Mercedesach

*zakłamanii
komuniści*

*ja wiem jak inni
jesteśmy wszyscy zmęczeni
waszymi rządami
i o co mój syn
gdy dorośnie — zapyta*

*ja chciałbym mieć cytrynę do herbaty
także papier toaletowy
mieć, ile moi rówieśnicy
mają w Europie
drukować co myślę
czytać innych
pojechać wszędzie
rozmawiać nie szeptem
i śmiać się, śmiać się*

*Mówicie że budujecie nam przyszłość
a my czekamy tylko by was zabrakło
by zacząć swoje
i dziś już wiem
że wyrzucać was będziem
z mauzoleów
czas bowiem
pracuje na naszą korzyść
codziennie nas więcej*

Warszawa, maj-czerwiec 1968.

Stanisław KOWALSKI

Kazimierz WIERZYŃSKI

NOCNA ŚWIECA

*Nie piszę wierszy,
Spisuję fakty i doświadczenia
Póki przy nocnej świecy
Nie spalę się jak ćma.*

*Jeszcze kilka niezawinionych wojen,
Jeszcze kilka przebudzonych sumień,
Jeszcze jedno delirium absurdu
A stoczymy się w dół,
Huczący kamieniami
Górski piarg.*

*Chorzy na koniec świata,
Znieczuleni na własne zło,
Doczekamy się wielkiej nagrody:
Nie będzie po nas cmentarzy,
Nie będzie pamięci,
Zgaszona świeca,
Piarg.*

*Nasza planeta
Potoczy się jak cicha pustynia
Śród tłumu innych cichych pustyń,
Ruchem leniwej przyrody,
Miałkim kurzem, nic nie znaczącym
Wobec matematycznej maszyny
Universum.*

*Co mnie obchodzi
Ten samobójczy świat
Po którym jeszcze wlecze się człowiek,
Morderca własnego życia,
Powracający raz po raz
Na miejsce zbrodni.*

*A jednak?
Sam wlokę się po piasku pustynnym
Atawistycznym instynktem
I czego szukam?
Fata morgany?*

O CO?

O co
O deszcze
O urodzaj na pustyni
O gwiazdę nad chaosem
O ręce opiekuńcze
O most po powodzi
O cokolwiek
O przedmiot
O życie
O śmierć?

Wszystkiego za dużo
Deszczów i pustyni
Rąk i chaosu
Gwiazd i przedmiotów
Za wiele śmierci
Za wiele życia
Jednego życia
Które się ciągnie
Które się dłuży
Które ucieka
Coraz bardziej
Niedokończone
I nie do przebycia.

W CZARNYM KAMIENIU

Maniak jasności,
Przepycham się w czarnym kamieniu,
W zaciemnionej komorze,
Korytarzem który prowadzi,
Mówmy po męsku,
Nie wiadomo dokąd.

Jeśli co widzę
To lampy nad głową
Górników kopiących
Tak samo jak ja
Pod nieprzebitą ścianą,

*Za którą jest nowa ciemność,
Za którą jest nowe
Nie wiadomo co.*

*Chodzi o to
By nie dać się udusić
Niskim sufitom czarnego kamienia
Czy dokopiemy się do wyjścia,
Maniacy światła,
Czy też zasypie nas wybuch
I potłucze na gruz.*

SEN MARA

*Sen mara, nie odżegnasz się,
Sen życie-śmierć, nie uciekniesz,
Sen love-hate, zrośnięte przepaście,
Jedno serce podzielone na sto,
Jedna myśl oszalała w pszczelnym roju,
Jeden rozum pomieszany na morzu sprzeczności.*

*Logos i chaos, nie pogodzisz ich,
Sen-widmo zabitych i spokój bezpiecznych,
Sen walczących wśród klęski i krzywda bezbronnych,
Jedno serce pęknięte, wszystkie serca bezradne,
Jedna myśl oszalała, wszystkie myśli w popłochu,
Jeden rozum i morze, obszar bez dna.*

*A jednak suchą stopą przechodził po wodzie
Bóg wiara, czynił cuda i konał za innych,
Sen-piektło potępionych, sen-niebo niewinnych,
Sen-zbawienie, sen-kara,
Jeden na sto,
Morze bez dna,
Morze dno,
Sen mara.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

Archiwum polityczne

Kronika angielska

REFLEKSJE CZECHOSŁOWACKO-POLSKIE

Emil Hacha, prezydent Czechosłowacji zgodził się na wkroczenie wojsk hitlerowskich i utworzenie tzw. Protektoratu Czech i Moraw. Prezydent podpisujący akt zrzeczenia się niepodległości jest zjawiskiem raczej niecodziennym.

Czy jest przypadkiem, że w momencie jednego kryzysu na czele państwa stał Hacha, a w momencie drugiego kryzysu heroiczny komunista prezydent Svoboda? Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że w chwilach wielkiego zagrożenia postać przywódcy odgrywa decydującą rolę. Kryzys powiększa wielkich ludzi, a małych ludzi pomniejsza.

Korespondenci prasy zagranicznej informowali, że mieszkanie Dubczeka zastawione jest po sufit prezentami i kwiatami, którymi Czesi go zarzucają. Widziałem na telewizji jak flaga czechosłowacka wolno płynęła na maszt na znak, że prez. Svoboda powrócił z Moskwy i objął w stolicy urządowanie. Nieprzejrzane tłumy skandowały dwa słowa: „Dubczek — Svoboda”, „Dubczek — Svoboda”.

W momentach niebezpieczeństwa — instynkt wywodzący się z prehistorycznej przeszłości każe ludziom skupiać się wokół przywódców. Co się więcej liczy — czy postawa społeczeństwa czy wielkość przywódcy? Czy Czesi, którzy najpierw poparli Hachę, później Novotnego — to są ci sami Czesi, którzy skandują w uniesieniu: „Dubczek — Svoboda”?

Londyński *Dziennik Polski* zamieścił artykuł pod charakterystycznym tytułem: „Odwieczna Rosja”. Czy Rosja jest bardziej odwieczna niż Czechosłowacja? Czesi są historycznie starszym narodem niż Rosjanie i mają większe tytuły do odwieczności. Autor cytowanego artykułu miał na myśli niezmienialność Rosji. Gdyby Rosja była okupowana — tak jak jest okupowana Czechosłowacja — nastąpiłyby w niej olbrzymie zmiany. Bodźcami przemian są zagrożenie, klęska, okupacja, obce panowanie. Doświadczenia Rosjan jako narodu są nieporównywalne z doświadczeniami Czechów. Z tych przyczyn Rosjanom przychodzi niezmiernie trudno zrozumieć Czechosłowację.

Sytuacja jest nowa i bez precedensu bo do tej pory państwa komunistycz-

ne nie okupowały się nawzajem. Nie każda obecność obcych wojsk oznacza okupację. Jeżeli w danym kraju stacjonują wojska sojusznicze na podstawie traktatu czy umowy — nikt takiego stanu rzeczy nie określi mianem okupacji. Istotą każdej okupacji jest podbój. Rosjanie dokonali podboju Czechosłowacji, by przeprowadzić re-stalinizację ustroju. Dubczeka aresztowano, zakuto w kadany — tak, że nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że przywódca czechosłowacki znajduje się w rękach wrogów a nie sojuszników.

Rosjanie zdają sobie sprawę, że gdyby wycofali wojska — w całej Czechosłowacji odżyłby reformizm. Z drugiej strony obecność wojsk powoduje, że każdy rząd stalinowski byłby rządem nowego Hachy. Istnieje jeszcze trzecie wyjście — to znaczy likwidacja Dubczeka poprzez kompromitację. Gdyby Rosjanom powiedzło się zmusić Dubczeka do realizowania polityki, która stanowiłaby zaprzeczenie wszystkiego co do tej pory głosił — wówczas jego popularność zaczęłaby maleć. Tego typu rozwiązanie stanowiłoby największy triumf Sowietów.

W londyńskich *Wiadomościach* dramat czechosłowacki podsumowano następująco: „Nie może być liberalnego komunizmu — tak samo jak nie może być wegetariańskiej rzeźni”. Na miłość Boską — gdyby nie było liberalnego komunizmu — nie byłoby okupacji Czechosłowacji.

Sytuacja Dubczeka jest niezmiernie trudna. Gdyby podał się do dymisji na znak protestu — otworzyłby drogę dla rządu quislingowskiego. Tylko on i prezydent Svoboda reprezentują w oczach Czechosłowaków legalne władze państwowe.

Na skutek wydarzeń w Czechosłowacji należy poddać rewizji termin „państwo satelickie”. Dotąd, na Zachodzie przyjmowano ogólnie, że rządy komunistyczne Polski, Węgier, Czechosłowacji i Rumunii — jako narzucone przez Sowiety, są rządami satelickimi. Rząd satelicki nie jest w stanie utrzymać się przy władzy bez poparcia Moskwy.

W Czechosłowacji rząd komunistyczny nie tylko nie został narzucony przez Sowiety — lecz przeciwstawia się Sowietom. Równocześnie wypada stwierdzić, że Dubczek doszedł do władzy legalnie i jako przywódca komunistyczny wywodzi się w prostej linii z totalnego systemu narzuconego Czechosłowacji przez Sowiety. Formalnie nie ma żadnej różnicy pomiędzy Dubczekiem a Gomułką. A jednak nie ulega wątpliwości, że satelitą jest Gomułka a nie Dubczek.

Okazuje się więc, że o satelictwie nie decyduje narzucenie z zewnątrz danej formy rządu i ustroju. Komunizm był narzucony tak Polsce jak i Czechosłowacji. Rząd traci charakter satelicki wówczas, kiedy poparcie hegemonu, tj. Moskwy, jest w możności zastąpić poparciem własnego społeczeństwa.

Rząd PRL jest reżymem satelickim, ponieważ nie cieszy się poparciem polskiego społeczeństwa — natomiast rząd czechosłowacki przekształcił się z rządu satelickiego w legalną władzę Czechosłowackiej Republiki.

Jednym z zasadniczych atrybutów niepodległości jest legalny rząd, popierany przez większość narodu. W tym sensie Czechosłowacy odzyskali niepodległość, mimo, że ich kraj jest pod okupacją. Praga z sowieckimi czołgami na ulicach jest daleko bardziej niepodległa niż Warszawa — ponieważ w Pradze urządzuje legalny rząd i prezydent za którym stoi cały naród.

Celem polityki sowieckiej jest przywrócenie ustroju satelickiego Czechosłowacji. Czechosłowacy uważają, że przegrali wojnę, która nie była ani wy-

powiedziana ani prowadzona w dosłownym tych słów znaczeniu. Wojna jest przegrana lecz opór trwa nadal. Czechosłowacy nie traktują Rosjan ani jako przyjaciół ani jako sojuszników. Gotowi są natomiast wypracować nowy *modus vivendi* z Sowietami pod warunkiem, że Moskwa uszanuje czechosłowacką niezależność, której symbolem są legalne władze republiki. O legalizmie nie decydują wybory, demokracja, czy tytuły konstytucyjne sprzed pół stulecia. Legalny jest rząd, który przez naród uważany jest powszechnie za legalną władzę. W całej Czechosłowacji nie ma jednego człowieka, który nie uważałby prezydenta Svobody i Dubczeka za legalnych i powszechnie szanowanych przywódców narodu czechosłowackiego.

Dubczek i Svoboda zawdzięczają życie narodowi czechosłowackiemu. Likwidacja, względnie uwięzienie w dalekim łagrze obu czołowych przywódców byłoby, z punktu widzenia Moskwy, najprostszym rozwiązaniem. Rosjanie nie doceniali w pełni popularności Dubczeka lecz na szczęście dość szybko zdali sobie sprawę, że rozstrzelanie, względnie uwięzienie obu przywódców — pociągnęłoby za sobą katastrofalne konsekwencje.

Trzeba zrozumieć rzecz podstawową. Czesi nie wyłonili Hachy czy Kadara, ponieważ popularność Svobody i Dubczeka była tak wielka i emocjonalna, że przekreślała szansę zdrady i zdrajców. Imre Nagy był również popularny lecz tylko w Budapeszcie a nie na prowincji.

W kraju okupowanym rządzi się nie czołgami ale tajną policją. Na temat działalności sowieckiej tajnej policji w Pradze krążą różne wieści trudne do sprawdzenia. Lecz i w tej sprawie bardzo wiele zależy od postawy społeczeństwa. Tajna policja agresora nie może się obejść bez informatorów, donosicieli i kolaborantów. Sprawność sowieckiej policji zależeć będzie od stopnia kolaboracji Czechów.

Pesymizm wielu publicystów emigracyjnych płynie stąd, że choć od dwustu lat powtarzamy przy każdej okazji romantyczne hasła o wolności i niepodległości — w gruncie rzeczy, na dnie duszy, mamy wschodni, fatalistyczny stosunek do siły. Rosja może nie mieć niczego poza siłą — lecz siłę niewątpliwie posiada. Jeżeli Rosjanie od 23 lat trzymają za kark nas, Polaków — jakże mieliby sobie nie dać rady z małą Czechosłowacją?

Polaków zaskoczył „szwejkizm”. O „Dzielnym Wojaku Szwejk” mieliśmy najfałszywsze wyobrażenie. Szwejk, „oferma” w opadających spodniach i w komiśnym mundurze stanowi totalne zaprzeczenie polskiego ideału ułana jak z igły.

„Szwejkizm” według słów jednej z wolnych czechosłowackich radiostacji — jest metodą cywilnego oporu nielicznych, przeciwko licznym. Gdyby Dubczek nie był wyznawcą „szwejkizmu” — po zakuciu go w kajdany — uniósłby się honorem i oświadczył, że z Rosjanami nie będzie rozmawiał dopóki nie opuszczą terytorium Czechosłowacji. Czy można negocjować będąc w sytuacji przymusowej, tzn. z naganem przystawionym do piersi? Polski rząd niepodległościowy świadom poparcia całego narodu — w takiej sytuacji odmówiłby rozmów i raczej zgniłby na Łubiance niż podpisał układ kapitulacyjny.

Czesi wykazali, że można negocjować nawet z naganem przystawionym do piersi, pod warunkiem, że negocjatorzy mają za sobą całe społeczeństwo. „Szwejkizm” jako filozofia polityczna opiera się na przeświadczeniu, że za wielką siłą kryje się często mały mózg. Związek Sowiecki jest kontynen-

tem i super-mocarstwem atomowym. Czechosłowacja jest jednym z mniejszych państw europejskich. Rosja ma więcej czołgów niż Czesi karabinów. Lecz porównajmy oba Politbiura. Gdyby się zamknęło w dwóch izolowanych pokojach Politbiura czechosłowackie i sowieckie i gdyby obu tym zespołom przedłożono „testy” mające na celu ustalenie stopnia wykształcenia, inteligencji, odczytania, sprytu — jestem przekonany, że Czesi byłiby prymusami w tych zawodach.

Polak w tym miejscu uśmiechnie się pod wąsem i powie: „tak, Czesi są cwani — ale siła jest siłą”.

Nikt tak wiele nie mówi o wartościach duchowych jak my — lecz dla nas to jest „Bóg mi powierzył Honor Polaków” i kult patriotycznego harakiri. Nikt z nas nie dowierza, że wartości duchowe można przeciwstawić brutalnej sile — nie w sensie umierania za ojczyznę, lecz w sensie życia dla ojczyzny.

„Szwejkizm” jako nowa forma oporu — całkowicie zaskoczył Rosjan. Okupanci nie wiedzą co o tym fenomenie należy myśleć: „Szwejkizm” jest równie obcy Rosjanom jak Polakom. Mam wrażenie, że Czesi Rosjanom imponują, lecz psychicznie bliżsi są im Polacy.

Zwycięstwo Czechosłowaków i ich „szwejkizmu” polega na tym, że — jak dotąd — Rosjanie nie zdołali odebrać im rządu narodowego. Dubczek i Svoboda są pierwszymi w Europie przywódcami, którzy reprezentują legalną władzę będącą równocześnie komunistyczną i ogólnonarodową. Gdyby Rosjanie wycofali swoje dywizje z Polski — w naszej sytuacji politycznie nic by się nie zmieniło. Rząd Gomułki byłby nadal rządem satelickim a nie rządem narodowym. Czechosłowacy dokonali wewnętrznego wyzwolenia. Przestali być narodem satelickim, ponieważ są rządzani przez własnych przywódców cieszących się pełnym poparciem społeczeństwa. Jeżeli zdołają obronić nowy status Czechosłowacji — co niestety bynajmniej nie jest pewne — „Dzielny Wojak Swejk” okaże się więcej wart niż legion Kozielskich.

„Szwejkizm”, który jest giętkim, zachodnim realizmem — spowodował, że Dubczek i wielu innych reformatorów pozostali w partii. Czesi zdają sobie bowiem sprawę, że przebudować komunizm można tylko od wewnątrz.

Przed wojną w Kraju partie opozycyjne nie miały programu alternatywnego, ponieważ były wyjałowione latami bezpłodnej negacji. Dmowski był wybitnym pisarzem politycznym lecz „najazd” Doboszyńskiego na Myślenice był operetką. W przedwojennej Polsce potrzebne były reformy, a może nawet rewolucja. W czasie pokoju radykalne reformy czy rewolucje mają szansę przeprowadzić tylko ci, którzy są zdolni większość aparatu władzy przeciągnąć na swoją stronę. Innymi słowy, jeżeli wyłączamy wojnę — należy stwierdzić, że Reformacja czy Rewolucja musi zacząć się w łonie partii rządzącej.

O FUNDUSZU „KULTURY” — INACZEJ

Nasz apel (*Kultura*, lipiec-sierpień br.) nie we wszystkich kołach naszych Czytelników został właściwie zrozumiany. Trudno się temu dziwić, ponieważ dla większości naszych Czytelników *Kultura* jest tylko miesięcznikiem, który wychodzi regularnie pomiędzy pierwszym a szóstym każdego miesiąca.

Od strony warsztatu — wygląda to nieco inaczej. *Kultura* jest nie tylko pismem i Instytutem Wydawniczym lecz również ośrodkiem politycznym.

Nie waham się podkreślić faktu, że *Kultura* jest przede wszystkim ośrodkiem politycznym. Na emigracji sytuacja układa się w ten sposób, że ośrodki polityczne nie mają pism — natomiast pisma nie mają polityki.

W roku 1948 — kiedy w Londynie istniał jeszcze rząd Rzeczypospolitej uznawany przez ogół Polaków w wolnym świecie — starałem się przekonać „czynniki rządowe” o konieczności stworzenia pierwszorzędnej trybuny prasowej dla polityki niepodległościowej. Wszyscy potakiwali lecz nie zrobiono niczego, choć pieniędzy jeszcze wówczas nie brakowało.

Polscy politycy nie doceniają słowa jako instrumentu oddziaływania i działania politycznego. Domorośli „realiści” pouczają nas ustawicznie, że w polityce liczą się tylko fakty. Realści zapominają natomiast, że w polityce ziarnem z którego kiełkuje i wyrasta fakt, jest zawsze słowo.

Reformacja czechosłowacka znakomicie ilustruje polityczną potęgę słowa. Czołgami można wszystko zniszczyć lecz nie można niczego stworzyć. Z tej przyczyny czołgi w porównaniu z wolnym słowem, są bardzo ograniczonym instrumentem działania politycznego. Rosjanie czołgami nie zdołali stworzyć ani czechosłowackiego Kadara, ani stalinowskiego, kolaboracyjnego rządu.

Rosja sowiecka, drugie super-mocarstwo świata boi się więcej wolnego słowa niż bomby atomowej. Rosja jest olbrzymim kontynentem i być może przeżyłaby atak nuklearny. Gdyby jednak zniesiono całkowicie cenzurę — Związek Sowiecki, w jego obecnej formie, nie przetrwałby tygodnia.

Słabość i bezbronność ustrojów totalnych w drugiej połowie XX wieku polega na tym, że w gruncie rzeczy łatwiej jest bronić się przed bombami atomowymi niż przed wolnym słowem. Odpowiedzią na bomby atomowe są bomby atomowe. Jeżeli są pieniądze i środki materialne — arsenałowi przeciwnika można przeciwstawić własny arsenał atomowy. Lecz tak jak odpowiedzią na bomby atomowe są bomby atomowe — tak odpowiedzią na wolne słowo jest wolne słowo. Niewolnicze, ocenzone słowo nie stanowi żadnej odpowiedzi na wolne słowo.

Telewizja BBC w dniu zakończenia czechosłowacko-sowieckich negocjacji w Moskwie, przeprowadziła w ramach swego programu „24 Hours” wywiad z pierwszym sekretarzem sowieckiej ambasady w Londynie. Nieszczęsny dyplomata wił się jak piskorz, ocierał pot z czoła i nie był w stanie odpowiedzieć na żadne z postawionych pytań. To było upokarzające dla Sowietów widowisko. Funkcjonariusz ambasady nie dysponował wolnym słowem, a tym samym nie dysponował rzeczowym argumentem. Powtarzał w kółko frazesy powyrywane z komunikatów TASS’a, że wojska sowieckie zostały „zaproszone” do Czechosłowacji, lecz kto je zaprosił nie umiał powiedzieć. Nie umiał również odpowiedzieć na pytanie jak to się stało, że *Prawda* nazwała Dubczeka jednego dnia zdrajcą i kontrrewolucjonistą — a drugiego dnia ten sam Dubczek zasiadał w Moskwie przy stole obrad.

Przysłuchując się cytowanemu wywiadowi zdałem sobie sprawę z faktu, że moskiewscy stalinowcy są przekonani, że nie tylko w Moskwie, w Pradze czy w Warszawie lecz nawet w Londynie treść słów i sens zdań mogą być narzucone siłą. Dla tych panów nie jest ważne co się mówi — tylko jest ważne kto mówi.

Cały świat uważa, że Sowiety dokonały w stosunku do Czechosłowacji aktu agresji. Moskwa mówi natomiast uporczywie o „zaproszeniu”.

W Rosji obowiązuje gramatyka siły od bardzo dawna. Jakże charakterystyczna jest w tym względzie opowieść Telimeny w „Panu Tadeuszu”

o zagrzyzieniu jej pieska Bonończyka przez charty małego czynownika. Wielki łowczy dworu Kiryło Gawrylicz Kozodusin zawyrokował, że zabity piesek był „łanią kotną” a uszczucie łani kotnej stanowiło przestępstwo. Wezwany policmajster poparł nie małego czynownika, tylko dygnitarza Kozodusina i stwierdziwszy, że zaduszony piesek był kotną łanią postął czynownika do więzienia.

Dziś, w Moskwie czy w Leningradzie nie ma wielkich łowczych dworu — lecz gramatyka siły obowiązuje nadal w urzędowym języku rosyjskim. Pomiędzy „zaproszeniem” a „agresją” jest nie mniejsza różnica niż pomiędzy „kotną łanią” a pokojowym pieskiem. Lecz czy „agresja” jest „zaproszeniem” — o tym nie decyduje słownik języka rosyjskiego tylko władza polityczna, która w Rosji jest jedynym autorytetem nadającym treść słowom.

Istnieją dziesiątki definicji demokracji. Sądzę jednak, że podstawowym sprawdzianem demokracji jest niezawisłość słowa, to znaczy, że pies jest psem a nie kotną łanią bez względu na to czy to się władzom podoba czy nie.

W walce z ustrojem sowiecko-stalinowskim wolne słowo odegra decydującą rolę. Nie NATO, nie czołgi, nie bronie atomowe — tylko słowo zagraża imperium sowieckiemu. To nie są literackie frazesy. To jest polityczna obiektywna ocena, którą czechosłowacki kryzys potwierdził w stu procentach.

Kultura od roku 1956 starała się — jeżeli nie w pełni wypracować to przynajmniej naszkicować polską drogę do socjalizmu. Zarówno jeżeli mowa o czechosłowackim „programie akcji” jak i o „2000 Słów” — to wypada stwierdzić, że niemal identyczną analizę i projekty znaleźć można w rocznikach *Kultury* za ostatnie lat 10. Wychodziliśmy bowiem z tych samych założeń — to znaczy, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem sądząc, że wszelka naprawa i postęp muszą się zacząć nie na księżycu tylko w kraju. Kraje wschodnioeuropejskie nie znają innej rzeczywistości poza komunistyczną.

Socjalizm Dubczeka do dnia 21 sierpnia br. wydaje mi się bardziej realny jeżeli chodzi o wschodnią Europę, niż patetyczny socjalizm reprezentowany przez PPS.

Mówiąc o kompleksie budapeszteńskim w naszym apelu — mieliśmy na myśli nie kraj tylko emigrację. Ów kompleks wywodzi się z przeświadczenia, że Polakom w Kraju niczego nie należy doradzać, nie wolno broń Boże niko go pouczać — bo jeżeli doszłoby do rozruchów i represji to nie my będziemy narażeni na niebezpieczeństwo tylko nasi rodacy w Kraju.

Kultura nikogo nie poucza ani nie namawia do podejmowania nieprzemyślanych akcji. Z drugiej strony wypada podkreślić z naciskiem, że od samego początku, tzn. przez ubiegłe 20 lat — uważaliśmy *Kulturę* nie za pismo emigracyjne, ale za polskie pismo, wydawane zagranicą. Włożyliśmy ogromny trud w podtrzymywanie żywych kontaktów z Krajem, studiowaliśmy wszystkie przemiany zachodzące w Polsce nie jako sowietolodzy, lecz jako ludzie bezpośrednio zaangażowani. Osobiście znam dziś w Polsce daleko więcej ludzi niż znałem przed wojną i jako publicysta jestem w Kraju daleko bardziej znany, niż byłem przed wojną. To jest miarą mojego zaangażowania. Mimo, że nasz miesięcznik jest zajadłe tępiony przez reżym — nikt kto czyta prasę krajową nie może mieć wątpliwości, że *Kultura* jest obecna w Polsce i bierze konkretny udział w najistotniejszych procesach społecznych zachodzących w Kraju.

W takiej sytuacji ludzie w Polsce, których Gomułka nazwał „ideologicz-

nie spowinowaconymi" z *Kulturą* — oczekują od nas nie tylko obiektywnych informacji i analiz lecz i rady. Oczekują od nas, że jako pismo polskie, które nie podlega cenzurze — kontynuować będziemy intelektualny i polityczny ferment, który w Polsce jest dławiony. Oczekują od nas, że będziemy pisać w przybliżeniu to — co oni by pisali — gdyby mogli pisać swobodnie.

Kultura jest polskim ośrodkiem politycznym reprezentującym naszych „ideologicznych powinowatych” w Kraju, których — sądząc z wypowiedzi Gomułki i ataków prasy reżymowej — musi być sporo.

Nie jesteśmy antyemigracyjni. Przeciwnie, popieramy czynnie wiele instytucji emigracyjnych i sami istniejemy dzięki czynnemu poparciu emigracji.

Kultura jest mostem łączącym emigrację z żywymi siłami w Polsce. Nie każdy ma możliwości budowania mostu, lecz gdy most jest zbudowany — wszyscy mogą go używać. Wystarczy zaprenumerować *Kulturę* by być doskonale zorientowanym w przemianach zachodzących w Polsce i w całej wschodniej Europie.

Na każdą politykę trzeba pieniędzy lecz szczególnie na polską politykę potrzeba pieniędzy. Trzeba pieniędzy na wydawanie książek, trzeba pieniędzy na wysyłanie *Kultury* i jej wydawnictw do Kraju, trzeba pieniędzy na wysyłanie korespondentów do Pragi czy Belgradu — i przede wszystkim trzeba pieniędzy na pomoc zagrożonym i bez środków do życia.

Wydałiśmy pięknie graficznie skomponowane znaczki Funduszu KULTURY, które są do nabycia w Maisons-Laffitte. Liczymy że nasi Czytelnicy poprą naszą akcję.

LONDYŃCZYK

Co wysyłać teraz ?

**PO CO PUDŁOWAĆ, SKORO POINFORMUJE
NAJLEPIEJ NAJNOWSZY BIULETYN TAZABA
*** (TRZY GWIAZDY)**

„POLO” bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy”? Ortaliony?

Jeżeli tak, to tylko dobre i ze wszystkimi „szykanami”

bo dobry gatunek najlepiej się opłaca.

OSTRZA do golenia „Gilette Super Silver”, kalkulujące się u TAZABA: £1 ca 500 zł sprzedają się „jak bułki” po 12-15 zł za sztukę. Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-; 500 szt. £ 12.15.0; 1000 szt. £ 22.15.0.

Biuletynami ***, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB 22 Roland Gardens, LONDON, S.W.7.
100 East 10th St., NEW YORK 3, N.Y.
tel.: Alganquin 4-4161

Deklaracja ruchu studenckiego w Polsce

Niniejsza deklaracja została zredagowana na podstawie nadesłanych do Komitetu Studenckiego postulatów. Jest ona syntezą wielu rezolucji i zawiera w sobie żądania wysuwane przez nasz ruch.

Świadomi powagi sytuacji w naszym społeczeństwie, w szczególności zaś w środowiskach studenckich, oświadczamy:

Powstała sytuacja nie tylko nie da się zlikwidować przy pomocy mnożących się represji, ale wywołując coraz ostrzejsze protesty społeczeństwa będzie pogłębiać kryzys uniemożliwiający odpowiedzialną refleksję i znalezienie dróg rozwiązania. Podtrzymujemy i będziemy czynnie podtrzymywać wyrażone przez nas dotychczas protesty przeciwko wszelkim represjom. Uważamy jednak, że jest kwestią społecznej odpowiedzialności głęboka, poważna, i nie tylko objawowa analiza społecznych źródeł ruchu studenckiego, który — zważywszy jego ideowe zaangażowanie — tylko siły wrogie Polsce Ludowej i socjalizmowi uważać mogą za produkt coraz to nowych spisków rzekomych „wichrzycieli”. Sądzymy, że ruch ten jest tylko szczególnie jaskrawym sygnałem ogólnospołecznych napięć politycznych. Tak myśląc, czujemy się zobowiązani do przedstawienia wstępnej analizy sytuacji i podania pod społeczną dyskusję naszych propozycji i rozwiązań.

I.

Podkreślamy: wobec spontaniczności i masowego charakteru ruchu studenckiego, wobec ideowego zaangażowania, jakie po wielokroć wykazywali uczestnicy ostatnich wydarzeń, istniejące formy ruchu młodzieżowego okazały się niewystarczające. Istniejącym organizacjom zabrakło politycznego rozeznania, wrażliwości na problemy nurtujące studentów, oraz autorytetu wśród młodzieży. Jest to nie tylko skutek działalności ludzi kierujących

tymi organizacjami, jest to przede wszystkim konsekwencja dotychczasowych funkcji organizacji młodzieżowych, społecznych i politycznych w strukturze naszego kraju. Zamiast być ośrodkiem dyskusji i myśli politycznej uległy one konformizmowi i stały się areną rozgrywek personalnych. Radykalnej krytyki takich organizacji młodzieżowych dokonali studenci przez swą postawę podczas ostatnich wydarzeń. Z krytyki tej wynikają następujące wnioski:

1. Młodzież akademicka ma prawo i obowiązek domagać się stworzenia i zapewnienia gwarancji legalnego działania takiej politycznej organizacji studenckiej, która będzie rzeczywiście wyrażać dążenia środowisk akademickich.

2. Organizacja winna zostać wyposażona w legalne środki wypowiedzenia i upowszechniania swoich opinii. Sprawą szczególnie palącą jest reaktywowanie czasopisma studentów i młodej inteligencji, które politycznym i społecznym zainteresowaniom młodzieży zapewniłoby właściwy rezonans społeczny. Pisma pretendujące obecnie do tej funkcji zdecydowanie nie spełniają swego zadania.

3. Organizacji tej winna być zapewniona swoboda politycznego działania, między innymi poprzez tworzenie klubów i ośrodków dyskusyjnych. Wobec ideowego i bezspornie socjalistycznego charakteru ruchu studenckiego, swoboda ta będzie wykorzystana w tych granicach, jakie stwarza charakter socjalistyczny naszego państwa. Trzeba jednak jak najmocniej podkreślić: akceptacja podstawowych przesłanek socjalizmu nie zwalnia, lecz zobowiązuje do dyskusji i refleksji nad różnymi sposobami realizacji tych przesłanek. Postulaty postawione poniżej zbierają i porządkują te dążenia polityczne, społeczne i ekonomiczne, które pojawiły się wewnątrz naszego ruchu w dotychczasowym jego działaniu. Nie rościmy sobie pretensji do ogarnięcia całokształtu skomplikowanej problematyki naszego życia społecznego. Wierzymy jednak, że zapewnienie możliwości dyskusji nad przedstawionymi problemami będzie krokiem na tej drodze, która socjalizm przybliży społeczeństwu.

Inna droga — to represje, próby skłócenia społeczeństwa i maskowania napięć społecznych pustą frazeologią; może to tylko te napięcia wzmocnić. Rezultatem tej taktyki były ostatnie wydarzenia we wszystkich ważniejszych ośrodkach akademickich naszego kraju.

Oto nasze postulaty:

II. ASPEKT EKONOMICZNY

1. Domagamy się podania do wiadomości publicznej rzeczowych informacji o aktualnej sytuacji gospodarczej naszego kraju.

2. Uważamy za niezbędną jawną i nieskrępowaną dyskusję organizacyjno-gospodarczych alternatyw w ramach ustroju socja-

listycznego. Postulujemy rozszerzenie dyskusji nad rozwiązaniami przyjętymi w modelu gospodarczym Czechosłowacji, Węgier, ZSRR i Jugosławii. Należy przy tym zwrócić uwagę na społeczne aspekty każdego z tych rozwiązań. Należy rozważyć rolę samorządu robotniczego, dyrekcji przedsiębiorstw i nadrzędnych instancji gospodarczych, oraz organizacji politycznych i społecznych w kształtowaniu i podejmowaniu decyzji gospodarczych. Niezbędne jest zwrócenie uwagi na związane z poszczególnymi modelami szanse zwiększenia lub zacierania różnic społecznych. Dyskusja nad modelami systemu gospodarczego winna doprowadzić do opracowania wariantów odpowiadających obecnej sytuacji naszego kraju.

3. Przeprowadzona reforma gospodarcza winna mieć charakter konsekwentny i całościowy, uwzględniający współzależność rozwiązań ekonomicznych z politycznymi i organizacyjnymi. Opinia publiczna winna być informowana o argumentach, które z punktu widzenia różnych grup społecznych przemawiają za lub przeciw poszczególnym reformom.

4. Domagamy się respektowania w praktyce gospodarczej rachunku ekonomicznego. Jednocześnie polityka gospodarcza nie może być prowadzona kosztem polityki społecznej. Kierowanie się wąsko-ekonomicznym kryterium krótkowzrocznie pojmowanej opłacalności prowadzi do ograniczeń w spożyciu i świadczeniach zbiorowych, co się wyraża w ukrytym i jawnym podnoszeniu cen i opłat oraz ograniczeniu dotacji.

5. Domagamy się ścisłej i stałej kontroli społeczeństwa nad całokształtem procesu gospodarczego, nad formułowaniem celów długoplanowych, planowaniem i realizacją planów. Uważamy za konieczne zapewnienie instytucjonalnych możliwości formułowania i obrony interesów robotników, w szczególności poprzez samorząd i niezależne związki zawodowe.

6. Domagamy się przestrzegania zasady kompetencji przy selekcji ludzi na odpowiedzialne stanowiska oraz odpowiedzialności za podejmowane decyzje niezależnie od szczebla na jakim zostały podjęte.

III. ORGANIZACJA SPOŁECZNA I INFORMACJA

1. Prawne zagwarantowanie możliwości zrzeszania się obywateli, wyrażania przez nich swoich potrzeb i opinii jest niezbędne dla właściwego funkcjonowania organizmu społecznego.

2. Tendencja administracji do ukrywania informacji źle świadczących o jej funkcjonowaniu utrudnia społeczeństwu kontrolę nad procesami zarządzania a organom zwierzchnim podejmowanie właściwych decyzji. Konieczne jest zagwarantowanie społeczeństwu możliwości uzyskiwania informacji o działalności organów państwowych.

3. Działalność Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, ograniczająca krytykę i dyskusję nad niezbędnymi reformami jest

sprzeczna z Konstytucją i społecznie szkodliwa. Domagamy się zniesienia cenzury i zachowania przewidzianej przez prawo odpowiedzialności wyłącznie po opublikowaniu tekstów, naruszających interesy obywateli i społeczeństwa.

IV. PRAWO I PRAWORZĄDNOŚĆ

1. Uznajemy za słuszne tendencje do rozszerzenia faktycznej roli Sejmu PRL. Postulujemy wprowadzenie zwiększonej, rzetelnej, nie selektywnej informacji o pracach Sejmu.

2. Uważamy za słuszne oddawanie pod publiczną dyskusję obowiązującego w Polsce systemu prawa. Domagamy się rozszerzenia dyskusji nad ustawami przed wniesieniem ich na forum Sejmu.

3. Domagamy się zgodności przepisów szczegółowych z Konstytucją i zagwarantowania przez nie podstawowych praw obywatelskich: wolności słowa, nauki, twórczości artystycznej, druku, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji oraz wolności zrzeszania się (Artykuł 71 i 72 Konstytucji), przestrzegania netykalności obywateli, nienaruszalności mieszkań, tajemnicy korespondencji i rozmów telefonicznych (Artykuł 74 Konstytucji).

4. Mały Kodeks Karny powinien być uchylony, a jego postanowienia nie mogą być włączone do nowego Kodeksu Karnego. Domagamy się likwidacji sprzecznych z Konstytucją przepisów zawartych w ustawie o zgromadzeniach.

5. Domagamy się przestrzegania zasady niezawisłości sądów oraz niestosowania tajności rozpraw trybu doraźnego lub spieszonego w procesach politycznych.

6. Usunięcie z pracy, odmowa paszportu, pobór do wojska nie są karami przewidzianymi przez polski Kodeks Karny. Należy prawnie uniemożliwić stosowanie tego rodzaju praktyk jako kar.

7. Prawo musi określać wyraźnie, co jest przestępstwem, a co niezgodne z Konstytucją i poczuciem moralnym społeczeństwa. Niejasność przepisów prawnych, nacisk na sądy i represje wobec adwokatów pozbawiają prawo i postępowanie sądowe majestatu sprawiedliwości, czyniąc zeń środek zemsty i represji politycznej.

V.

Jesteśmy świadomi wagi postulatów, które nasz ruch wyłonił. Wyrażają one problemy tkwiące w całokształcie naszego życia społecznego. Nie sądzimy, że realizacja naszych postulatów uzdrowi wszystkie dziedziny życia państwowego, jednak bez ich rozważenia i praktycznej realizacji wniosków z nich wynikających, kraj nasz może być narażony na dalsze pogłębianie się istniejących konfliktów.

Konsekwencje polityki nieliczącej się z opinią publiczną obciążą

zać będą nie tylko aparat obecnej administracji, ale całe społeczeństwo.

W imię tej odpowiedzialności podjęliśmy się zadania publicznego przedstawienia naszych postulatów.

Wolna od chaosu i bezprawia, socjalistyczna, demokratyczna Polska jest naszą wspólną sprawą.

STUDENCI UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Warszawa, 28 marca 1968 r.

Wrażenia z Polski

Obcokrajowiec, a szczególnie dziennikarz zachodni, w Warszawie dowiaduje się bardzo łatwo o sprawach partii komunistycznej. Społeczeństwo polskie, a zwłaszcza inteligencja, są całkowicie otwarte na Zachód, zaś walka klik partyjnych jest im psychicznie obca.

Oto kilka wrażeń z Polski, spisanych na podstawie licznych rozmów na temat zbliżającego się zjazdu partii komunistycznej.

Koalicja wewnętrzno-partyjna, która dokonała przełomu październikowego w Polsce w 1956 roku, nie miała szans na utrzymanie się przy władzy bez pomocy Gomułki.

Przeciwko koalicji zwyciężającej na 8 plenum PZPR działały trzy czynniki:

a) składała się ona z byłych czołowych stalinistów i nie miała człowieka na tyle nie skompromitowanego, żeby wysunąć go na przywódcę partii;

b) nie miała zaufania Rosjan, którzy chcieli zniszczyć ekipę dawnych swoich ludzi, obecnie ich zdradzających;

c) miała przeciw sobie dużą część aparatu partyjnego, „nowej klasy”, którą reformy musiały nieuchronnie usunąć od władzy.

Z tych względów koalicja 8 Plenum wysunęła na czoło partii Gomułkę, mimo, że dużo wcześniej porozumieli się z nim (przez Strzeleckiego) natolińczycy, konserwa partyjna. Gomułka był zresztą o wiele bliższy mentalności konserwy i w gruncie rzeczy też nienawidził ludzi, którzy kiedyś brutalnie usunęli go i oskarżyli, a teraz z konieczności zaprosili do władzy.

Dlatego koalicja 8 Plenum stała od początku na pozycjach straconych, nie miała żadnych szans na przeprowadzenie reform Października. Przeciw reformom był Gomułka, Rosjanie i konserwa partyjna. Teoretycznie biorąc twórcy 8 Plenum powinni byli doprowadzić do konfrontacji z Gomułką najpóźniej w październiku 1957 roku, kiedy to ostatecznie stanął on po stronie konser-

wy partyjnej. Wtedy właśnie nastąpiła likwidacja tygodnika „Po prostu”. Konflikty z Gomułką koalicja 8 Plenum jednak nie zażykowała. Było z góry wiadomo, że nie mogła go wygrać. Opinia publiczna wierzyła jeszcze w Gomułkę. Rosjanie popierali już wtedy jego i tylko jego. Opowiadano mi w Warszawie, że Chruszczow wznosił o tym czasie toasty na cześć polskiego Biura Politycznego, „z wyjątkiem tow. Zambrowskiego”. Aparat partyjny powoli odwojowywał utracone pozycje i stanąłby wtedy zdecydowanie za Gomułką.

Nie mogąc podjąć konfrontacji z Gomułką koalicja 8 Plenum automatycznie rezygnowała z przeprowadzenia reform demokratycznych obiecanych narodowi w Październiku 1956 roku. Gomułka nie chciał głębszych reform, dążył do wzmocnienia władzy partii i realizował swój program indywidualny w postaci nowej polityki rolnej, autonomii swej władzy wobec Rosjan i częściowo nowej polityki kościelnej. Wreszcie Gomułka koncentrował się na polityce gospodarczej, będąc tu wyrazicielem specyficznego mariażu dogmatyzmu w wielkich problemach ekonomicznych i pragmatyzmu doraźnych rozwiązań.

Twórcy przełomu październikowego w Polsce opowiadają niebywałe rzeczy o swoich sporach z Gomułką, który utracił dosłownie wszystkie projekty śmielszych reform. Np. na wniosek Staszewskiego, ówczesnego sekretarza partii w Warszawie, żeby utworzyć Trybunał Administracyjny — miał odpowiedzieć: „jako, to wy chcecie, żeby oni (czytaj: społeczeństwo) nas sądzili?!”.

Koalicja 8 Plenum, skazana na Gomułkę, godziła się z jego programem, wyrzekła się reform demokratycznych, ale pozostała przy władzy. To jednak stawiało ją na pozycjach straconych nie tylko politycznie, ale i moralnie. Byli stalinowcy utrzymali się przy władzy wysuwając program demokratyzacji. Pozostali przy władzy nie przeprowadzając demokratyzacji, konserwa partyjna mogła więc podnieść przeciw nim zarzut, że chodziło im tylko o władzę, a nie o demokratyzację. Wreszcie pochodzenie żydowskie kilku głównych filarów koalicji 8 Plenum i utrzymanie przez nią na stanowiskach kilkuset innych działaczy pochodzenia żydowskiego, pozwoliło konserwie z powodzeniem głosić tezę, że chodzi o władzę grupy żydowskiej w partii i w Polsce, a nie o żaden program demokratyczny.

W ten sposób w ciągu kilku lat rozbujano w PZPR antysemityzm. Gdyby koalicja 8 Plenum zdołała przeforsować reformy demokratyczne, antysemityzm nie miałby oparcia w partii. Utrzymując się przy władzy i nie przeprowadzając reform, koalicja 8 Plenum potwierdziła tezę antysemitów, że chodzi o władzę, a nie o program. Istota dobiegającego właśnie końca konfliktu w PZPR polega na tym, że tysiące młodych aparatczyków, głównie pochodzenia chłopskiego, chce zająć stanowiska i posady, zajmowane od przeszło dwudziestu lat przez ludzi koalicji 8 Plenum. I zajmie je. Młodzi aparatczycy są już w partii absolutną większością. Tak to na koalicji 8 Plenum zemściło się dzierżenie

władzy bez możliwości realizowania swego programu. A może jeszcze bardziej zemściła się dawna stalinowska przeszłość. Dziś koalicja ta jest w rozsypce. Ochaba usunięto, Cyrankiewicz, mimo że upadła się bezgranicznie, jest już w końcowej fazie swej kariery, po Zambrowskim, Morawskim, Alsterze, Kasmanie, Matwinie, Albrechcie — nie ma już śladu we władzach partyjnych.

Koalicja 8 Plenum nie istnieje i co więcej w PZPR nie ma praktycznie w ogóle skrzydła liberalnego. Liberalni intelektualisci z partii zostali usunięci, lub wystąpili sami, co zresztą było ich błędem. We władzach partyjnych liberałów w ogóle nie ma. Dlatego na przykład demonstracje literatów i studentów w marcu r.b. nie znalazły żadnego oparcia politycznego na górze i musiały skończyć się klęską. Polska, która pierwsza w obozie komunistycznym wysunęła program demokratyzacji nie ma dziś żadnych szans na jej przeprowadzenie i żadnych jej wyrazicieli w kierownictwie partyjnym. Oddolny ruch demokratyczny, bez oparcia w kierownictwie partyjnym, jest w warunkach krajów Europy Wschodniej zawsze skazany na zagładę. Zanim demokratyczne nastroje całej młodej generacji pozapartyjnej w Polsce przenikną do partii, do młodych aparatczyków pochodzenia chłopskiego, minie kilka lat. W młodej biurokracji muszą nastąpić w tym czasie głębokie przemiany świadomościowe i socjalne. Tymczasem jest ona pochłonięta tylko myślą o władzy i dobrobycie. Realne problemy polityczne i gospodarcze rozstrzyga Gomułka, młoda biurokracja jeszcze w ogóle przed nimi nie stanęła. Interesuje ją tylko problem władzy.

Brak skrzydła liberalnego w PZPR, związany z przeszłością i losami koalicji 8 Plenum, nie oznacza, że partia ta jest zwarta. Przeciwnie jest ona dosłownie w proszku. Gomułka utrzymuje się głównie dlatego, że tylko on ma wyłączne poparcie Rosjan. Poza tym zachowuje pozorną równowagę w partii szachując starą i młodą konserwę przez podtrzymywanie resztek działaczy koalicji 8 Plenum, takich jak Cyrankiewicz, Rapacki, Starewicz, Jędrzychowski i inni. Ale dni tych polityków wydają się policzone. A Gomułka sam z Kliszką tylko czy z Spychalskim rządzić nie może. Partię ma w ręku nowa koalicja, mniej czy bardziej umiarkowanych konserwatystów. W gruncie rzeczy o partii decydują dziś pierwsi sekretarze komitetów wojewódzkich, którzy mają więcej do powiedzenia niż cały Komitet Centralny. W górze partyjnej wyrazicielami obecnej centralnej i terenowej biurokracji partyjnej są Gierek, Strzelecki i Moczar. Wszyscy trzej, choć w różnym stopniu, wyrażają — zasuflowaną w swoim czasie przez Bolesława Piaseckiego w książce pt. „Patriotyzm polski” — linię nacjonalistyczną i antysemicką. Ale dzieli ich taktyka i chęć zagarnięcia władzy tylko dla siebie. Moczar jest najbardziej skrajny w walce z resztkami koalicji 8 Plenum i w antysemityzmie, ale jednocześnie najbardziej kokietuje społeczeństwo, byłych AKowców, a także literatów i Kościół. Ale jako były szef bezpieki ma najbardziej obciążone konto moralne. Mimo to ludzie zmęczeni beznadziejnością rządów Gomułki, zgodziliby się na

Moczara. Ale po zoologicznej kampanii antysemickiej i nacjonalistycznej, po marcu 1968 roku — większe szanse mają Gierek i Strzelecki. Są bardziej bezbarwni. A Rosjanie boją się równie nacjonalizmu jak i demokratyzacji. Moczar jest więc w impasie. Ale ma nadal w aparacie fanatycznych zwolenników i jego frakcja jest najlepiej zorganizowana. Po ostatnim Plenum okazało się, że stara konserwa natolińska (Tokarski i Rumiński) jest przeciw Moczarowi. Wynika z tego, że likwidując skrzydło liberalne PZPR i tak pozostała w proszku, i trudno przewidzieć kto będzie ostatecznie następcą Gomułki. Może o tym przesądzić przypadek, po prostu układ sił na jakimś zebraniu K.C. w określonym, przełomowym momencie.

Tymczasem jednak Gomułka nie jest zagrożony i on podyktuje uchwały i personalia zbliżającego się zjazdu partii. Gomułka zniknie tylko wtedy gdyby na Kremlu doszło do niekorzystnej dla niego próby sił, w wyniku kompromitacji w Czechosłowacji. Dopóki jest Breżniew trudno usunąć polskiego interwenta — Gomułkę. Ale kiedyś przyjdzie w partii wielki atak na politykę Gomułki, łącznie z ową nieszczęsną interwencją w Czechosłowacji. Czy poprowadzi go Moczar, czy ktoś młodszy — trudno przewidzieć. Może też przyjść najpierw umiarkowany Gierek lub sprytny choć bezbarwny Strzelecki.

Jedno jest pewne: najbliższy zjazd PZPR doprowadzi do zwycięstwa w partii młodą biurokrację. Jest ona chłopska, prymitywna i nie ma programu. Jest niebezpiecznie skłonna do skrajności nacjonalistycznej i antysemickiej — byle dostać władzę. Po dojściu do władzy stanie jednak nie przed problemem żydowskim, którego w Polsce powojennej — poza górą partyjną — nie było i nie ma, lecz przed realnymi problemami politycznymi i gospodarczymi. I wtedy dopiero wyklarują się nowe prądy.

Walki w PZPR, poprzedzające zbliżający się zjazd partii, nie toczą się o jakikolwiek program, lecz tylko o władzę. Moczarowi udało się zafascynować młodą biurokrację nadzieją odebrania władzy koalicji 8 Plenum, Żydom i Gomułce. Fascynacja ta jest obecnie silniejsza niż wszystko inne. Dopiero gdy się ona skończy przyjdzie refleksja nad linią polityczną.

Dążenie do władzy za wszelką cenę nie jest jednak wcale niewinne i wymaga określonej polityki. Chcąc zwalczyć umiarkowaną linię koalicji 8 Plenum, trzeba ją we wszystkich przelicytować i ustawić na pozycjach podejrzanych, rewizjonistycznych, pojednawczych wobec Zachodu. Wobec tego forsuje się politykę skrajną we wszystkich dziedzinach. Zaostrza stosunki z Zachodem a głównie z Niemcami Federalnymi, hamuje reformy gospodarcze, prowadzi do konfliktu z literatami, studentami, Kościołem i całą opinią publiczną. Jak mi ktoś powiedział dowcipnie — Polska dzisiejsza nie ma polityki zagranicznej, gospodarczej, kulturalnej, kościelnej — ma tylko politykę wewnątrzno-partyjną. Tak dalece wszystko jest uzależnione od gry frakcyjnej. Tak dalece dążenie do władzy nowej koalicji każe przechodzić ponad interesem narodowym i społecznym.

Obraz ten może wydać się zbyt pesymistyczny. Wynika z niego bowiem, że po likwidacji skrzydła liberalnego w polskiej partii, bezruchowi Gomułki przeciwstawia się tylko zakonspirowany spisek totalitarnej biurokracji, żadnej władzy, pozbawionej skrupułów i do tego nie posiadającej żadnego programu. Nie zapominajmy jednak, że Polska nie jest w izolacji. Obóz komunistyczny stoi przed wstrząsami, przede wszystkim w samej Rosji. Brutalna okupacja Czechosłowacji nieuchronnie przyspieszy te procesy. Jeśli w Rosji nastąpi ostra — nie tylko pałacowa — próba sił, to w Warszawie następnego dnia może być zupełnie nowa sytuacja i inny układ sił. Trudno też przewidzieć jak zachowają się wtedy poszczególne elementy konspiracji partyjnej, która w tej chwili zabiega o odebranie władzy Gomułce i resztkom koalicji 8 Plenum. Punkt ciężkości dalszych przemian w całym obozie wschodnim leży w Rosji i tylko w Rosji.

Polacy opowiadają o tym wszystkim dziennikarzowi zachodniemu ze smutkiem. Ideologia partyjna jest im obca. Ale martwi ich całkowity kryzys władzy w ich kraju. Przeżywają zrozumiałe obawy, że wobec nadciągających wstrząsów i przemian w obozie komunistycznym Polska nie ma żadnych prawdziwych autorytetów politycznych, a ośrodek władzy znajduje się w stanie zupełnego rozkładu.

Pierre OLFENIUS

Sprawy i troski

Wywiad z min. Sneddenem

Pytanie: — Czy istnieją w Australii tzw. quota imigracyjne?

Odpowiedź: — Nie. Co roku rząd ustala program imigracyjny, wyrażający się liczbowo jednym procentem od aktualnej liczby mieszkańców, ale na tyle elastyczny, by mógł ulegać zmianom zależnie od zapotrzebowania rynku pracy, jak i liczby chętnych imigrantów.

Pytanie: — Czy i jakiej pomocy może oczekiwać uciekinier znajdujący się w Europie Zachodniej?

Odpowiedź: — Wszyscy uciekinierzy znajdujący się w Europie Zachodniej mają prawo starać się o imigrację na koszt Australii. Ewentualni imigranci muszą spełniać warunki stawiane przez rząd. W Niemczech Zachodnich, Belgii, Austrii, Grecji i Włoszech stworzone są specjalne warunki dla osób zamierzających imigrować do Australii. W tych krajach przeciętny wydatek na jedną osobę kształtuje się jak następuje:

Niemcy Zachodnie	— \$ 298
Belgia	— \$ 164
Austria	— \$ 283
Grecja	— \$ 292
Włochy	— \$ 326.

W każdym przypadku wymagana jest niewielka opłata ze strony imigranta, a jej wysokość jest zależna od indywidualnych warunków.

W pozostałych krajach Europy Zachodniej uchodźcy mogą uzyskać pomoc w imigracji na zasadzie specjalnego planu pomocy imigrantom, zgodnie z którym każda osoba w wieku ponad 18 lat może uzyskać przejazd do Australii wpłacając 25 A\$. Przejazd odbywa się środkami komunikacji dostarczonymi przez rząd australijski.

Natychmiast po przyjeździe do Australii imigrant otrzymuje

czasowe zakwaterowanie i pomoc w znalezieniu odpowiedniej pracy. Koszt przejazdu na miejsce pierwszego zamieszkania i pierwszej pracy w Australii jest pokrywany przez rząd australijski.

Pytanie: — Czy imigracja na koszt Australii dotyczy uchodźców z Europy Wschodniej?

Odpowiedź: — Tak, dla wszystkich, którzy zgłoszą się na imigrację i spełniają warunki stawiane przez władze imigracyjne.

Pytanie: — Okres czekania na wjazd do Australii jest dość długi, czy możliwe jest jego skrócenie?

Odpowiedź: — Okres oczekiwania jest zmienny zależnie od kraju. Zdajemy sobie sprawę, że okres czekania może być w pewnych wypadkach zbyt długi, toteż szukamy środków i sposobów, by ten okres skrócić do minimum.

Pytanie: — Jakie są warunki uzyskania obywatelstwa australijskiego?

Odpowiedź: — Po pierwsze osoba starająca się o obywatelstwo musi przemieszkać w Australii lub na Nowej Gwinei przez lat pięć, ale podanie o naturalizację może być złożone po czterech i pół latach.

Po drugie kandydat musi mieć ukończonych lat 21.

Po trzecie musi wykazać się moralnością obywatelską.

Po czwarte znane mu są obowiązki i przywileje wynikające z posiadania obywatelstwa australijskiego.

I wreszcie — ma rzeczywisty zamiar pozostania w Australii, lub, jeśli wyjedzie za granicę, uczyni to w służbie rządu australijskiego lub organizacji międzynarodowej, której Australia jest członkiem.

Od powyższych wymagań mogą być następujące wyjątki: żona, wdowa lub wdowiec po obywatelu australijskim, lub osobie, która była nim poprzednio, może uzyskać obywatelstwo bez warunku czasowego.

Osoby, które służyły lub służą w siłach zbrojnych Australii mogą uzyskać obywatelstwo po trzech miesiącach służby. Osoby które mieszkały w innych krajach Wspólnoty Brytyjskiej, lub pracowały w instytucjach rządowych mogą zaliczyć cztery lata zamieszkania lub służby do potrzebnych pięciu lat wymaganych do obywatelstwa. Przy czym ostatnie 12 miesięcy muszą być przemieszkane w Australii.

W wypadku małżeństwa występującego o obywatelstwo, wystarcza podanie jednej strony, przy czym druga osoba otrzymać może obywatelstwo bez limitu czasowego.

Dzieci poniżej lat 16 są automatycznie włączone do podania o obywatelstwo i otrzymują je razem z rodzicami. Dzieci w wieku od 16 do 21 lat muszą wystąpić o obywatelstwo we własnym imieniu. Jeśli proszą o obywatelstwo przed swymi rodzicami, wymagane jest przemieszkanie w Australii przez lat dwa i zgoda rodziców.

Pytanie: — Jakie istnieją w Australii możliwości dla absolwentów europejskich: a) uniwersytetów, b) dla inżynierów i techników, c) rolników.

Odpowiedź: — (a) Możliwości istnieją, ale w zawodach takich jak: medycyna, dentystyka, farmacja, pielęgniarstwo, nauczanie, weterynaria, inżynieria, architektura i prawo — procedura uznania kwalifikacji jest nader skomplikowana, i inna w każdym stanie Australii. W większości wypadków najprawdopodobniej konieczny byłby egzamin. Najłatwiej dostępne zawody dla Europejczyków, bez potrzeby rejestracji, wymienione są w punkcie (b).

(b) Inżynierowie i technicy mogą uzyskać uznanie swych kwalifikacji przez stowarzyszenie inżynierów, a w niektórych wypadkach przez zdanie odpowiedniego egzaminu. Niżej kwalifikowani technicy, określani jako robotnicy wykwalifikowani, mogą uzyskać uznanie swych kwalifikacji przez doradców technicznych przy australijskich placówkach imigracyjnych w Europie. Z zasady mogą oni wtedy otrzymać prawo wykonywania zawodu po wylądowaniu w Australii.

(c) Australia nie ma wielkich możliwości dla imigrantów rolników. Wraz ze stałym wzrostem mechanizacji, liczba pracowników rolnych spada. W Nowej Południowej Walii, w Queenslandzie i Zachodniej Australii powstają nowe tereny uprawy i hodowli, ale ziemia dzierżawiona lub sprzedawana może być tylko stałym mieszkańcom. W związku z dużą ilością podań, przy przyznawaniu ziemi bierze się pod uwagę umiejętności rolnicze i znajomość warunków lokalnych. Nie ma naturalnie żadnych przeszkód w nabyciu ziemi na wolnym rynku, ale w grę wchodzi tu czy imigrant może mieć odpowiednie fundusze na taki zakup. Niemniej liczni nowi imigranci zostali farmerami z upływem lat.

Pytanie: — Jakie dyplomy, stopnie naukowe i zawody uznawane są w Australii?

Odpowiedź: — Mówiąc najogólniej dyplomy i stopnie naukowe uznawane w Australii, muszą pochodzić z własnych uniwersytetów, uniwersytetów brytyjskich, lub krajów Wspólnoty Brytyjskiej. W Nowej Południowej Walii uznawane są niektóre specjalności medyczne i dentystyczne amerykańskie, dając prawo praktyki na równi z dyplomem australijskim. Jako zasada, europejskie kwalifikacje nie są uznawane automatycznie. We wszystkich stanach — podlega to jurysdykcji i przepisom stanowym — posiadacze dyplomów europejskich powinni zdać egzamin przed komisją stowarzyszenia zawodowego; w niektórych wypadkach egzamin może nie być konieczny. Na przykład Wiktoria może dopuścić do wykonywania zawodu osoby o reputacji międzynarodowej.

W Nowej Południowej Walii osoby z kwalifikacjami zagranicznymi mogą uzyskać prawo wykonywania zawodu na prowincji. W niektórych stanach (Wiktoria i Południowa Australia) istnieją komisje kwalifikacji zagranicznych, decydujące o uznaniu stopni.

Zawody techniczne uznawane są przez stowarzyszenie inżynier-

rów, co jest jednoznaczne z rejestracją czyli zezwoleniem na wykonywanie zawodu. Procedura jest jednakowa dla całej Australii. Wymienione stowarzyszenie z siedzibą w Sydney weryfikuje wszystkie zagraniczne kwalifikacje, a komisja składa się wyłącznie z ludzi, którzy swe kwalifikacje sami uzyskali zagranicą.

Liczne zawody mogą być wykonywane bez konieczności uzyskania rejestracji. Do nich należą: agronomia, biologia, chemia, kreślarstwo, leśnictwo, geologia, fizyka, miernictwo (poza katastralnym), technologia laboratoryjna. Trudności powstają dla Europejczyków, ponieważ pracodawcy nie znają się na kwalifikacjach europejskich. Niemniej sytuacja i na tym polu ulega stałej poprawie w miarę jak firmy i instytucje lepiej poznają wartości i znaczenie kwalifikacji europejskich.

Pytanie: — Czego mogą się imigranci spodziewać w przyszłości, pod względem zawodowym.

Odpowiedź: — Spodziewamy się poprawy sytuacji zarówno w zawodach wymagających rejestracji, jak i tych pozostałych. Ale rejestracja jest wewnętrzną sprawą poszczególnych stanów, a państwo sprawuje nadzór tylko na terenach podległych wyłącznie jego jurysdykcji. Prowadziliśmy rozmowy z rządami stanowymi i mamy plany reform w tym względzie. Niektóre zawody, stowarzyszenia i związki stwarzają trudności, domagając się wzajemności w uznawaniu zagranicznych kwalifikacji (dyplomy australijskie nie są uznawane w Europie), ale to nie posuwa sprawy naprzód. Nasze szkoły wyższe nie są w stanie zaspokoić zapotrzebowania w niektórych zawodach, toteż staramy się znaleźć specjalistów zagranicą. Tylko do nas należy pierwszy krok w ewentualnym wzajemnym uznawaniu kwalifikacji. Warto dodać, że Australia nie jest odosobniona w sprawie uznawania obcych dyplomów. Tylko bardzo nieliczne kraje gwarantują automatyczne uznanie stopni uzyskanych w innych krajach. Nawet w krajach Wspólnego Rynku nie istnieją weryfikacje automatyczne, choć w r. 1959 podpisano umowę o konieczności wzajemnego uznawania obcych kwalifikacji. Ale i w tym wypadku istnieje obowiązek egzaminu. Wysunęliśmy propozycję, by utworzone specjalne komisje ekspertów przestudiowały metody pracy wyższych szkół europejskich, co pomoże nam w przyszłości do uproszczenia procedury weryfikowania kwalifikacji europejskich.

Pytanie: — Czy Australia zawierała umowy imigracyjne z innymi krajami? Słyszałem o takim projekcie wobec Jugosławii.

Odpowiedź: — Nie mamy jeszcze umów ani z Jugosławią, ani z krajami pozaeuropejskimi. Umowy imigracyjne są możliwe tylko w wypadku, jeśli druga strona wyraża zgodę na wyjazd własnych obywateli dla osiedlenia się w innym kraju. Rozmowy, jakie przeprowadziliśmy w roku ubiegłym w Warszawie, wykazały, że rząd polski takiej umowy sobie nie życzy, toteż nie widzimy możliwości podpisania umowy imigracyjnej z Polską.

Oświadczenie złożone w parlamencie australijskim 28 sierpnia 1968 przez B. M. Sneddena, ministra do spraw imigracji:

„W zeszłym tygodniu parlament jednogłośnie uchwalił wniosek, wyrażający ból naszego kraju wobec wypadków w Czechosłowacji i współczucie narodom Czechosłowacji w ich ciężkiej próbie.

„Wczoraj poseł do parlamentu z okręgu Ryan, Nigel Drury, zadał mi pytanie czy mogę zapewnić Izbę że rząd australijski zrobi wszystko co w jego mocy by umożliwić uchodźcom z Czechosłowacji przyjazd do naszego kraju. W mojej odpowiedzi oświadczyłem, że w wypadku sytuacji uchodźczej powstałej na skutek okoliczności jakie spadły na Czechosłowację rząd australijski zareaguje tak jak w podobnych sytuacjach reagował w przeszłości. Jestem przekonany że to pytanie było odbiciem troski innych członków parlamentu i całego społeczeństwa, by Czechosłowacy którzy życzą sobie rozpocząć nowe życie w Australii mieli możliwość to uczynić.

„W obecnym stadium nie ma dowodów, że powstała większa sytuacja uchodźcza. Otrzymałem jednak właśnie szereg raportów z naszych zamorskich przedstawicielstw, że duża ilość Czechosłowaków znajduje się chwilowo w krajach poza granicami własnej ojczyzny, i że są wśród nich ludzie zainteresowani w osiedleniu się na ziemi australijskiej.

„Przez wiele lat udzielaliśmy pomocy w przyjeździe do Australii uchodźcom z krajów wschodniej Europy, w tej liczbie z Czechosłowacji.

„Zgodnie z tą polityką wydałem polecenie naszym zamorskim przedstawicielstwom imigracyjnym, by zaoferowały wszelką pomoc Czechosłowakom pragnącym osiedlić się w Australii.

Antypody (I)

Nie jestem mocny w ojcach Kościoła, ale to zdaje się święty Augustyn oświadczył, że każdy kto wierzy w istnienie antypodów będzie potępiony. Tymczasem z Orly startuje się normalnie (tylko z godzinnym opóźnieniem), ląduje chwilę potem w Rzymie, potem czeka na samolot Qantas, potem patrzy w Kairze czy mnie Ruskie albo El Fatah nie zdejmą za izraelskie reportaże. I zaczyna się podróż przez parę kontynentów i kilka mórz. Świt zastaje nas jedenaście tysięcy metrów nad Arabią Saudyjską. Za Pakistanem południe witamy w Kalkucie, a północ w Singapurze. Następny świt to już Australia; czerwone niebo i czerwona prześwitująca przez chmury ziemia wnętrza Australii. Całą noc wrzały pod nami tropikalne burze Indonezji. Przelatywaliśmy nad niewidocznym tysiącem wysp — teraz gorący ranek, palmy, eukaliptusy, dziwne domy, niczym nie przypominające Europy, z zawieszonymi podcieniami, potem coraz ruchliwsze ulice *city*.

Spędziłem w tym kraju, czy też na tym kontynencie, kilka miesięcy — przejechałem dookoła i z góry na dół, poznałem najdziwniejsze miejsca, których jeszcze nie ma na zeszlórocznych mapach. Nocowałem w trzydziestu dwóch hotelach i motelach,

leciałem trzema liniami wewnątrzno-australijskimi: TAA, Ansett-ANA i MMA plus raz maleńką Cessną, pływałem promami, motorówkami, nawet holownikiem. Poznałem, jednym słowem, ten wielki kraj jak mało kto z jego mieszkańców. I za to chciałem w tym miejscu podziękować australijskiemu Ministerstwu Imigracji, ministrowi Sneddenowi, i sekretarzowi ministerstwa panu Heydonowi za pomoc, opiekę i wielką sympatię dla Polski, Polaków — za umożliwienie mi tej podróży.

W szkole sprzeczano się na lekcjach geografii — nie było to jakoś wcale jasne, czy Australia jest wyspą czy kontynentem. Dziś mam już własne zdanie. Z Sydney do Perth jest tak daleko jak z Lisbony do Moskwy, z Darwinu do Adelaidy jak z Trondhjem do Neapolu. Niektóre zaznaczone na mapach miejscowości w Północnym Terytorium są niewiele większe w rzeczywistości niż na mapie, a jedna od drugiej jest oddalona nieraz o setkę albo i więcej kilometrów.

Nie tylko wielki to kraj ale i tak inny od wszystkiego, co dotąd widziałem. Nie tylko przyroda pełna dziwnych form *ghost-gums*, eukaliptusów, drzewiastych paproci, zdrzewiałej trawy, jedynych poza Afryką endemicznych baobabów, jest inna. Inni są ludzie, inne ich życie, zwłaszcza w zapomnianych, zatopionych w bushu lub dżungli osiedlach.

Włos musiał się chyba pierwszym australijskim podróżnikiem zjeżyć na głowie na widok tego co zobaczyli. Czerwono-czarne pustki zachodniego i północnego wybrzeża jak krajobraz księżycowy. Rozpalony spokój ogromnych pustyni wnętrza. Dżungle i sawanny pokrywające północo-wschód i wschód. A wśród tego kicające wszystko co żyje, zwierzęta futrzaste, miękkie, łagodne — bo największym drapieżnikiem tego czerwono-żółto-zielonego kontynentu jest dziki pies dingo. Kontynent, którego początki nie są najbardziej pewne, pełen tajemnic, rezerwat przygody, gdzie o godzinę podróży od brytyjsko wyglądającego tasmańskiego miasta zaczynają się tereny nietknięte jeszcze stopą ludzką. Zamieszkiwał i zamieszkuje tu lud na Ziemi chyba najstarszy, przemieszany w trzech głównych wędrowkach, afrykańsko-malajsko-poli-nezyjski, o odrębnej sztuce, nie znający umiejętności budowy domów, nie znający żelaza, żywiący się miejscową zwierzyną na surowo albo ledwie przypieczoną na ogniu ze skórą i wnętrznościami. Ten kraj został przeznaczony przez Wielką Brytanię na kolonię karną. Statkami i okrętami wojennymi przyprawiali skażący na Tasmanię, do Melbourne, zawijali do Botany Bay i Jackson Portu, budowali do dziś stojące tu i ówdzie budynki rządowe, uciekali w pustki północy, pędzili do Ballarat ogarnięci gorączką złota, wreszcie osiedlali się, zaczęli tworzyć społeczeństwo razem z kolonistami, włóczykijami i obibokami z całego

świata. Spośród pierwszych ministrów Południowej Australii, Wiktorii i Nowej Południowej Walii, kilku przyплыnęło na statkach-więzieniach, inni rodzili się gdzieś między Przylądkiem Dobrej Nadziei a brzegami ich nowego więzienia.

Rozpoczęła się era kolonizacji. Z Manchesteru, Glasgow, Cork, czy Pwllhelli przyjeżdżali ludzie zwabieni bogatym krajem i osiedlali się w miejscach o nazwach dziwnych jak Wagga-Wagga, Woolloomoolloo, Cabramatta, Kurrumba, Eucumbene, Calgoorlie, nad rzekami Murrumbidgee, nad potokami Zdechłego Konia, Ludzkich Zwłok, Króla Williama, Siódmej Mili, jedli rybę barramundi, kangury, wallaby. Powstał nowy gatunek ludzki, twardy, pionierski, ceniący swoje słowo, prostoliniyny. Z Pierwszej Wojny Światowej z frontów Europy nie wróciło 2/3 australijskich żołnierzy; w „niecywilizowanych” okolicach Australii do dziś zawiera się umowę o sprzedaż na słowo, nim nabierze ona kiedyś formy prawnej; religię, imigrację, wyścigi konne i rugby traktuje się poważnie i celebruje z odpowiednim szacunkiem; nawet w okresie kryzysu czesko-sowieckiego *stop-press* przynosił wiadomości najważniejsze: który koń wygrał który wyścig, i bieżący stan punktowy meczu cricketa między Australią a Anglią.

Przeciętny Australijczyk chodzi powoli, oczy ma zmrużone od nadmiaru słońca, które zadbało także o piegi; kobiety noszą dzieci okrakiem na biodrze jak koale na drzewie; w tropikalnych upałach północy wszyscy poruszają się jak w zwolnionym filmie — panuje zasada *take it easy* — na listy nie odpowiada się tygodniami, czasem wcale, łapie się ryby, jeździ na nartach wodnych, na desce, zmiata przed rekinami, pracuje tyle ile trzeba — nikt tam nie zabija się pracą dla zdobycia jeszcze stu dolarów. Spokój, cisza — po Europie niezwykła, na początku męcząca, potem wchłaniająca swym zwolnionym rytmem.

Z dalekich bezdroży Półwyspu York kowboje pędzą dziesiątki tysięcy bydła w doliny północnego Queenslandu. To pewnie jedyne miejsce na świecie, gdzie krowy i byki podkuwa się na resztę wędrownki, na targowiska Charters Towers. Na rozpalonym zakurczonym majdanie koło zagród gdzie odbędzie się licytacja, zbierają się hodowcy — rzadka okazja spotkania sąsiadów mieszkających o sto czy dwieście mil, pokazania kreacji z Europy, do której jeździ się przecież wcale często. Wysłuchuje się spokojnie przemówień: ministra rolnictwa stanowego, potem jeszcze paru — słońce przeszkadza tylko małemu pieskowi corgie, który co chwila przenosi się w cień namiotu z piwem. Po pomostach od jednej zagrody do drugiej przechodzą farmerzy, kupcy — krowy zmieniają właścicieli, pojadą na ogromnych pociągach drogowych do rzeźni, fabryk konserw.

Charters Towers to miasto złota. Dziś z Sydney leci się naj-

pierw sześćset mil do Brisbane, potem następne tysiąc do Townsville, a stąd już tylko niecałe pięćdziesiąt samochodem. Ale jak podróżowano tam przed pół wiekiem? Dziś jadąc samochodem potrzeba na taką podróż parę tygodni.

Dla mnie Queensland był zawsze pomarańczowy, za jednego pensa z Królową Wiktorią. A jaki był dla Sergiusza spod Nowogródka? Pewnie żaden, bo kto w Nowogródku wiedział o Queenslandzie? No, i jak się tam jedzie? Dla Sergiusza droga była prosta: przez sowieckie łągry, przez Persję, Irak, Palestynę, Włochy, Widmo, Anglię — do własnej farmy — 1600 drzew cytrusowych, o osiemnaście mil od Charters Towers, o osiemnaście tysięcy kilometrów od Nowogródka. Sergiusz i po polsku i po angielsku zaciąga z białoruska, nosi *blue jeans'y* i szeroki kapelusz, jeździ *pick-up'em*. I jest naprawdę, niekłamane szczęśliwy. Przyjechał w *battle-dress'ie* ze smreczkiem na rękawie, z angielską żoną, z pięćdziesięcioma funtami. To co ma dziś to wynik jego własnej pracy, pomocy australijskich sąsiadów i uporu, że tu za siedmioma morzami dorobi się, będzie dziedzicem na własnych pomarańczach i grapefruitach. Mówili w Nowogródku: „gdzie pieprz rośnie”. Ano rośnie. Rośnie olej rycynowy na krzaku a nie w aptece; trzcina cukrowa u sąsiada, papaje koło stodoły, ananasy — zamiast malwy — orchidee, zamiast kapusty — *pointsettie*, zamiast bzu — *frangipani*. Inny świat — osiemnaście tysięcy kilometrów od Nowogródka — ale świat dobry dla Sergiusza. I Sergiusz jest szczęśliwy. Gdy zaczyna mówić po polsku, ostrożnie i uważnie, wracają czasy szkolne — wystukują raptem słowa rosyjskie zamiast polskich, tak jak zima zapamiętana z lat najmłodszych — taka ciężka, panie. Zjawia się nagle tu w tropikalnym lecie zjawia nowogródzkiej zimy, śnieg kopny, dzwonki sanek, las czarny od spodu, biały górą i cisza taka jak tu, wpół drogi między Zwrotnikiem Koziorożca a Równikiem. Tu zima to słońce trochę niżej niż w deszczowym lecie, pogodne dni wśród własnych drzew. Jaki dziedzic w Nowogródzkim miał pomarańcze? czy widział kiedy grapefruity. Dla Sergiusza Nowogródek leży na innej planecie, w innym wymiarze, trochę tak jak dawno zasłyszane, na wpół zapomniane opowiadanie. I Queensland jest dla niego pomarańczowy.

Setki mil ku zachodowi, za milionową kazuariną, za milionowym eukaliptusem, za rzekami, w których trafia się krokodyl — na pół drogi znikąd do nigdzie leży Mount Isa. Po kiepsko brukowanych ulicach grzmi popołudniowy ruch samochodowy. Tu wszędzie na północy samochód jest artykułem pierwszej potrzeby, toteż nieraz w dwutysięcznym miasteczku jest tysiąc aut. Samochodem jeździ się do pracy, na zakupy, z dziećmi do szkoły, na

wycieczki w bush, na wakacje nad Carpentarię, zatokę wielką jak cała Polska. W piwiarniach popołudniowa zmiana żłopie szkunery jasnego, wieczorem w motelu widownia w shortach i białych skarpetach do kolan słucha zespołu big beat z Fidżi; w sklepach pamiętki — wszystko z miedzi. Bo Mount Isa to miedź, miedź leżąca — jak wszystko w Australii — na samym wierzchu, tylko ziemię odgarnąć. Ta miedź zwabiła tu do miasta na pustyni siedemnaście tysięcy ludzi. Ta miedź karmi, pozwala mieszkać w klimatyzowanych domach, oszczędzać pieniądze na lata starsze. Na każdym kroku widać tu pieniądze zarabiane w kopalni, w hucie, w biurach: japońskie magnetofony, niemieckie radia, duńskie, szwedzkie i fińskie szkło, porcelana, kryształ, teakowe meble, nawet futra na wypadek, gdyby ktoś wybierał się do zimnej Europy. Za miastem klub golfowy, za nim sztuczne jezioro dla australijskich wodołazów — prezent właścicieli kopalni dla pracowników. Pracownicy jedzą w stołówce fabrycznej, jest środa i jadłospis przewiduje na dziś: zimny bufet, dwie zupy do wyboru, i danie główne w trzech wariantach: kotlety baranie, stek albo curry z krewetek, kompot, pudding, kawa, herbata — wszystko razem za mniej niż półgodzinny zarobek. W zimnym bufecie są wędliny, ryby, surowe jarzyny, sałata, które trzeba samolotem przywieźć kilkaset mil z wybrzeża — o to też dbają właściciele, którzy wcale nie są przecież instytucją charytatywną, ale krwawymi kapitalistami, o których tyle się naczytaliśmy w Polsce.

Dziwnie się w tej Australii układa. Koło Charters Towers mieszka człowiek z zimnego Nowogródka, a w Mount Isa największą grupą narodowościową są Finnowie. W golfowym klubie przysiadł do nas wysoki Niemiec. Wyjechał z Essen zaraz po wojnie, miał, jak mówi, dosyć i Niemiec, i Hitlera, i politycznej huśtawki i bliskości Sowietów. Znalazł się w Mount Isa. Trudno było przywyknąć do pustki, do oddalenia od świata, ale kiedy przed kilku laty pojechał do Niemiec i stwierdził, że nie jest już Niemcem, lecz Australijczykiem niemieckiego pochodzenia — to z powrotem w Australii, osiadł znów w Mount Isa.

Przyjeżdżali tu ludzie dorobić się przy miedzi — popracować przez rok, dwa i przenieść się tam gdzie Europą pachnie: do Sydney, Adelaidy, Melbourne. Przyjeżdżali, byli rok, dwa i zostawali na stałe. Bakcyl tropików.

W sierpniu 1944 Jerzy z granatem w spoconej łapie biegł razem z innymi przez plac Napoleona, na Poczcie Główną. Potem, jak to zwykle bywało, obóz w Niemczech, wyjazd do Australii. Przyjechał do Mount Isa na dwa lata — siedzi tu już dwanaście i nic nie zapowiada odmiany. Ma dobrą, odpowiedzialną pracę, dobrze zarabia, dobrze mieszka, czyta polską prasę australijską,

posługuje się polszczyzną żywą i wcale nie zaśniedziałą. Takim językiem rozmawia z żoną-Polską, z dwoma synkami urodzonymi tu w Mount Isa. Na ulicy trudno z nim iść, co drugi zaczepia go przyjaznym „jak się masz George”. Nie można w małym miedziowym miasteczku nie znać kierownika szkolenia zawodowego wielkich zakładów. I Jerzy jest szczęśliwy. Jeszcze jeden polski Australijczyk, któremu się powiedło, udało — też własną upartą pracą.

Różnie ludzie tutaj zaczynali swój życiowy start w nowym kraju na antypodach. Przyjechała do nieznanego narzeczonego, nie podobał się, ale została, nie z nim, sama. Zamiatała korytarze w biurach, myła okna, i uczyła się na kursach fabrycznych. Niewiele czasu minęło, kiedy została laborantką ze specjalnością — mineralogia. Trochę niby zapomniała o rodzinnym Krakowie, chciała tam nawet wrócić, ale stare mury błędną z tej odległości i Mount Isa będzie miała pewnie jeszcze jedną stałą mieszkanke.

Gdziekolwiek ruszyłem się w Australii, potykałem się o Polaków, o przedziwne ludzkie dzieje, historie ułożone z obozów niemieckich, sowieckich, z ucieczek przez zielone granice, przejść wojennych i bitew od Narwiku do Tobruku. Można by napisać polski baedeker po Australii i zacząć go na przykład tak: jadąc z Darwinu szosą Stuarta czyli tak zwanym popularnie „szlakiem”, napotykamy po mniej więcej osiemdziesięciu milach miejscowość Adelaide River; przy wjeździe do osady dobra restauracja, sklep spożywczy, pamiątkarski, stacja benzynowa i małe muzeum ze skórami krokodyli, jaszczurek, wyrobami ludowymi czarnych Australijczyków — właściciel łodzianin.

W dalekim Port Hedland Janusz z Warszawy zmonopolizował pranie pościeli okrętowej i kombinezonów z dwóch wielkich kopalni oraz portu. Do późnej nocy rozmawialiśmy o Warszawie, którą opuścił w 1939 roku. Padały nazwy ulic, placów nieistniejącego miasta przeszłości, padły nazwiska ludzi — przyjaciół, krewnych, a między innymi jego ciotecznego brata, a mego przyjaciela, znanego reżysera. Świat stał się nagle mały.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, w każdym razie gdzieś w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. W Wilnie wykryto spisek anarchistyczny na życie cara. Carowi może i niewiele groziło, ale chłopcy zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu. Potem były długie przesłuchania, zimne cele, i małe widoki na radosną przyszłość, toteż nic dziwnego, że dwóch więźniów nie tylko postanowiło uciec, ale zrobiło to tak gruntownie, że nie oparli się aż w Anglii.

W piwiarni w Mount Tom Price, gdzie żelazo koparkami się zgarnia z grzbietu górskiego złożonego z 60 % rudy, siedzi koło mnie wnuk wileńskiego uciekiniera. Nazywa się facet Bielski, po

polsku ani słowa, poza mało znaczącymi obscenami, ale pamięta bestia i dziadka i całą rodzinną historię. Sam urodził się już w Australii, właśnie tu w tropikach — nie w Tom Price, bo ta miejscowość liczy sobie dopiero rok istnienia. Dumny jest strasznie, że jego dziadek miał zamiar bombę na cara rzucić. Opowiada o tym wszystkim aż do zamknięcia lokalu, jedynego tego typu w całym 1800 mieszkańców liczącym miasteczku. Całe dnie kiwa się tu nad piwem, które szynkuje się pod tym samym dachem co i jego biuro, i żyje chwałą swej polskiej rodziny z dalekiej wileńszczyzny, oraz administrowaniem kwaterami robotniczymi.

Badanie historii, języka, sztuki i muzyki autochtonicznych Australijczyków staje się zajęciem coraz bardziej popularnym. Nic więc dziwnego, że przed kilku laty młody językoznawca z Canberra przyjechał do Brisbane, by przeprowadzić badania nad narzeczem australijskim południowego Queenslandu. Naukowa dusza młodego badacza zatrzepotała się, gdy wpadł na ślad słów nieznanych innym szczepom. Po kilku miesiącach był już w stanie ogłosić wyniki swoich badań, które jednak nigdy nie znalazły się na papierze. Słowa okazały się polskie, a przeniesienie ich do narzecza było łatwe do wyjaśnienia. W tych okolicach znajdował się w końcu lat czterdziestych obóz imigracyjny polski, no i dzieci polskie i czarne... resztę znamy. Tę historię opowiedziano mi w stołecznym instytucie badania kultury australijskiej, czyli, że nie pochodzi ona ze źródeł szowinistycznych.

W zielonej dolinie, wśród gajów pomarańczowych, ryżowych pól, wytwórní win, czyli w Griffith, otoczony stadem papug, pod rękę z ukochaną astronomią i angielską żoną, żyje poeta. Poeta-legenda, który w Warszawskim Powstaniu tłumaczył Londynowi, że potrzeba amunicji, a nie chorałów ludziom, którzy zęby mają wilcze i czapki na bakier. Cicho i spokojnie — może za cicho — żyje pan Zbigniew Jasiński w pomarańczowo-winnej dolinie. Nie pamiętam o czym mówiliśmy do trzeciej rano w moim motelu — może o Warszawie, może o starych dziejach okupacji, Powstaniu. Myślałem, za to na pewno że trzeba było aż do Australii przyjechać, by spotkać wielkiego powstańczego poetę. Co za świat!

Był gorący letni dzień 1944 roku. Wracalem ze śródmieścia. Na Rondzie Waszyngtona zatrzymał mnie Sęp, czekał na mnie. W nocy aresztowano Rafała. Był na Pawiaku, potem wywieziono go do KZ. Wiedziałem, że był na Zachodzie, że wyjechał do Australii. Drugiego wieczoru po przylocie do Sydney, zajrzałem w hotelu do książki telefonicznej. Był w niej Rafał.

Góra Kościuszki, czyli Mount Kosciusko, Park Narodowy

Kościuszki, Dolina Kościuszki, schronisko Kościuszki, i nawet tacy Australijczycy, którzy twierdzą, że Kosciuszko to nazwa tubylcza. Na szczycie tablica brązowa wmurowana w wielki głaz wyjaśnia skąd się nazwa wzięła, wspomina Strzeleckiego (znanego w tutejszej wymowie jako Strezleki), który pierwszy na tę górę się wdrapał, opisał całe Góry Śnieżne czyli Snowy Mountains, i uważając, że szczyt kropka w kropkę podobny do Kopca Kościuszki w Krakowie, nazwał toto Górą Kościuszki. Dziś Góra Kościuszki stała się punktem centralnym całego kolosalnego systemu hydro-elektrycznego, przy którym błędą co większe budowlę socjalizmu — ładne i zgrabne połączenie inżyniera Kościuszki z unowocześnianiem się Australii. I co ważne — urzędnik Snowy Mountains Authorities obwożący mnie po budowie (trwa ta wycieczka trzy dni) znał na pamięć dzieje Kościuszki, wiedział o jego technicznym zawodzie, i nawet pamiętał, że na drugie imię było Kościuszcze — Bonawentura.

W Snowy tak jak w całej Australii, gdzie się coś nowego buduje i gdzie w związku z tym jest więcej pieniędzy niż gdzie indziej — mieszanek narodowościowa. W wielkiej kantynie robotniczej w Khancoban, partyzant z Gór Świętokrzyskich dyryguje zespołem żeńskim złożonym z Niemki, Austriaczki i dwóch Jugosłowianek.

W Dampier na zachodnim wybrzeżu, gdzie ludność składa się w przeważającej liczbie z Irlandczyków — obchodzi się święta narodowe i nosi zieloną koniczynę. W Geelong jest doroczny konkurs orkiestr szkockich. W Darwinie osiadły dwie wyspy greckie z Morza Egejskiego zachowując swoją domową niezależność. Wytwórnia win w Dolinie Barossa w Południowej Australii nazywa się wprawdzie Kaiser Stuhl, ale jest spółdzielnią farmerów kierowaną przez Jugosławianina. Raz tylko, jeden raz trafiłem na samotnego Bułgara, który jak tradycja narodowa nakazuje dowodzi razem ze swą łotewską żoną, że koło Darwinu mogą rosnąć pomidory.

Dwa miliony nowych Australijczyków osiedlili się i integrują na nowym kontynencie, a władze australijskie dokładają wszelkich wysiłków, by liczbę tę powiększyć. Australia jest gotowa przyjąć co roku do 140 tysięcy imigrantów, nie tylko nie stawiając wielkich wymagań, ale i nawet w wielu wypadkach płacąc za podróż, dając od razu pracę, tymczasowe mieszkanie, nawet bezpłatny transport do pierwszego miejsca pracy.

Przyszłość Australii może być zabezpieczona tylko przez intensywną imigrację. Ten kontynent równy powierzchnią Europie liczy zaledwie dwanaście milionów mieszkańców bardzo nierówno rozmieszczonych, z których pięć milionów przypada tylko na

Sydney i Melbourne, a zaledwie sześćdziesiąt tysięcy na Terytorium Północne.

Nowe, nieustanne odkrycia kopalin przesuwają powoli — bardzo powoli — zaludnienie do odległych miejscowości Zachodniej Australii i północnego Queenslandu. Kiedyś pasterski kraj owiec i krów — staje się powoli krajem górniczo-przemysłowym, i pewnie niewiele już zostało pierwiastków z tablicy Mendelejewa, których nie znaleziono by w Australii. Co pewien czas odkrywa się siarkę, albo nikiel, żelazo, ołów, bauksyty — wtedy tysiące ludzi sprzedaje domy, samochody, kupuje akcje, giełda szaleje, papiery skaczą po kilkadziesiąt punktów, wtedy odkupuje się dom, samochód i jeszcze jest się właścicielem paczki akcji.

Nowoprzybyli imigranci nie zawsze łatwo odnajdują swoje miejsce w nowym społeczeństwie. Błąd chyba polega na tym, że nikt właściwie nie stara się mierzyć Stanów Zjednoczonych miarą europejską. A jeszcze mniej można przykładać tę miarę do Australii, która przez cały czas swego istnienia żyła w odosobnieniu, wpatrzona w Londyn. Wicepremier Tasmanii powiedział mi: „kiedy byłem dzieckiem i niepokój groził naszemu światu, matka mawiała — nic się nie bój moje dziecko, Royal Navy nas obroni — i gdzież te czasy”.

Australia nie jest od dawna kolonią karną, i coraz w mniejszym stopniu jest brytyjskim dominium, choć w kinach przed seansem i przed meczem bokserskim gra się kilka taktów brytyjskiego hymnu — ale w Australijczykach pozostało wiele podświadomego może, kompleksu kolonialnego. Zbyt wiele pozostało tu jeszcze oglądania się na nienadchodzącą pomoc Wielkiej Brytanii. Dziś zresztą właśnie w Londynie przed ośrodkami imigracyjnymi stoją ogonki chętnych.

Coraz rzadziej zamożni Australijczycy wysyłają swoje dzieci do prywatnych szkół i uniwersytetów brytyjskich, mając na miejscu coraz lepsze własne szkoły i uczelnie. Razem ze zmianą — może zbyt powolną — w traktowaniu dyplomów europejskich uczelni, Australia może w niedługim czasie wziąć udział w monopolizowanym dotąd przez Amerykę *brain-drain* z Europy, co na pewno pomoże w podniesieniu poziomu przynajmniej niektórych nauk i pozwoli z czasem wyzwolić się Australii od niewolnictwa technologicznego u Anglików i Amerykanów. Szybki rozwój kraju, przechodzenie na gospodarkę mieszaną przemysłowo-rolniczą stwarza wiele problemów znanych nam skąd inąd. Australia jest krajem w ruchu, w ciągłych przemianach współpracując coraz bardziej z krajami Azji, przede wszystkim Japonią, Tajwanem i Indonezją. A mimo to trudno znaleźć na australijskich uniwersytetach fakultety czy instytuty zajmujące się badaniami czy studiami najbliższych geograficznie i gospodarczo krajów. I jeśli tutaj mówię

się „kontynent” to zawsze ma się na myśli Europę, a nie najbliższego azjatyckiego sąsiada.

Farmerzy i hodowcy australijscy żyją mniej więcej tak jak polscy magnaci z Wielkiego Księstwa Litewskiego — nie przejmując się intensyfikacją gospodarki, bo nawet część ich dochodów wystarcza na wszystkie luksusy nowoczesnego życia. Toteż rozpoczęło się w Australii „rozkułaczanie”, to znaczy ograniczono wielkość latyfundiów do nędznego miliona akrów. Czyli może nareszcie hodowca będzie z większym przybliżeniem wiedział ile ma sztuk bydła chodzącego swobodnie po całej posiadłości, na której ogrodzenie nie starczyłoby pieniędzy Rockefellerowi.

Nowi Australijczycy pamiatając swój zazwyczaj ciężki start — chcą oszczędzić tego swym dzieciom, toteż na przykład na jednym z wydziałów uniwersytetu w Canberra na osiemnastu przyszłych magistrów jest dwunastu z drugiego pokolenia imigracyjnego, a na dziesięciu doktorantów — ośmiu. To oznacza poważniejsze zmiany dla Australii w ciągu jednego pokolenia, bo imigranci integrują się ale nigdy w takim stopniu, żeby nie wnieśli czegoś nowego i świeżego do australijskiej *way of life*.

Imigranci przynoszą także jeszcze jedną nowość: rozpęd, chęć zrobienia jak najszybciej jeśli nie majątku to czegoś bardzo podobnego. W kraju, gdzie w nadbrzeżnych mangrowach roi się od olbrzymich krabów, a w restauracji w motelu podaje się puszkowe kraby japońskie; w kraju gdzie do Darwinu sprowadza się pieczarki z Taiwanu — bo taniej, niż z Sydney, ale nie myśli się o hodowaniu ich na miejscu; w kraju, gdzie nie ma prawie wcale nowoczesnego rybołówstwa, choć otoczony jest najbardziej rybnymi morzami i oceanami — w takim kraju jest miejsce na ludzką inicjatywę i każdy kto przyjedzie tu i nie będzie trzymał się kurczowo gęsto zaludnionego południa — może szybko dorobić się tego po co przyjechał, to jest majątku.

Podróżując po Australii odczuwa się nieustannie bliskość epoki odkryć geograficznych. To przecież tak niedawno był Cook, Bourke, Stuart, Strzelecki — a dziś im dalej od Sydney i Melbourne, tym częściej pojawiają się na ulicach małych miasteczek sklepy siodlarzy z końskimi jukami na wystawach. Australia północna, Australia kraju nigdy-nigdy jest nadal krajem mężczyzn, pionierskim, twardym.

Jak tu przeszłość jest bardzo bliska. Siwa starsza pani, krucha, koronkowa, opowiadała mi z błyskiem w oczach jak za czasów swej młodości ujeżdżała dzikie konie na ojcowskiej fermie — i chciała koniecznie wiedzieć, czy ja też mam w tym względzie jakieś doświadczenia. Farmer spod Ballarat opowiadał mi jak jego ojciec jechał wołowym zaprzęgiem cztery miesiące z Sydney, przez bezdroża bushu.

Recepcjonistka motelu w Dampier nad Oceanem Indyjskim odbyła podróż poślubną w przyczepie campingowej w drodze na nowe miejsce pracy męża. W ciągu dwóch tygodni przejechali odległość taką jak z Paryża do Madrytu mijając po drodze nie więcej niż trzy lub cztery osiedla ludzkie. Szkoła radiowa w Derby (które dopiero od ośmiu lat ma telefon) nadaje przez krótkofalówkę lekcje do dzieci na fermach hodowlanych rozrzuconych na przestrzeni Francji. Żona sędziego z Darwinu nie mogła dolecieć na czas na obiad do miejscowego znakomitego pisarza, bo jej prywatnego samolotu nie wypuściła kontrola meteorologiczna w Katherine. Widziałem entuzjazm tłumów na ulicach Mount Isa na widok kilku cystern z piwem, które dotarły po parutygodniowej podróży z Brisbane przez rozmyte powodziemi drogi. Tu może trzeba wyjaśnić, że dla Australijczyka nie może być większej katastrofy jak brak piwa w pub'ie, instytucji na tyle narodowej, że tu i ówdzie wielkość miasteczka określa się: jednopath'owe, trzypath'owe itd.

W okresie rewolucji 1905 roku zaszyły na Syberii w kopalniach złota wypadki opisane w książce Szyszkowa „Rzeka Posępna” — świadek masakry robotników przez wojsko, inżynier, uciekł wtedy przez Chiny z fotografiami, które obieły cały świat. Jego syn, rodowity Australijczyk o niebrytyjskim nazwisku Własow, zajmuje się w Cairns hodowaniem krokodyli, organizowaniem safari dla żądnych wrażeń, i prowadzeniem własnego akwarium na Green Island. Jeszcze jeden zawód, o który niewielu Europejczyków posądziłoby Australię.

Mówi się, że Ameryka przeskoczyła kilka okresów historycznych, a ile okresów przeskoczyła i jeszcze przeskoczy Australia? Ale o tym innym razem.

G. J. FLEMMING

Po śmierci Małaniuka

W połowie lutego br. w Stanach Zjednoczonych zmarł poeta ukraiński, Jewhen Małaniuk. W kwietniowym numerze *Kultury* ukazało się krótkie wspomnienie Pawła Hostowca, który dobrze znał zmarłego pisarza w okresie międzywojnia. Ale pamięć Małaniuka zasługuje z polskiej strony na znacznie więcej i to nie tylko z racji jego pozycji we współczesnej literaturze ukraińskiej.

Poznałem go w Warszawie gdzieś na początku roku 1936. Zbliżyłem się ówczesnie do warszawskiego ośrodka wschodnio-znawczego, a zarazem do klubu „Prometeusz”, co zresztą mniej więcej pokrywało się ze sobą. Wtedy też przeczytałem książki Małaniuka, z których uprzednio znałem tylko poszczególne wiersze. Wkrótce niektóre z nich przełożyłem dla tygodnika „Biuletyn polsko-ukraiński”. Spotykałem się z Małaniukiem dość często w redakcji „Biuletynu”, rzadziej na terenie towarzyskim.

Zwolennicy tytułomani zwracali się do niego per „panie inżynierze”, gdyż był absolwentem Akademii w Podiebradach, chociaż — o ile wiem — nigdy w swoim zawodzie nie pracował. Zamieszkał na stałe w Warszawie, publikował sporo w „Wistnyku” Dmitra Doncowa, a z polskich czasopism w dwutygodniku „Myśl Polska”. Parę większych prac ukazało się w kwartalniku „Wschód”, między nimi rewelacyjny dla wielu czytelników szkic o „Hoholu — Gogolu”.

Miał wtedy około czterdziestki, życiowo był ustabilizowany, a jeżeli kiedy klepał emigracyjną biedę, to w owym okresie należała ona już do przeszłości. Wyrobił sobie pewne stosunki w stołecznym środowisku literackim, utrzymywał kontakty z kilkoma wybitnymi poetami — Tuwimem, Wierzyńskim. Powszechnie go uważano za pierwszego ukraińskiego poetę na Zachodzie.

Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, o oszczędnych ruchach

i spokojnym, rzadko kiedy podnoszącym się głose, trzymał się raczej z pewną rezerwą, bez nadmiernej wylewności, właściwej wielu jego rodakom. Nie była to jednak rezerwa krępująca rozmówcę, ani utrudniająca obcowanie. Gdy dochodziło do dyskusji, twardo bronił swojej postawy, ale bez zacierzawienia i doktrynerskich uproszczeń. Zdecydowany antykomunista, jednocześnie nie ukrywał swej rusofobii, choć wpływy literackiej kultury rosyjskiej były w jego formacji i twórczości oczywiste. Przewyciężenie ich szło w parze z dojrzewaniem artystycznym i upewnianiem się w racjach narodowych.

Miał liczne urazy w stosunku do Zachodu i jego aktualnej cywilizacji, a zwłaszcza do Francji. W najbliższym gronie mówiono mu, że przesadza w swoich pesymistycznych opiniach. Istotnie przesadzał — niekiedy bardzo mocno — w poszczególnych sformułowaniach i zarzutach. Przyszłość udowodniła, że ogólny kierunek jego ocen był trafny.

Lubił trochę pozować na nieszczęśliwego wygnańca z ziemi rodzinnej, bolesnego tułacza, z lekka zerkając ku romantycznym poetom, i wtedy dźwięcznie, ale bez przyciskania pedałów, mówił o „wędrownych namiotach”. Ktoś dobrodusznie, choć nie bez ironii, zwrócił mu uwagę, że coś to za namiot, skoro „wędrowny” dom zbudowany jest z solidnej cegły; Małaniuk nie obraził się, a tylko okrągłym gestem dał do zrozumienia, że to nie to samo.

Ciekawe: wśród osób, które nigdy nie zasiadły przy jego stole, Małaniuka uważano za skrajnego skąpca. Prawda — nie lubił płacić za nikogo w kawiarni, tym bardziej w restauracji. W najlepszym razie płacił swoją część, a i to nie zawsze. Za to we własnym domu — zastaw się, a postaw się! Czego tam tylko pani Małaniukowa nie wyciągała ze spiżarki, o napojach nie mówiąc! Ale na udział w tych lukullusowych rozkoszach trzeba było zasłużyć.



O Małaniuku i jego twórczości pisałem w *Kulturze* wielokrotnie, za każdym razem ilustrując moje opinie licznymi przekładami co cenniejszych wierszy („Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji”, nr 5/79-6/80 — 1954, „Poezja Jewhena Małaniuka”, nr 10/96 — 1955, „Ostatnia wiosna”, nr 7/141-8/142 — 1959).

Dziś, gdy na ostatniej stronie jego poezji wyciśnięta została czarna pieczęć śmierci, niewiele mam do dodania czy uzupełnienia.

Był to poeta klęski narodowej, ale nigdy nie zadowolił się rolą płaczki żałobnej, rozpaczającej w ruinach. Owszem, potrafił napisać: „Wyję — pies na martwym polu bitwy, biednych kości i popiołów stróż...”, albo: „Burza. I zachód krwią opłynie, obwie-

ści głosem nieucichłym, że w nowej klęsce znów zaginiem, że step, ruina, mrok i wichry..." — ale zaraz z samego dna tej „nowej klęski” podnosił się mocny głos zarazem gniewu i nadziei. Więc — budzenie sumienia narodowego. Więc nawoływanie do dokładnego poznania sensu własnych dziejów, jakże zakłamanych przez obcych, jakże słabo uświadomionych przez swoich.

Ktoś — właśnie ze „swoich” — napisał o Małaniuku ironicznie, że pozuje na wieszczą narodowego. Patetyczny, niekiedy nadmiernie wyśrubowany ton istotnie mógłby na to wskazywać. Nie było w tym jednak żadnej konwencji literackiej, ani z góry powziętego zamiaru. Temperatura wierszy Małaniuka jest funkcją serca, a nie wyrachowania. Ich klasycyzująca tendencja ogranicza się do roli autodyscypliny, skutecznego antidotum na pokusy rozwichrzenia.

Wciąż zahaczająca o wydarzenia, czy raczej procesy polityczne, jest to poezja dociekań historiozoficznych, nieustające ścieranie się z mrocznymi wyrokami dziejów, wyzywanie na rękę nieubłaganego losu. Elegijny ton, jeśli się zjawia, wzmacnia raz po raz gniewna inwektywa, bijąca jednocześnie we wroga i we własny naród.

Wspomniałem przed chwilą o budzeniu sumienia narodowego. Pod tym względem autor „Pierścienia Polikratesa” szedł wiernie po linii wytyczonej przez Tarasa Szewczenkę, Pantelejmona Kuliszę, Iwana Frankę. Jak ci wielcy poprzednicy, znieważał swój naród, aby go zmusić do gwałtownej reakcji, do wielkiego wysiłku i zrywu odrodzenia. Każdy z wielkich duchów literatury ukraińskiej zaglądał do swego „Grobu Agamemnona”, każdy rozrywał rany, by nie zablizniały się błoną podłości. Podobnie i Małaniuk.

Historyzm Małaniuka łączy się z posępną wizją eschatologiczną naszych czasów („Gdy wiek nasz — to oślepy Homer, gdy wiek nasz — to Beethoven głuchy...”). Historyzm popychał go ku koncepcjom, równie efektownym poetycko, jak niedostatecznie sprawdzalnym w przeszłości i teraźniejszości. W poszukiwaniu stałych ciągów historycznych Małaniuk tworzył wielkie metafory na miarę swoistej mitologii narodowej, dając im wyraz poetycki, a jednocześnie starając się je rozwinąć i rozpracować w dość bogatej prozie eseistycznej, o czym będzie mowa w dalszym ciągu. A więc mit hellenistyczny („Stepowa Hellada”), mit skandynawskich wikingów („droga od Wariagów do Greków”, Swiatosław Zdobywca, zawieszający swój szczyt na bramie Carogrodu), przechodzący w postulat „gotyku” i „żelaznego Rzymu”, którego nadejście wróżył i oczekiwał.

To po stronie pozytywów. A jako przeciwstawienie, zwalczane i przeklinane z całą pasją, koczownicza, chozarsko-połowiecko-

tatarska Azja, anarchistyczny step, etnograficzna „małorosyjszczyzna”, narzucona przez spadkobierczynię Batu-chanów — imperialistyczną Moskwę-Rosję. Oto główne, krzyżujące się i przeplatające nawzajem linie poetyckiej mitologii Małaniuka. Mitotwórczy wysiłek to zasadnicza cecha jego twórczości.

W hierarchii poezji ukraińskiej półwiecza Małaniuk zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Tu przecież zastrzec się trzeba, że w nienormalnych warunkach, w jakich rozwijała się literatura ukraińska, wszelkie hierarchizowanie jest niezmiernie niebezpieczne. Przypomnijmy, że w s z y s c y wybitni poeci na Ukrainie Sowieckiej zostali w latach trzydziestych zniszczeni przez moskiewski terror: jedni bezpośrednio, fizycznie, inni — moralnie i artystycznie. A że ofiarami terroru padali z reguły poeci, stojący na progu dojrzałości, a często zupełnie młodzi, któż zaryzykuje twierdzenie, jakie wartości i możliwości *in potentia* zostały wówczas zmarnowane!

Małaniuk — najpierw żołnierz, potem emigrant — unikał tego losu. Gdyby został na Ukrainie, czekałoby go to samo. Może uratowałby się od fizycznej zagłady, ale nie uratowałby swej poezji. Jego artystyczne dojrzewanie przypadło właśnie na najgorsze lata barbarzyńskiego ucisku, niewoli i masowej eksterminacji. Ten rozwojowy proces uległby więc przerwaniu lub okaleczeniu.

Ale czy byt emigracyjny nie powoduje również okaleczeń, względnie wykrzywień, innego wprawdzie typu, zawsze przecież dotkliwych i uniemożliwiających normalne, organiczne dojrzewanie twórcze? Przeglądam bibliografię Małaniuka. Pierwszy, debiutancki tom „Sztylet i stylós”, ukazał się w czeskich Podjebradach, następny — w Hamburgu; potem kolejno Paryż, Lwów, Filadelfia, Nowy Jork, Toronto. Słupy graniczne, wyznaczające krótsze i dłuższe etapy, czy nawet postoje emigracyjnej wędrówki. Wydawało się, że warszawski „namiot” zbudowany był najsolidniej, ale i on rozsypał się pod dotknięciem ognia i żelaza.

Sądzę, że szczytowym wspięciem się liryki Małaniuka był „Pierścień Polikratesa”, wydany na kilka zaledwie miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej, w dziewięć lat po „Ziemi i żelazie”, najbardziej dynamicznej eksplozji poetyckiego mitotwórstwa. W „Pierścieniu” mamy ten sam dynamizm, ale bardziej opanowany, dojrzalszy, ujęty w ściślejsze rygory artystyczne. Poeta miał przed sobą jeszcze prawie trzydzieści lat życia i wzbogacił swój dorobek niejednym pięknym wierszem, jednak nie wyszedł już poza poetykę swych lat męskich, ani rozszerzył jej granice życiowymi i twórczymi doświadczeniami wieku podeszłego. Używając terminologii sportowej, utrzymywał się w formie, ale o poprawianiu rekordów nie było mowy.

Trudno przesądzać co tu zaważyło najbardziej. Czy wstrząs, wywołany przez drugą wojnę światową i zawalenie się wszystkich nadziei z nią związanych, czy po prostu zbyt wielkie oddalenie geograficzne od dawnego, własnego świata? Z Warszawy do Lwowa jechało się ledwie kilka godzin pociągiem, a dalej była wieś, nie całkiem taka sama, jak w rodzinnej Chersońszczyźnie, ale tak czy owak odradzająca oddech poetycki emigranta. A w najbliższym sąsiedztwie bujne lasy Wołynia i białe wieże Ławry na Poczańskim wzgórzu i wyszczerbiony kikut zamku Lubarta.

Małaniuk nie lubił nadwiślańskiej stolicy i lekcewał ją, co miało zmienić się dopiero podczas wojny, ale mimo wszystko warszawski bruk sprzyjał mu bardziej, niż bruki wielkich metropolii amerykańskich. Nowy Jork aż do końca pozostał dla ukraińskiego poety zmechanizowanym, bezdusznym Babilonem, nieświadomym bliskiego dnia nadciągającej Apokalipsy.

Statek, którym Małaniuk opuścił na zawsze starą Europę, zawinął do Bostonu 8 sierpnia 1949 roku; następnego dnia — Nowy Jork. Był późny wieczór, Małaniuk ujrzał nocną panoramę olbrzymiego miasta, przejeżdżając promem przez Hudson.

„Wrażenie — pisze w swoich „Notatkach z podróży” — bardzo ostre i — trzeba przyznać — niesamowite... Możliwe, że tak właśnie wyglądał w nocy starożytny Babilon”. A po trzech latach pobytu zanotuje: „Nie ma tu i nie może być miejsca dla *homme libre*. Tu w ogóle nie odczuwa się obecności człowieka”. I przywidziało się niepokodzonymu z miastem przybyszowi widmo „w narzutce, z czarnym, szerokim krawatem, z oczami nalanymi alkoholem”, przechodzące starymi uliczkami Manhattanu — Edgar Allan Poe. Gdyby Małaniuk żył sto lat wcześniej, może poczułby się tam znacznie lepiej.

Nic dziwnego, że aż do końca — a życie trwało jeszcze przez osiemnaście lat — Małaniuk nie zmienił swojej postawy; o zapuszczeniu korzeni w nowym i jakże obcym świecie nie było mowy. Toteż twórczość poetycka tego ostatniego okresu jest właściwie tylko rozpamiętywaniem, echem poprzedniego, prawdziwego życia. Znamienne — w owych latach powstało sporo esejów literackich i historycznych, sporo publicystyki. Ameryka świeci w nich niemal absolutną nieobecnością.



Lekarstwo na wszystkie niedomagania kultury ukraińskiej, na jej „małorosyjskość”, zaściankowość, na spowodowane przez wroga prowincjonalne zapóźnienie Małaniuk upatrywał w klasycznej dyscyplinie i równowadze. A więc emigracyjny odpowiednik szkoły kijowskich „neoklasyków”? I tak i nie.

Pisząc o zdolnym, ale zmarnowanym w koszmarnych sowieckich warunkach poecie, Marku Woronym, Małaniuk rzucił taką uwagę: „Romantyzm — to zawsze początek epoki, p r a w d z i w y jej początek”. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek podczas naszych warszawskich spotkań rozmawiał z nim na ten temat. W gruncie rzeczy autor „Sztyletu i stylosu” debiutował jako niewątpliwy neo-romantyk, choć najprawdopodobniej niezupełnie zdawał sobie z tego sprawę.

Sama wizja poetycka jest romantycznej prozapii — stale powtarzający się obraz bezgłowej Nike pobojuwisk, wyostrzona do ostatecznych granic inwektywa, przechodząca niekiedy w persyflaż, zamierzona monumentalność, szeroki gest, drapowanie poetyckiego płaszcza („żelaznych imperator strof”), ciągłe apelowanie do potomności („Widzę ich wyniosłych i wysokich, całym innymi niżli dzisiaj my...”) — to przecież niewątpliwe atrybuty romantyzmu.

Ale tym stwierdzeniem zagadnienia nie wyczerpiemy. Wizja romantyczna — owszem, ale od początku towarzyszył jej świadomy wysiłek klasycyzujący, chociaż nie od razu zostanie on uwieczniony powodzeniem. Znowu trzeba powtórzyć to samo: — Czy zaważyły tu wpływy kijowskich „neo-klasyków”? Zestawienie odpowiednich dat nie potwierdza tego przypuszczenia. Więc czy tylko zbieżność, wynikała z identycznych dążeń?

W roku rewolucji bolszewickiej Małaniuk miał dwadzieścia lat. Do roku 1921 pozostawał w szeregach armii, nie znaczy to przecież, że owe cztery lata były dla niego jałowe, jeśli chodzi o zainteresowania literackie, niewątpliwie obudzone jeszcze na szkolnej ławie. W jednym ze swoich szkiców przedwojennych Małaniuk wspominał, że środowisko kijowskie, na długo przed objawieniem się grupy neo-klasycznej, a więc przed rewolucją, wykazywało zdecydowane tendencje okcydentalizujące. Wymienił poetów, może i nie wysokiego lotu, ale za to o tym samym nstawieniu kulturowym — Narbuta, Elsnera, Liwszyca — dodając, że nawet gdy pisali po rosyjsku, włączali się do tegoż kierunku.

Zresztą Małaniuk uwydatnia wszystkie „niezdrowe oznaki” klasycznego „aleksandrynizmu”: brak głębiej sięgających korzeni, mimozowatość, niedokrwistość „międzynarodowość”, snobistyczny formalizm, a do tego ideową jałowość. Ale — dodaje natychmiast — trzeba z całą siłą podkreślić także pozytywne strony tego „aleksandrynizmu”: jego poziom kulturalny, całkowitą odmienność od wszelkiej „rosyjskości”, ba, nawet jawną wrogość w stosunku do kultury rosyjskiej (zwłaszcza w moskiewskim wydaniu), wreszcie jego wyraźną prozachodność. Kijowska „Aleksandria” literacka była zdecydowaną forpocztą wprawdzie słabowitego, hiper-

troficznie anemicznego (pod względem formalnym), bezsilnego ideowo, ale prawdziwego okcydentalizmu”.

Droga była wytyczona. Trzeba było tylko zdobyć się na siłę, anemię zastąpić krwistym temperamentem, wyrzec się formalnego snobizmu, a przede wszystkim wysunąć na czoło określoną, w tym wypadku narodową, przetrwioną historiozoficznie ideę, słowem — z d y n a m i z o w a ć ó w „aleksandrynizm”. Zadania tego podjął się właśnie Małaniuk. I nieważne, czy ambitny zamiar powstał i wykryształizował się jeszcze w latach rewolucji i wojny domowej na Ukrainie, czy dopiero na emigracji, podobnie jak nieważne, czy dojrzał powoli, czy też przyszedł na drodze nagłego objawienia. Myślę, że właśnie tu należy doszukiwać się poetyckiego rodowodu Małaniuka.

Doszedł niepodlegający wątpliwości wpływ — a może tylko przykład? — Mikołaja Gumilowa. Pozorna sprzeczność — antyrosyjskość i Gumilow. Otóż nie — autor „Zdobycwców” był ze wszystkich poetów rosyjskich „srebrnego wieku” najbardziej zachodni, w pewnym sensie „średniowieczny”, formalnie przeciwstawiający się mgłom symbolizmu i dekadencej histerii. Więc chyba raczej przykład, a nawet pokrewieństwo, niż zwykły wpływ. Amatorzy wpływoлогии powinni pamiętać, że gdy chodzi o mocne indywidualności, należy wprowadzić pojęcie analogii z wyboru, a to nigdy nie może być kwestią naśladownictwa, ani tak zwanej „bluszczowatości”.

Mówiłem o wybitnym stanowisku, jakie zajął Małaniuk we współczesnej poezji ukraińskiej. A jak to wygląda w hierachii ogólnoeuropejskiej? Jednoznaczna odpowiedź byłaby i niesłuszna i krzywdząca. Bo poezja ta rozwijała się nie stopniowo, jak to się dzieje w normalnych warunkach, nie poprzez przechodzące jeden w drugi etapy, lecz gwałtownymi zrywami. Historyk literatury, a nawet krytyk, oceniający z bezpośredniego dystansu, musi tę okoliczność brać pod uwagę, w przeciwnym bowiem razie za- wiśnie w dziejowej próżni.

Naturalny rozwój literatury ukraińskiej był stale hamowany i przerywany, a tym samym w krótkich okresach sprzyjających temu rozwojowi, musiano uciekać się do improwizacji. Taką wielką, dynamiczną improwizacją była na przykład liryka Pawła Tyczyny i świetny barok poematów młodego Mykoły Bażana. Małaniuk zdawał sobie sprawę z fatalnej dorywczości procesów kulturalnych na Ukrainie i dlatego cały jego wysiłek poszedł w kierunku twórczego kontynuowania i ciągłości. Wiemy jak natarczywie i boleśnie prześladowała go świadomość nieobecności gotyku, pojętego jako centralna idea średniowiecza, w dziejach Ukrainy. Wcześniejsze hellenistyczne źródła stratały kopyta koczowniczych koni. Literatura miała dać to, czego zabrakło w

historycznej tradycji, albo zostało zniszczone czy też wypaczone przez obce i wrogie siły.

Jestem przekonany, że w świetle tych wszystkich rozważań nie trudno wyznaczyć główne determinanty wojującej, mitotwórczej i wyrażnie kontynuatorskiej poezji Małaniuka. Żaden więc łokieć zachodnioeuropejski do niej nie pasuje i żadna krytyczno-szkolarska szufladka jej nie obejmuje.



Między rokiem 1962 a 1966 wyszły w kanadyjskim Toronto dwa obszerne tomy prozy Małaniuka, pod wspólnym tytułem „Knyha spostereżeń”. Dosłownie byłoby „Książka spostrzeżeń” i brzmi po polsku bardzo niezręcznie. „Księga obserwacji”? — też niedobrze. „Księga uwag”? Albo — wprawdzie niedosłowne, ale dobrze oddające intencje autora — „Notatki i komentarze”.

Dwa solidne tomy, liczące razem nieco ponad tysiąc stron, obejmują kilkadziesiąt dłuższych i krótszych prac, z których większość można zaliczyć do literackiej i historycznej eseistyki. O zwartej budowie tych tomów nie ma co mówić, zbyt wielkie jest w nich bowiem „materii pomieszanie”, a ponadto ogromna rozpiętość w czasie: najwcześniejsze z zamieszczonych prac powstały w latach 1927-28, najpóźniejsze na kilka lat przed śmiercią pisarza.

Z tym wszystkim nie trudno wytyczyć główne linie, po których postępowała krytyczna i historiozoficzna myśl Małaniuka. Można tylko żałować, że nie zdobył się na zwarte dzieło, w którym jego wizja otrzymałaby kształt definitywny. Stać go było na to, a jeżeli w ogóle się do tego nie zabrał, to na pewno z powodu okoliczności zewnętrznych. Wielka szkoda! Mogłaby powstać wielka konstrukcja — zamiast niej mamy ułamki, z których trzeba odgadywać ogólną ideę architektoniczną. Nie jest to zresztą praca trudna, ani nadaremna.

Najważniejsze eseje, decydujące o ciężarze gatunkowym obydwu tomów, koncentrują się na dwóch przecinających się osiach: proces wytoczony Rosji i proces wytoczony własnemu narodowi. Rosji — bo Małaniuk widział w niej upiora, od przeszło dwustu lat wysysającego i „serce i mózg” ukraińskiego narodu; własnym rodakom, bo w swojej masie nie zdobyli się na właściwy opór i wysiłek. Ani cywilizacyjno-moralny na co dzień, ani zbrojny w dniach wojennej i rewolucyjnej próby.

Swoje tezy Małaniuk sprawdzał zarówno na materiałach historycznych, jak literackich. Snuł swoje rozważania równoległe do twórczości poetyckiej. Każdy z jego programowych, nasyconych ideologią i historiozofią wierszy natychmiast znajdował — jak już

podkreśliłem na wstępie — rozwinięcie i uzupełnienie w prozie eseistycznej. Więc z jednej strony śledzenie losów Ukrainy od najdawniejszych czasów, bo od prehistorii, gdy przy ujściu rzek nadpontyjskich Hiperborejów powstawały pierwsze greckie kolonie, aż po nadaremne zmagania wyzwolenicze w latach rewolucji rosyjskiej, zmagania, w których Małaniuk brał bezpośredni udział.

Dalej śledzenie rozwoju literatury ukraińskiej, jako wyrazi-cielki przede wszystkim dążeń narodowych. Wytaczanie punktów triangulacyjnych, według których należy orientować się w podró-ży poprzez dzieje, walka z tym wszystkim, co pisarz uważał za zgniły balast, albo obce, więc wrogie wtřęty. Dotykając tych za-gadnień, pióro Małaniuka stawało się bezlitosne, zaprawione ja-dem i żółcią, wycelowane prosto w serce wybranej ofiary. Wystar-czy przeczytać choćby to, co pisał o Wynnycence, którego potępił i skazał bezpardonowo jako jednego z głównych winowajców utraty busoli narodowej w okresie najcięższego przełomu. A prze-cież gdy Małaniuk wystąpił z tym gwałtownym atakiem, Wynnyczenko był wciąż wielkim autorytetem i zamach na niego nie-jednemu wydał się świętokradztwem.

Gdy pisarz bierze na siebie rolę oskarżyciela, chłoszczącego narodowe przywary, nie podobna, a w każdym razie bardzo trud-no ustrzec się skrajnych sądów i przesady. Małaniuk nie zawsze potrafił zdobyć się na całkowity obiektywizm, podobnie jak nie zawsze uniknął pokusy „pożłacania narodowych posągów”. Po-dobnie jak dość często nie znał miary w potępianiu, nie cofał się przed gloryfikacją bez zastrzeżeń. W obydwu wypadkach decydo-wała rozpalona żarliwość wyznawcy. Mógłby powtórzyć za Sło-wackim: „jeżeli gryzę co, to sercem gryzę”, i mógłby usprawiedli-wić wprowadzanie do Panteonu swoich bohaterów koniecznością wydzwignięcia narodowego mitu, bo bez bohaterów nie ma świa-domości historycznej. A właśnie o nią Małaniuk zmagał się przez całe życie każdym swoim słowem.

Rosja... Przy tym temacie pasja i gniew dochodzą u ukraiń-skiego poety do ostatecznego napięcia. Rosję moskiewską, Rosję petersburską, autokratyczną i liberalną, carską i sowiecką, Rosję we wszystkich odmianach — spotyka to samo namiętne potępie-nie. Małaniuk znakomicie orientował się w rosyjskiej problema-tyce historyczno-kulturalnej i faktograficzna podbudowa jego aktu oskarżenia nie podlega najmniejszemu zakwestionowaniu.

Jak zawsze jednak istnieje sposób na odpowiednie przetaso-wanie talii faktów historycznych, co przy specjalnym nastawieniu emocjonalnym rodzi jednostronność, polegającą na wyborze i ukła-dzie kart, wprowadzonych do gry. Małaniuk oskarża Rosję na podstawie materiałów autentycznych i przeprowadza dowód winy

w przekonywującej formie, nie dopuszcza jednak do głosu obrony i nie uwzględnia w s z y s t k i c h bez reszty okoliczności. W tej moskiewskiej Sodomie i Gomorze prawie nie ma Abrahamów. I na tym właśnie polega pewna jednostronność.

Dla uniknięcia niedomówień czy nieporozumień. Piszący te słowa uważa wywody Małaniuka za najzupełniej słuszne w ich zasadniczym ujęciu, wolałby jednak, aby ta zasadnicza słuszość nie unikała konfrontacji z racjami strony przeciwnej. Przydałoby się więcej światłocienia zamiast jednolitej czerni.

Obszerne, całe epoki obejmujące, koncepcje historyczne nie mogą obejść się bez pewnych uproszczeń. Historyk światowej sławy, Arnold Toynbee, uległ tej facynującej pokusie i dał konstrukcję niezwykle efektowną, coś z tego, skoro fałszywą. Poszczególne elementy architektoniczne wypadają, albo kłócą się z ideą całości, albo w ogóle istnieją tylko na papierze, więc w rzeczywistości ich nie ma. *A propos*: wielkim kusicielem Toynbee'go był Oswald Spengler, bo to chyba on podsunął angielskiemu profesorowi pomysł teorii o cykliczności cywilizacji, zbyt ułatwiony, by można go było sprawdzić. Ale to osobna kwestia, wychodząca poza artykuł o Małaniuku.

Próby syntezy zresztą nigdy nie są całkowicie chybione, gdyż ułatwiają pracę porządkującą, ale nie mogą pretendować do roli wszechstronnego klucza, otwierającego wszystkie drzwi. „Otwórz się, Sezamie!” — działa nieomylnie w bajce, ale nie w życiu. Marksisci cieszą się jak dzieci, sądząc, że oni jedni są w posiadaniu takiego uniwersalnego klucza, a nie zdają sobie sprawy, że to nie klucz, lecz wytrych. W stosunku do kas ogniotrwałych historii marksistowski wytrych staje się narzędziem tak bezradnym, że aż śmiesznym.

Naturalnie, syntezy i uniwersalne koncepcje Małaniuka także grzeszyły jednostronnością i uproszczeniem, co nie znaczy, że nie nosiły w sobie jakiejś, w trudnym do określenia stopniu, ograniczonej prawdy. Poeta w ogóle lubił przeciwstawienia: albo — albo. Tak na przykład ułożył sobie teorię o kobietach — przeciwstawienie dantejskiej Beatryczy andaluzyjskiej — z lekkiej ręki Merimée'go — Carmen. Pamiętam — na początku 1936 roku poznał w towarzystwie Tuwima, z którym spotykał się dość często, Zuzannę Ginczankę i przeczytał kilka jej młodocianych wierszy.

„Małaniuczyszcze” — jak go nazywali niektórzy przyjaciele — wpadł w zachwyt, a w ogóle skłonny bywał do entuzjazmu, chociaż — przyznać trzeba — umiał później te swoje zachwyty przeżuwać i kontrolować. „Macie nową znakomitą poetkę!” Czy do nasilenia tego entuzjazmu przyczyniła się w jakimś stopniu

wielce efektowna aparycja Ginczanki, nie wiem, ale podejrzewam, że chyba tak.

Zaraz też włożył jej swoją teorię o kobietach. Osiemnastoletnia, świeżo upieczona maturzystka z wołyńskiej prowincji, także zachwyciła się, a co najmniej przejęła. Nazajutrz powtórzyła mi całą teorię, sądząc, że jej nie znam. Powiadam: „Sana, a ty co wybierasz? Chcesz być Beatryczą czy Carmen?” Dziewczyna szybko ochłoneła i po namyśle doszła do wniosku, że nie odpowiada jej ani jedno, ani drugie. Teoria była efektowna, ale zbyt wąska, by ją stosować do wszystkich.

Jeszcze jedno przeciwstawienie, także dotyczące typów kobiecych, ale tym razem mocniej osadzone w określonych kręgach cywilizacyjnych: helleńska Nauzyka i judejska Salome. Zjawia się ono po raz pierwszy u kijowskich neo-kłasyków (Zerow przede wszystkim, Fyłypowycz); prawdopodobnie Małaniuk, zafascynowany kontrastem, przetłumaczył sobie później Nauzykę na córkę Fulka Portinari, a Salome na sewilijską miłośnicę.

To tylko anegdotyczno-literacka dygresja, przydatna przecież jako interesujący przyczynek, bo oświeclający skłonność naszego poety do pewnych mitologizujących uproszczeń.

Historyczne oceny Małaniuka, prawie zawsze starannie uzasadnione, budzą niekiedy sprzeciw. Wspomniałem o „pożyczaniu narodowych posągów”. Bohdana Chmielnickiego Małaniuk gloryfikuje bez najmniejszych zastrzeżeń, pisząc o nim w samych superlatywach: „genialny”, „bohodannyj” (Bogiem dany, przez Boga zesłany — wykorzystanie imienia B o h - d a n). Że Chmielnicki był człowiekiem wielkiej miary, to oczywiste i tylko ktoś, kto nie wyszedł poza sienkiewiczowską wizję z „Ogniem i mieczem”, może taką ocenę kwestionować. Ale wielcy ludzie także popełniają fatalne pomyłki i Chmielnicki nie był wyjątkiem.

Twierdzenie — raczej sugestia — Małaniuka, że tylko śmierć hetmana przekreśliła szansę wybicia się Ukrainy do całkowitej niepodległości, wydaje się zbyt ryzykowne. Między polskim młotem a moskiewskim kowadłem (i ze straszliwym tatarskim „sprzymierzeńcem” nad głową) nie było na to żadnych szans, zwłaszcza po Batochu. Rzeź wziętych pod Batochem jeńców przekreśliła raz na zawsze możliwość nowego kompromisu Chmielnickiego z Rzeczpospolitą. Dogadanie się ze Szwedami? W roku śmierci hetmana Karol Gustaw mógł już tylko obiecywać, ale uczynić ewentualnego sojuszu naprawdę efektywnym nie mógł.

Małaniuk chwali dynastyczne zamiary Chmielnickiego i w zasadzie ma rację, ale zapomina, że mołdawska polityka była prowadzona na wyrost i tylko przyspieszyła katastrofę. Aż do berestejskiej potrzeby Chmielnicki postępował zgodnie z nakazami racji stanu i z możliwościami — potem już n i e! Ale tych spraw

nie można omówić w kilku zdaniach, zahaczam tylko o nie mimochodem.

Na marginesie: ukraińscy historycy i publicyści stale mówili i mówią o tatarskiej „zdradzie” pod Beresteczkiem. Nie wydaje się to słuszne. Tatarzy istotnie zdradzili pod Zborowem i pod Żwańcem, jak później, już jako sprzymierzeńcy Rzeczypospolitej, zdradzili Polaków pod Ochmatowem, umożliwiając wycofanie się kozackiego taboru. Ale za każdym razem brali okup i uprowadzali jasyr, więc zdrada im się opłacała. Spod Beresteczka uciekli, ogarnięci paniką, dopiero po trzydniowej bitwie i ciężkich stratach. Tym razem „zdrada” byłaby bezinteresowna, a to nie leżało w tatarskich zwyczajach.

Byłoby kwestią dokładnego zbadania i solidnej dyskusji czy Małaniuk nie przesadza, gdy uwydatnia znaczenie i wpływy kręgu antycznej cywilizacji greckiej na Ukrainie. „Fakt, że nasza ojczyzna należy do tego kręgu — powiada w jednym z najważniejszych szkiców II tomu — fakt długotrwałego przebywania w nim naszych przodków (od VIII wieku przed N. Ch.) pozostawił po sobie, musiał pozostawić ogromne następstwa, które w nas istniały, istnieją i będą istnieć, w naszej podświadomości, w naszym organizmie, nawet w „unerwieniu”. Obawiam się, że tu Małaniuk poszedł zbyt daleko w mitologizowaniu, poczętym zresztą z najbardziej szlachetnej intencji.

Znowu można tylko zahaczyć w paru zaledwie zdaniach o to zagadnienie. Ileż tu nierozstrzygniętych pytań! Czy Antowie byli na pewno Słowianami? Jak daleko sięgało w głąb kraju oddziaływanie greckich kolonii? Czy pomieszanie się ludów irańskich z tubylcami miało zasadnicze znaczenie na przyszłość? Jaki procent koczowników, napływających okresowo z głębin Azji Środkowej, pozostał na dzisiejszej Ukrainie na stałe? Historia i archeologia jeszcze nie dały na te pytania definitywnych odpowiedzi i, kto wie, czy kiedykolwiek wszystkie wątpliwości zostaną wyjaśnione. W poezji Małaniuka i w nie mniej poetyckich uniesieniach jego wywodów historiozoficznych wyjaśnienie i rozwiązanie zostało znalezione. Zaakceptujmy to właśnie tak — jako jeden z pięknych mitów, które uskrzydliły twórczość znakomitego poety.

Co osobiście uderzyło — i to uderzyło nieprzyjemnie! — autora tego artykułu, poświęconego pisarzowi już nie żyjącemu, który na żadną krytykę odpowiedzieć nie może i nigdy nie odpowie, to opinia o słynnej pseudo-historycznej powieści Hohola-Gogola „Taras Bulba”. „Niezależnie od tego — napisał Małaniuk w eseju „Bezpaństwowa noc” — jak ustosunkujemy się do ściśle narodowej wartości tego utworu, pozostaje on utworem monumentalnym, prawdopodobnie wiecznym. Mimo wszystko,

wskrzesił ducha kozackiej epoki: za Wiarę i za Naród". Myślę, że tym razem instynkt zawiódł Małaniuka i jako pisarza i jako Ukraińca.

„Taras Bulba” jest powieścią nieprzytomnie antypolską, więc łatwo podejrzewać Polaka, że nie potrafi o niej napisać obiektywnie. Nie o to przecież chodzi. Jestem absolutnie na te rzeczy zahartowany. I nawet nie o to chodzi, że końcowy wydźwięk powieści, gdy konający bohater marzy o Ukrainie pod ręką „prawosławnego cara”, nie mógł Małaniuka i żadnego Ukraińca, świadomego historycznych losów swej ojczyzny, nie urazić.

Zdziwiło mnie, że Małaniuk, tak bardzo wyczulony, uwrażliwiony na historię, nie uchwycił, że powieść Gogola ośmiesza kozaczyzną zaporoską, że daje jej karykaturę. Że to nie bohatera opera, lecz operetka. Pomijam już wszystkie błędy historyczne, często elementarne. Jedyne, co w tym romantycznym poemacie prozą, typu buffo, ma wartość bezsporną, to opisy ukraińskiej przyrody. Naprawdę piękne, przepojone liryzmem, chociaż, biorąc rzecz poważnie, i tu nie brakuje grandilokwencji i gigantycznych superlatywów. Owe ptaki, które nie są w stanie dolecieć nawet do połowy dniewowego nurtu!

Powiedziałem, że Gogol (czy Hohol) kozaczyzną ośmiesza, i podejmuję się przeprowadzić dowód prawdy. Taras Bulba na naradzie siczowej wysuwa argument, że konieczna jest nowa wyprawa, ponieważ jego synowie, Ostap i Andrij, jeszcze nie wypróbowali szabielek. I zaczyna się operetkowa kłótnia, potraktowana przez autora z całą powagą. Doprawdy, źródła historyczne wystawiają zaporozcom nieco inne świadectwo.

Cała przygoda Andrija, z jego miłością do pięknej Polki i zdradą w imię tej nagłej miłości, aż śmiesz tanim felietonowym romansidłem francuskim w stylu ostatnich, post-romantycznych popłóczyn. Coś jak „Garbus albo chevalier de Lagardère”, mój ulubiony bohater, gdy miałem trzynaście lat. I ta wyprawa Tarasa Bulby do Warszawy, by znaleźć się w pobliżu syna Ostapa, w dniu jego egzekucji, i ten okrzyk „Słysz!” — toż żywcem wykrojone z hollywoodzkiego filmu w najgorszym wydaniu. Nie wiem jak można dopatrywać się cech monumentalności w takim pseudo-historycznym kabarecie.

Bardzo żałuję, moja w tym wielka wina, miałem napisać recenzję z dwutomowego zbioru prozy Małaniuka przed paru laty, spóźniłem się, a obecnie bezpośredniej polemiki podjąć, niestety, niesposób. A może znajdzie się ktoś, kto by zechciał podtrzymać zadziwiające dla mnie opinie Małaniuka o „Tarasie Bulbie”. Mogłaby z tego wynikać dyskusja całkiem pouczająca.

Małaniuk był pisarzem zbyt poważnym, aby takie potknięcie się mogło zachwiać jego pozycją. Zaś porachunki z umarłymi, na-

wet najostrzejsze, byle w zasadniczych sprawach, stanowią miarę ich znaczenia. Właśnie dlatego, że znaczą i ważą, trzeba z nimi wciąż rozmawiać i spierać się do końca. *P a n e J e w h e n e*, jestem przekonany, że gdyby pan żył, nie wzięłby mi mego pie-niactwa za złe.

Historyczny konflikt Moskwa-Kijów dominuje w problematyce Małaniuka. Natomiast o sporze polsko-ukraińskim pisze z-dziwiająco niewiele, wyraźnie spycha te sprawy ku marginesom, co nie znaczy, że ich nie dostrzega. Pretensje, które zgłasza tu i ówdzie pod polskim adresem, są, niestety, prawie zawsze uza-sadnione. Nasza polityka międzywojenna wobec Ukraińców była nie tylko niesłuszna i krzywdząca, gorzej, była ahistoryczna, non-sensowna i przyniosła fatalne konsekwencje.

Przyznając zasadniczą rację gorzkim uwagom Małaniuka, trze-ba jednak dodać, że parę razy przegiął on pałkę zbyt mocno. Przesadził, gdy polski nacjonalizm wpakował do wspólnego worka z rosyjskim „jedinoniedielimstwem”, przesadził, gdy postawił znak równania między polskim i rosyjskim mesjanizmem. Przy pew-nych zewnętrznych zbieżnościach mesjanizmy te miały ze sobą niewiele wspólnego, gdyż wypłynęły ze źródeł całkowicie odmien-nych. Także trudno się zgodzić z opinią, że katastrofa wrześnio-wa 1939 roku przysłała w wyniku złej polityki wobec mniejszo-ści narodowych. Oczywiście, polityka była bardzo zła, ale nie widzę tu żadnego związku przyczynowego.

Nie z pedanterii, lecz dla porządku kilka rzeczowych spros-towań. Zresztą Małaniuk sam wychodzi im naprzeciw, podkreśla-jąc, że nie zawsze mógł sprawdzić fakty i daty, skoro potrzebne materiały musiała zastąpić mu pamięć. Nie mogło się zatem obejść bez pomyłek, zwłaszcza drobnych. Tak na przykład, o Aleksieju hrabim Tołstoju Małaniuk napisał, że „oprócz tytułu nie miał nic wspólnego z rosyjskim rodem tego nazwiska, był potomkiem Aleksego Rozumowskiego, męża carycy Elżbiety”.

To nie tak. Tołstoj pochodził istotnie z Rozumowskich, ale po kądzieli. Jego pradziadem był — wbrew temu, co napisał Małaniuk — nie Aleksy, lecz Cyryl Rozumowskyj, brat tamtego, ostatni hetman lewobrzeżnej Ukrainy. Matka Tołstoja była natu-ralną córką jednego z Rozumowskich, sytuacja prawna i jej i rodzeństwa została zalegalizowana jeszcze za życia ojca: wszyst-kich zaliczono carskim dekretem do szlachty, pod nazwiskiem Pierowskich.

Siedemnastoletnia Anna wyszła za mąż za hrabiego Konstan-tyna Tołstoja i z tego związku urodził się w roku 1817 przyszły pisarz.

Małaniuk przyjmuje za pewne szkockie pochodzenie poety Lermontowa — od jakiegoś Lermonta. Nie ma na to żadnych

dowodów; owszem, Lermontow pisał o Szkocji jako o swojej rzekomej ojczyźnie, ale było to fantazjowanie. Kiedy indziej zapewniał, że pochodzi z Hiszpanii, z arystokratycznej rodziny de Lerma. Najprawdopodobniej ani jedno ani drugie.

O bitwie pod Lignicą czytamy, że Tatarzy zniszczyli tam rycerstwo czesko-polskie. Czesi pod Lignicę nie zdążyli, stawili opór Batu-chanowi dopiero pod Ołomuńcem. Zaskakuje twierdzenie, że większość kadry oficerskiej w Białej Armii Denikina i Wrangla stanowili nie Rosjanie, lecz Ukraińcy, Polacy i inni „i n o r o d c y”. To co najmniej ryzykowne.

Takich błędnych informacji jest więcej, ale nie tyle, by podać w wątpliwość skrupulatność autora. Gdy się nie rozporządza własną biblioteką, przy utrudnionym dostępie do źródeł, pomyłki są nieuniknione.



Szkoda, że Małaniuk nie włączył do żadnego z dwóch tomów prozy niezmiernie interesujących „Kartek z notatnika”, drukowanych swego czasu w polskim przekładzie, w *Kulturze* (nr 6/32 1950). W tych lakonicznych zapiskach z lat 1937-40 i z 1945, zajmujących razem zaledwie pięć stron druku, jest cały Małaniuk. Warto przypomnieć na przykład, jak po raz pierwszy w odmiennym świetle ujrzał nie lubianą Warszawę, po obronie w 1939.

„Warszawa — czytamy pod datą 30 września, a więc w kilka dni po kapitulacji — była dla mnie miastem, gdzie „przemijają dni”, miastem, gdzie „nie urodził się żaden poeta”. Warszawa w ogóle znajdowała się poza granicami wielkiej poezji i tragedii. Nie ratowało jej nawet norwidowskie: „ideał sięgnął bruku”. I oto pierwsze wyjście na scenę po zakończeniu pierwszego aktu, który, jak się później okazało, był tylko uwerturą. Niesamowite wrażenie. I wrażenie dziwne: Warszawa „spompeizowana” stała się jakoś niewiarygodnie u d u c h o w i o n a. „Operetka” znikła całkowicie. Warszawski „półstyl” zniknął definitywnie. I ruiny miasta nabrały wyrazu wysokiej sztuki i wysokiego stylu...”

I jeszcze taki zapis z 16 sierpnia 1945 roku, a więc w dziesięć dni po Hiroshimie: „Rozbicie atomu... Czymże to jest, jeśli nie zniszczeniem muzyki, harmonii, struktury! Wszystko leci w przepaść. Biedni ludkowie, co 'trzymają w swoich rękach losy świata' — nawet nie domyślają się, jak żałośni są w swej bezradności i nieświadomości tego, co się dzieje n a p r a w d e”.

Przed wojną Małaniuk wróżył nadchodzącą katastrofę, ale w mrocznych objęciach tej wróżby kiełkowała nadzieja, że w wyniku katastrofy przyjdzie odnowienie świata i odrodzenie wolnej ojczyzny. Po wojnie — podkreślić należy że t u ż po wojnie — nie było już miejsca dla nadziei, co najmniej w granicach

jednego ludzkiego żywota. To zapewne tłumaczy, dlaczego Małaniuk nałożył tłumik na swoją dalszą twórczość.

Dopiero dystans czasu pozwala na właściwą ocenę. Życiowy dorobek autora „Pierscienia Polikratesa” stanowi zamkniętą całość. Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że w dniu, gdy naród ukraiński zacznie iść swoją własną, swobodnie wybraną drogą historyczną i będzie mógł nieskrępowanie wybierać drogowskazy i czcić swoich najwybitniejszych synów, w przyszłym panteonie Ukrainy znajdzie się poczesne miejsce i dla Jewhena Małaniuka. Zasłużył na nie jak mało kto ze współczesnych.

Józef ŁOBODOWSKI

P.S. Już po śmierci poety, w miesięczniku ukraińskim *Suczasiwist* („Współczesność”), wychodzącym w Monachium (marzec br.), zamieszczono osiem wierszy zmarłego, pochodzących z lat ostatnich. Pisane były w przeczuciu rychłego zgonu. I niezmiennie powtarza się jak obsesja miesiąc luty. I w lutym, dnia 16, nastąpiło ostateczne rozwiązanie.

Z tego cyklu przełożyłem pięć liryk jako uzupełnienie artykułu. Są to raczej bruliony wierszy, krótkie liryczne notatki, zapisywane w pośpiechu, a sprawiające przejmujące wrażenie migotania latarki, idącej nikłym światłem po śladach zbliżającej się śmierci. Przeczucie nie oszukało poety.

J. Ł.

Jewhen MAŁANIUK

L U T Y

*Miesiąc luty — prawdziwie l u t y.
Przyczaiłeś się, czuwasz i czekasz,
aż poskręca nerwy zły smutek,
aż na serce zabraknie lekarstw;*

*wtedy ku mnie jak wilk wygłodniały
skoczysz w nocy znienacka do gardła,
i kręgosłup zdrewniałego ciała
z trzaskiem złamie się...*

*Wiosną zamartłą
znajdą ludzie całkiem przypadkowo
coś, co t u t a j przemknęło cieniem,
ale było siedzibą Słowa,
co łączyło pracę i natchnienie;*

*z losem wiodło walkę wytrwałą,
rozkochane w namiętnościach świata,
w ogniu żyło...*

*I zgubę spotkało,
gdzie nie ból, ani ból, ani żałość,
tylko wicher pustkę zamiata.*

*Dobrze wiem, że ten miesiąc luty,
bo ta pewność wciąż za mną się wlekle,
i ty także wiesz: z gniewnej nuty
w gniewnym sercu miłość zaciekle.*

28. II. 1964

★ ★

*Już aniołowie nie chcą więcej mówić ze mną.
Duch odlatuje, ciało coraz cięższe
w głąb ziemi ciągnie.*

*I powstaje wiersz przyziemny,
bezskrzydły, czotgający się jak węże,
co ledwie dyszy, ledwie coś bełkoce...*

O, jakże słabnie nędzne ciała truchło!

*Nad czarną ziemią już jesienne noce
złocą się pożegnalnie i żałobnie głuchną.*

1. XI. 1966

BEZSENNOŚĆ

*Nad Białym morzem
nawet noce białe,
nad Czarnym
Czarne nawet dni...*

4/5. X 1967

*Naczynie ciała głucho pęknie —
ta wszystkich grzechów krucha przystań.
Nigdzie od siebie nie uciekniesz.
Dokoła nędzna rzeczywistość,
a dzień — zazdrosny cyklop — śledzi
twój każdy krok.*

*I kiedy stopę
postawi noc, to nurt stuleci
zaleje cały świat potopem.*

*I mrok zaszumi wodospadem,
jakbyś w podwodnej był mogile.*

*Lecz sen, co idzie mroku śladem,
ani na jedną zajrzy chwilę.*

10. IX. 1967

★
★

*W miesiącu Februarze febra i angina,
i grypa. U nas miesiąc zwie się Lutym.
Lecz nagle wybuch, nowe się zaczyna
i słońce tnie jak szabla w dniu pokuty.*

*Wtedy złociste zaczną grzmieć tympany,
Marzec z swych zmarszczek zetrze szarą słotę.
I wstanie z martwych Kwiecień zapomniany
i padną mury chmur pod pierwszym grzmiotem.*

10. X. 1966

★
★

Podkradł się luty — niezauważony...

*W tym szarym dniu — to było w Wielkim Poście —
Chyłkiem się skradał i niespodziewanie
uderzył słońcem w plecy i naóścież
zdradliwym ruchem ku tej nagłej zmianie*

*otworzył padół i niebiosą. Prościej
nie bywa. Wód spod śniegu zmartwychwstanie
rozbiło zimy lodowaty kościec
i dzień za dniem objawia się wiosnianiej.*

*Obłoki popłynęły jak okręty —
i żagle — skądże ich gromada cała?
A biała zima wnet pobłękitniała*

*i maszty sosen, wiatrem ogarniętych!
I kontynenty z śmierci znów wyrosły
płynąc kosmicznym oceanem wiosny.*

28. II. 1966

Komunikaty

NAGRODA „KULTURY” DLA „LITERARNI LISTY”

Punktem kulminacyjnym konfliktu między ludźmi pióra a Partią był Zjazd Pisarzy Czechosłowackich w maju ubiegłego roku: Hendrych, nadworny ideolog Novotnego, oświadczył wówczas, że „wyczerpała się cierpliwość Partii” w stosunkach z intelektualistami. Dowodem *obustronnego* wyczerpania się cierpliwości były wkrótce potem dwa fakty: w lipcu skazano na pięć lat więzienia młodego pisarza czeskiego Jana Benesza, a w sierpniu znany pisarz słowacki (i członek Partii) Ladislav Mnačko wyjechał do Izraela na znak protestu przeciw polityce rządu praskiego wobec wojny na Bliskim Wschodzie. W tym samym miesiącu *Rude Pravo* zaatakowało gwałtownie intelektualistów czechosłowackich, którzy odpowiedzieli atakiem na dawkaną przez Partię „mini-wolność słowa”. W październiku zostali usunięci z Partii trzej wybitni pisarze: Ivan Klima, Ludvík Vaculík i Antonín Liehm, a organ Związku Pisarzy *Literární Noviny* przeszedł pod bezpośrednią kontrolę Ministerstwa Kultury. To ostatnie zarządzenie opróżniło redakcję tygodnika ze wszystkich prawie redaktorów i pozbawiło pismo współpracy wszystkich szanujących się literatów czechosłowackich; kierownictwo *Literárních Novin* powierzono „literatowi” mundurowemu w stopniu pułkownika. Nie na długo.

Jednym z pierwszych posunięć nowej ekipy partyjnej Dubczeka było upoważnienie Związku Pisarzy, 1 marca br., do wydawania nowego tygodnika *Literární Listy* na miejsce *Literárních Novin*. Ostatni numer nowego tygodnika ukazał się w wydaniu specjalnym 28 sierpnia, osiem dni po wkroczeniu do Czechosłowacji wojsk sowieckich, polskich, niemieckich, węgierskich i bułgarskich.

W ciągu tych pięciu zaledwie miesięcy *Literární Listy* stały się jednym z najpoczytniejszych i najbardziej cenionych pism w Czechosłowacji, czołową trybuną walki o „połączenie socjalizmu z wolnością” (według głośnego określenia nowoobranego prezesa Związku Pisarzy Czechosłowackich, Edwarda Goldstückera). Nakład osiągnął 300 tysięcy egzemplarzy. Co tydzień ustawiały się przed kioskami kolejki, a odchodzący od nich ludzie zagłębiali się w natychmiast w lekturze świeżego numeru pisma z dwuliterowym nagłówkiem LL. W dalekim jeszcze od końca, w tej części Europy, szeregu socjalistycznych pism odnowicielskich, które po latach upodlenia i serwilizmu przywróciły słowu drukowanemu jego godność i wartość, tygodnik praski zajął miejsce, obok warszawskiego *Po prostu* i budapeszteńskiego *Irodalmi Ujsag*. Okupacja Czechosłowacji przez „bratnie” dywizje Paktu Warszawskiego przecięła egzystencję *Literárních Listův*, które zdecydowały same zawiesić swoją działalność. Wielu redaktorów i współpracowników pisma było zmuszonych do ucieczki zagranicę.

Nasz miesięcznik postanowił przyznać *Literárním Listom* swoją nagrodę literacką w wysokości F. 5.000. Robimy to nie tylko we własnym imieniu, ale także w imieniu licznych pisarzy polskich w kraju, którzy nie mogąc wyrazić jawnie swej solidarności z pisarzami czeskimi i słowackimi i swego podziwu dla tygodnika praskiego zwrócili się do *Kultury* by była rzecznikiem ich stanowiska. Ten gest chce przede wszystkim zmyć, przynajmniej symbolicznie, hańbę udziału polskiego w napadzie na Czechosłowację, co było główną intencją pisarzy w kraju. Ale posiada on również pewną wagę praktyczną: pragniemy mianowicie, w duchu inaczej niż w Warszawie pojętej bratniej pomocy, przyczynić się, choć w drobnej mierze, do odrodzenia *Literárních Listův* zagranicą aż do czasu gdy będą mogły powrócić tam gdzie powstały i zdobyły sobie zaufanie setek tysięcy czytelników — do Pragi.

NAGRODY POLSKICH ODDZIAŁÓW WARTOWNICZYCH W NIEMCZECH

Polskie Oddziały Wartownicze w Niemczech, które szczególną opieką otaczają polską kulturę na emigracji, wznowiły w tym roku, przerwane na jakiś czas, ustanowione przez siebie nagrody literackie.

Powołanie jury powierzyły, jak w latach poprzednich, Związkowi Pisarzy Polskich na Uchodźstwie, wyznaczając dwie nagrody: I — £ 60, II — £ 30.

Na zaproszenie Związku Pisarzy jury, w składzie: mgr Ludwik Bojczuk (sekretarz); płk. Juliusz Filipkowski (przedstawiciel Polskich Oddziałów Wartowniczych); dr Władysław Günther, płk. Adam Sawczyński, pod przewodnictwem prezesa Związku Pisarzy, Teodozji Lisiewicz, zebrało się 13 września br. w Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie.

W wyniku obrad I-szą nagrodę otrzymał za całokształt prac naukowych i społecznych prof. dr Leon Koczy; II-gą nagrodę za całokształt pracy publicystycznej Zofia Kozarynowa.

POSK NA NOWYM ETAPIE

Za sumę £ 48.750,0,0. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny nabył kompleks budynków położonych przy 240/244 King Street i 3, 7a i 9 Ravenscourt Avenue, Hammersmith, W.6.

Realność ta położona jest w pobliżu Hammersmith „Town Hall'u”, naprzeciwko sławnej Latymer Upper School, Hammersmith College of Art and Building i Chelsea College of Technology (University of London), na skraju ruchliwej dzielnicy handlowej, na dogodnym szlaku komunikacyjnym, obok dużego parku miejskiego, około 150 metrów od stacji kolejki podziemnej Ravenscourt Park i niedużej odległości od stacji Hammersmith (około 1 km).

Władze miejskie dzielnicy Hammersmith udzieliły zezwolenia na adaptację i użytkowanie zakupionych obiektów na cele społeczne, naukowe, kulturalne i organizacyjne — *w ten sposób OŚRODEK POLSKI znalazł miejsce na mapie Londynu!*

Wstępne pertraktacje o nabycie sąsiednich obiektów są w toku.

Władze POSK żywią nadzieję, że pomyślnie załatwienie następnej transakcji może zaspokoić niemal wszystkie centralne potrzeby naukowe, kulturalne, społeczne i organizacyjne społeczności polskiej na Obczyźnie.

W ostatnich dniach POSK otrzymał oficjalną wiadomość, że jego spór z władzami miejskimi o prawo używalności klubu młodzieżowego przy 7 Cromwell Road, S.W.7., znanego jako „KLUB POD PARASOLEM” i prowadzonego przez Polski Ośrodek Młodzieżowy, został rozstrzygnięty przez Ministra Greenwood'a przychylnie. Tym samym młodzież będzie mogła kontynuować swą pożyteczną działalność.

SPOTKANIE POLSKO-UKRAIŃSKIE W MELBOURNE

W piątek 23 sierpnia 1968 w Melbourne (Australia) odbyło się spotkanie działaczy ukraińskich i polskich w celu przedyskutowania współpracy obu grup emigracyjnych. Ze strony polskiej wzięli udział przedstawiciele Federacji Organizacji Polskich w Wiktorii, oraz prasy. Delegacja ukraińska złożona była podobnie. Postanowiono wzajemnie nie publikować zaczepek, albo zagadnień kontrowersyjnych, a nacisk położyć na sprawy i momenty, które łączą i są wspólne. Ugodniono wymianę delegacji na każdą większą imprezę drugiej strony. Nakreślono również ramy współpracy na odcinku kulturalnym, politycznym, finansowym i młodzieżowym, z największym właśnie naciskiem na młodzież, aby mogła ona wychować się bez uprzedzeń starszego pokolenia. Zalecono wzmoczenie kontaktów towarzyskich i pomiędzy organizacjami terenowymi.

Realizm rosyjski

Riurikow: „Sołżenicyn musi także odwołać swoje uroszczenie, że to on kontynuuje realizm rosyjski”.

Sołżenicyn: „Towarzysz Riurikow doradza mi, żebym zrezygnował z kontynuowania realizmu rosyjskiego. Z ręką na sercu oświadczam, że nigdy tego nie zrobię”.

Riurikow: „Nie mówiłem o rezygnacji z kontynuowania realizmu rosyjskiego, lecz o wyrzeczeniu się tej roli w takim sensie jaki nadaje się jej na Zachodzie”.

Ze stenogramu posiedzenia sekretariatu Związku Pisarzy Sowieckich 12 września 1967 roku.

I

„Moja powieść *W pierwszym krugie* (trzydzieści pięć arkuszy autorskich) została mi zabrana przed dwoma laty przez organy bezpieczeństwa państwowego, co uniemożliwiło mi przedłożenie jej wydawcom. Natomiast za mojego życia, wbrew mej woli a nawet bez powiadomienia mnie o tym, powieść ta została „wydana” w formie „tajnej” dla czytelnika w bliżej nieokreślonym i wybranym środowisku. Moją powieść udostępniono urzędnikom literatury, lecz ukryto przed większością pisarzy. Nie udało mi się doprowadzić do otwartej dyskusji nad nią w sekcjach prozy, nie byłem też w stanie zapobiec nadużyciom i plagiatom”.

Tak się zaczyna lista „zakazów i prześladowań”, którą Sołżenicyn zestawiał na użytek Czwartego Zjazdu Pisarzy Sowieckich w maju 1967 roku. Jest więcej niż prawdopodobne, że właśnie jeden z egzemplarzy „tajnego” wydania policyjnego *Pierwszego kręgu* utorował sobie drogę zagranicę. W praktyce więc to sowieckie „organy bezpieczeństwa państwowego” udostępniły ogromną, liczącą siedemset pięćdziesiąt stron druku, powieść Sołżenicyna czytelnikom na Zachodzie.

W bratysławskim tygodniku *Kulturny Život* ukazał się pod

koniec marca zeszłego roku wywiad z Sołżenicynem, przeprowadzony w Moskwie i Riazaniu (gdzie „kontynuator realizmu rosyjskiego” uczy matematyki i fizyki w szkole średniej) przez pisarza słowackiego Pawła Liczko. Ta jedyna bodaj tak bezpośrednia wypowiedź Sołżenicyna o sobie samym i o swojej twórczości staje się szczególnie przydatna w chwili, gdy po *Dniu Iwana Denisowicza* i *Zagrodzie Matriony* docierają do naszych rąk dwie jego wielkie powieści: *Pierwszy krąg* i *Oddział chorych na raka**.

Urodził się w roku 1918 w Kisłowodsku, dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Rostowie nad Donem. W Moskwie studiował równocześnie matematykę i fizykę oraz historię, literaturę i filozofię. Ukończył studia tuż przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej. Obiecywano mu karierę uniwersytecką na wydziale matematycznym, ale ciągnęło go pisarstwo. Pierwsze próby pióra, odrzucone przez redaktorów, utonęły po latach w archiwach Łubianki. Powołano go do wojska wkrótce po wybuchu wojny. Chciał jako matematyk służyć w artylerii, skierowano go jednak w stopniu szeregowca do taborów konnych. Wreszcie zwrócił na siebie uwagę dowódców i został wysłany do szkoły oficerskiej artylerii, a stamtąd do pułku pomiarowego. Dosłużył się stopnia kapitana i dostał baterię. Brał udział w walkach pod Leningradem, w słynnej bitwie na linii Orzeł-Kursk, przez Białoruś i Polskę maszerował na Berlin. W styczniu 1945 roku, na odcinku frontu pod Królewcem, wezwał go do siebie dowódca dywizji generał Trawkin. Był blady, nie mógł ukryć zdenerwowania, zażądał od Sołżenicyna oddania pistoletu. Zaraz potem nastąpiło aresztowanie, połączone ze zdarciem dystynkcji oficerskich i odznaczeń bojowych. Trawkin zdołał jeszcze niepostrzeżenie uściśnąć mu na pożegnanie dłoń. „Aresztowano mnie za moją naiwność. Wiedziałem że w listach z frontu nie wolno zdradzać tajemnic wojskowych, ale sądziłem że wolno w nich myśleć. W listach do przyjaciela pisałem krytycznie o Stalinie, nigdy zresztą nie wymieniając go z nazwiska. Zamknięto mnie na Łubiance, skazano mnie bez procesu na osiem lat. Nie uważałem się za skazanego niewinnie, skoro to co myślałem i pisałem w listach było wówczas zbrodnią”.

Nie przeżyłby łagrów, gdyby nie przyszła mu w porę z pomocą matematyka. Był niezdolny do pracy fizycznej i do kompromisów z sumieniem. Przez pewien czas pracował pod Moskwą i w Moskwie na budowach. Któregoś dnia rozdano więźniom kwestionariusze do wypełnienia. W rubryce „specjalność” wpisał: matematyk i fizyk. Odesłano go do więziennego instytutu naukowo-badawczego, „instytutu na tak wysokim poziomie naukowym że każdy uczony z wolności czułby się zaszczycony pracą w nim”. Jako „więzień-matematyk” odsiedział w dobrych warunkach połowę wyroku, cztery lata. „To prawda że okno w celi było zakra-

* Tytuł oryginału *Rakowyj korpus*. Wydano dotąd, po rosyjsku i w przekładach, tylko pierwszy tom. Drugi jest zapowiadany.

towne i że nasza swoboda ruchów sprowadzała się do kilku minut porannego spaceru na dziedzińcu więziennym, ale nie dokuczał nam głód i nie zabijała nas praca. Ostatnie trzy lata wyroku spędziłem w wielkim zagłębiu górniczym w północnym Kazachstanie, tam narodził się *Dzień Iwana Denisowicza*. Był to obóz specjalny, w którym każdy skazaniec miał numer wypisany na czapce, na piersiach, na kolanach i na plecach. Pamiętam naturalnie mój numer: SC 232”.

W łagrze nauczył się murarki. Zwolniono go w lutym 1953 roku. 5 marca wyszedł po raz pierwszy na ulicę jako „wolny zesłańiec”: radio nadawało wiadomość o śmierci Stalina. W miejscowym urzędzie policji kazano mu potwierdzić własnym podpisem certyfikat „wiecznego zesłania”. Odmówił. W roku 1956 był wciąż jeszcze zesłańcem w aule tatarskim Kok-Tereń. Tam, w chwilach wolnych od pracy w szkole, napisał *Zagrodę Matryony*. Przed zwolnieniem z obozu poddał się operacji (lekarze, o czym nie wiedział, postawili diagnozę raka); na zesłaniu bóle wróciły, prawie umierający dowłókł się cudem do Taszkentu i został ponownie zoperowany. „Zrehabilitowano” go w roku 1957. Wyjechał na posadę nauczycielską do Riazania z manuskryptem *Dnia Iwana Denisowicza* w kuferku. „Wiem że rzeczą najprostszą jest pisać o sobie samym, ale wydawało mi się ważniejsze opisać losy Rosji. Ze wszystkich przeżytych przez nią tragedii najgłębsza była tragedia Iwanów Denisowiczów. Kiedy siedziałem w obozie, postanowiłem opisać jeden dzień w życiu więźnia. Tołstoj mawiał że całe życie Europy w ciągu wieków może posłużyć za kanwę do powieści, ale że może nią być także jeden dzień w życiu byle jakiego chłopca”.

Pracował nad *Pierwszym kręgiem* dziewięć lat, od roku 1955 do 1964. „Jaki gatunek literacki uważam za najciekawszy? Powieść polifoniczną, doskonale zakreśloną w czasie i przestrzeni, bez głównego bohatera. Jak rozumiem polifoniczność? Każda występująca postać staje się głównym bohaterem, gdy o nią ociera się akcja. W ten sposób napisałem już dwie powieści i zamierzam napisać trzecią”.

II

Jedną z tych dwóch powieści „polifonicznych” jest *Pierwszy krąg*. Tytuł pochodzi z *Boskiej Komedii*. Od razu na wstępie Lew Grigoriewicz Rubin, jedyny w powieści Sołżenicyna więzień wierny mimo wszystko partii i komunizmowi, tłumaczy towarzyszom niedoli nowoprzybyłym etapem z łagrow do *szaraszki* w dawnym zamku mawrińskim pod Moskwą: „Znajdujecie się jak przedtem w piekle, ale wznieśliście się do pierwszego kręgu, najwyższego i najlepszego. Pytacie co to jest *szaraszka*? Wymyślił ją, jeśli łaśka, Dante. Pamiętacie że Dantego dręczył problem gdzie ulokować mędrców starożytności? Obowiązek chrześcijanina nakazywał mu wtrącić tych pogan do piekła. Ale sumienie człowieka rene-

sansowego burzyło się w nim przeciw mieszaniu luminarzy z popolitymi grzesznikami, przeciw skazywaniu ich na męki fizyczne. Wymyślił więc dla nich specjalne miejsce w piekle. Mówi o tym czwarte *canto*". Wirgiliusz sprowadza Dantego do „pierwszego kręgu który opasa otchłań”, staje z nim „u podnóża zamku po siedmiokroć otoczonego murami i z siedmioma w murach bramami”:

*Dobry mistrz do mnie: „Nie pytasz
Czyjeż to duchy dane ci oglądać?
Chcę żebyś wiedział, zanim dalej pójdziesz,
Że nie grzeszyły; jeśli zasług pełne,
Nie starczy tego, bo chrzest ich nie dotknął,
Co bramą wiary jest w którą ty wierzysz.
A jeśli żyły przed wiekiem Chrześcijaństwa,
Nie czciły przecież Boga jak należy;
Wśród nich i ja tutaj przebywam.
Za takie skazy, nie za inne zbrodnie,
Zguba znaczone nam i ta tylko kara,
Że bez nadziei żyjemy w pragnieniu”.
Ścisnął mi serce wielki ból na owe słowa,
Ludzi tak światłych i tak znamienitych
Poznałem zawieszonych w limbie.*

Limbo, przedpiekle, jest ośrodkiem akcji powieści *Sołżenicyna*. Jak klamra zamyka ją scena, w której inny więzień mawrińskiej *szaraszki* Gleb Winkentycz Nerzin uprzedza grupę wyselekcjonowaną na etap powrotny do łagrów: „Nie, *szaraszka* nie jest piekłem. Do piekła jedziemy teraz. Do piekła wracamy teraz. *Szaraszka* jest pierwszym, najlepszym, najwyższym kręgiem piekła. Prawie rajem...”.

W laboratoriach w Mawrino pracuje, pod okiem nadzorców i ramię w ramię ze specjalistami „z wolności”, trzystu wybranych więźniów: matematyków, fizyków, inżynierów elektryków, teletechników, lingwistów. Ich życie w „pierwszym kręgu” sowieckiego piekła koncentracyjnego jest dokładnie takie jak we wspomnieniach osobistych *Sołżenicyna*: zakratowane okna w celach i w laboratoriach, swoboda ruchów ograniczona do codziennego krótkiego spaceru na dziedzińcu więziennym, pełny żołądek, praca nie tylko nie zabójcza lecz na wysokim poziomie specjalizacyjnym. „Prawie raj” dla więźniów, pamiętających okrutną śmierć na raty z głodu i wycieńczenia za drutami łagrów; a jednak piekło, nie mniej w gruncie rzeczy okrutne w swym wyrafinowanym znieczuleniu, dla tych samych więźniów pamiętających również że byli niegdyś mężami, ojcami i synami, że w coś wierzyli i do czegoś dążyli, że ich krokom nie towarzyszyły bezustannie czujne spojrzenia i kroki eskorty. W wypadku więziennego Instytutu w Mawrino torturę niewidzialną pogłębia jeszcze jego „specjalizacja”: na życzenie Stalina powierzono mu w styczniu 1948 roku zadanie stworzenia tajnego systemu telefo-

nicznego, opartego na kodyfikatorze dźwiękowo-słownym i przeznaczanego wyłącznie dla Władcy, tak aby nawet w razie podsłuchu nie można było zrozumieć tego co w rozmowach telefonicznych ma do powiedzenia podwładnym. Nad terminowym wykonaniem projektu czuwa Abakumow, prawa ręka Berii. Zgodnie z czasową zasadą powieści „polifonicznej” *Pierwszy krąg* rozgrywa się w całości, oczywiście nie bez nieuniknionych retrospekcji, w parodniowym wycinku między Bożym Narodzeniem 1949 a Nowym Rokiem 1950.

„Polifonicznie” też potraktowany jest długi korowód postaci. Ożywają kolejno tknięte przez akcję, po zamarkowaniu swej obecności w roli chwilowych protagonistów odchodzą na dalszy plan i tam czekają cierpliwie aż do następnego „wywołania”. Tylko o dwóch wątkach da się powiedzieć, że posiadają pewną ciągłość i konsystencję (zresztą względną, ostatni rozdział powieści ucina je gwałtownie i pozostawia nieznanemu losowi). Bohaterem jednego jest Wołodin, „wolny” urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który anonimowo z budki telefonicznej ostrzega starego moskiewskiego profesora medycyny przed groźącym mu ze strony NKWD niebezpieczeństwem, i zostaje wykryty i aresztowany dzięki postępom mawrińskiej „fonoskopii”, nowej techniki identyfikacji głosów poprzez analizę „fonoaspektów” z taśmy podsłuchowej. Bohaterem drugiego jest więzień mawrińskiej *szaraszki* Nerzin, przeżywający dramat rozłąki i nagłego „widzenia” z żoną Nadią. Reszta powieści to powolnie płynący strumień rozmów, dyskusji, reminiscencji, migawek z życia w Mawrino i w Moskwie, drobnych epizodów i incydentów w „pierwszym kręgu” więzienia specjalnego i w zewnętrznych rejonach wolności. Ale ten strumień, w którym przesuwa się przed oczami czytelnika galeria więźniów przemieszczanych z „wolnymi”, zawdzięcza właśnie swoją sugestywność zwolnionemu rytmowi opowiadania, jak gdyby zagęszczaniu i rozrzedzaniu na przemian zdarzeń i biografii ludzkich obramowanych przez powieść. Co w rzeczywistości zajmuje ledwie parę dni, zdaje się tu trwać wiecznie, bez początku i końca, ni to w ruchu ni w bezruchu. Koncentracyjne *limbo* „pierwszego kręgu”, zawieszone między dolnymi kręgami obozowego piekła a czyszcem wolności, splecione setkami więzów z już nieodwołalnie potępionymi i z wciąż jeszcze zabiegającymi o łaskę zbawienia, rozrasta się stopniowo pod piórem Sołżenicyna w koncentracyjne *universum* całej Rosji. W jakiś sposób *Pierwszy krąg* robi wrażenie „teologicznej” wizji stalinizmu. Jego rozwlekłość i monotonia wciągają stronicą za stronicą, są przemyślaną dokładnie procedurą artystyczną wytrawnego i znakomitego pisarza, a nie rezultatem braku panowania nad zbyt obfitym materiałem czy psychicznej potrzeby wyrzucenia z siebie wszystkich doświadczeń naraz. Nie zaskakuje wprowadzenie Stalina i Abakumowa we własnych osobach, chociaż wizerunki obu mają niewątpliwie (i może nieuchronnie) sporo rysów pamfletowych. Jak *Il Possente* w *Boskiej Komedii*, zwornikiem „teologicznej” konstrukcji w nieboskiej i nieludzkiej

komedii *Sołżenicyna* jest Wódz i Nauczyciel Ludzkości, Ojciec Narodów Wschodu i Zachodu.

Strukturze „teologicznej” stalinowskiego wszechświata koncentracyjnego odpowiada w powieści nieustanne wzajemne przenikanie się płaszczyzn opisu, przy ciągłej zmianie rejestrów pisarskich. Łagry, więzienia, *szaraszka*; „uprzywilejowani” więźniowie *szaraszki*, ich nadzorcy i prześladowcy; Moskwa, „wolni” krewni więźniów, „wolni” pracownicy i urzędnicy *szaraszki*, ich bliscy; mawrińscy dygnitarze, drżący przed Abakumowem w jego ministerstwie w Moskwie; Abakumow, drżący przed Stalinem na jego *daczy* pod Moskwą; samotny Stalin w pustce nocy. Spokojny, rzeczowy, drobiazgowy opis rozłożonego na minuty dnia powszedniego w Mawrino, bez wtrętów i komentarzy autorskich, równie suchy i przejmujący jak opis dnia Iwana Denisowicza; akompaniament bólu, gniewu, drwiny, ironii, sarkazmu lub cichej rozpacz, ilekroć drogi niewoli i wolności krzyżują się, łączą na chwilę i rozbiegają; niewypowiedziany na głos lecz narzucający się sam z nieodpartą siłą sąd moralny, gdy obraz jest gotowy i można go w pełni ogarnąć wzrokiem. Widać w tym istotnie ideał filozoficzny i literacki tradycyjnego „realizmu rosyjskiego”: pokazać rzeczywistość Rosji znaczy tyle, co zgłębić i osądzić jej życie moralne.

III

Więźniowie „pierwszego kręgu” mogą o sobie na pewno powiedzieć słowami czwartej pieśni *Boskiej Komedii*: „Bez nadziei żyjemy w pragnieniu”. Wzamian za to, paradoksalnie, są naprawdą wolni. „W ich duszach panował spokój. Była w nich nieskazitelność ludzi, którzy stracili wszystko”.

Ten motyw powtarza się w powieści *Sołżenicyna* często. W kategoriach niemal mistycznych spotykamy się z nim w dyskusji Nerżina z komunistą Rubinem: „Nie filozofowie Weda czy Samkhya ale ja, Gleb Nerżin, w piątym roku odsiadki kary wspiąłem się na ten szczybel rozwoju, z którego na zło zaczyna się patrzeć jak na dobro; ja osobiście wyznaję punkt widzenia, według którego sami ludzie nie wiedzą jakie są ich aspiracje. Spalają się w próżnej szarpaninie o garść dóbr materialnych, umierają nie poznawszy własnego bogactwa duchowego. Kiedy Lew Tołstoj marzył o pójściu do więzienia, rozumował jak prawdziwy jasnowidz obdarzony zdrowym życiem duchowym”. O tym samym, bez uciekania się do mistyki, mówi inżynier Bobynin w starciu z Abakumowem: „Mylicie się, obywatelu ministrze, sądząc że potraficie mnie do czegokolwiek zmusić! Nie pozostało mi nic, dosłownie nic. Żony i dzieci nie możecie mi już ruszyć: zabiła ich bomba. Moi rodzice nie żyją. Wszystko co do mnie na tej ziemi należy to chusteczka do nosa, kombinezon i bielizna bez guzików z wyposażenia państwowego. Wolność odebraliście mi dawno i nie jesteście w stanie mi jej zwrócić, zważywszy że nawet wy sami jej nie posiadacie. Mam czterdzieści dwa lata,

wlepiliście mi wyrok dwudziestopięcioletni, na robotach katorż-nych już byłem, chodziłem już dość po świecie ostemplowany numerkami, skuty i poganiany psami, wiem już co to karna brygada, czym jeszcze możecie mi grozić, czego jeszcze pozbawić? Postarajcie się zrozumieć i wyłożyć komu trzeba w górze, że jesteście silni o tyle tylko o ile nie zabieracie ludziom wszystkiego. Ale człowiek któremu odebraliście wszystko nie jest więcej w waszej mocy, jest znowu wolny”.

Stary profesor matematyki Czelnow, więzień o osiemnastoletnim „stażu”, od dawna wpisuje w formularzach w rubryce „narodowość” zeka (*zakliuczonnyj*) zamiast „Rosjanin”. Gdyż „takie są losy Rosjan”, zatarła się w nich granica między niewolą i wolnością. „Słyszeliście o Bierkałowie, starym inżynierze artylerii, wynalazcy wspaniałego działu BS-3? No więc Bierkałow siedział sobie tak jak wy teraz w celi *szaraszki*, cerował w niedzielę onuce. Wtem słysząc z otwartego głośnika radiowego: „Generał-porucznik Bierkałow, Nagroda Stalinowska pierwszego stopnia”. A przed aresztowaniem był tylko generałem-majorem. Takie dzieje. Bierkałow kończy cerować i zabiera się do smażenia frytek na maszynie elektrycznej. Wpada dozorca, zabiera mu maszynkę, trzy dni izolatora jak obszył. W tym samym momencie przybiega zdyszany naczelnik więzienia z krzykiem: „Bierkałow! Z rzeczami! Na Kreml! Do Kalinina!”. Ot wam i losy Rosjan”. Wieczorami wybuchają czasem w *szaraszce* spory „kiedy jest lepiej dostać się do mamra. Takie postawienie sprawy zakładało z góry, że nie można uciec przed więzieniem. (W więzieniu ludzie są na ogół skłonni wyolbrzymiać liczbę więźniów). Podczas gdy za kratami i drutami siedziało tylko dwanaście do piętnastu milionów, więźniowie byli przekonani że nikt już prawie nie został na wolności. „Kiedy jest lepiej dostać się do mamra” oznaczało: w młodości czy w starszym wieku? Młodszy dowodzili z zapalem, że lepiej w młodości: w więzieniu dowiaduje się człowiek zawczasu co to jest życie, co w nim jest drogocenne a co nawet funta kłaków nie warto”. Droгоценne jest przede wszystkim poczucie wolności wewnętrznej. Za kraty i za druty idzie się z tysiąca błahych i absurdałnych powodów, ale w rzeczywistości zawsze „za sposób myślenia”. Dlatego Nerżin w polemice z Rubinem broni swego spirytualizmu słynnym zdaniem Lutra *Hier stehe ich und kann nicht anders*, dodaje jednak po namyśle że chodzi mu o „odpoczynek w schronisku sceptycyzmu” i o „uwolnienie się od mentalności dogmatycznej”. Ta „mentalność dogmatyczna” to naturalnie sowiecka ortodoksja komunistyczna.

Wolni wewnętrznie, zatem jedyni których odwaga intelektualna nie zna żadnych hamulców i ograniczeń (poza trzymaniem się na baczności wobec rozszyfrowanych albo podejrzewanych donosicieli). *Szaraszki* takie, jak opisana przez Sołżenicyna w *Pierwszym kręgu*, były w latach stalinizmu ażylem dla ocalałej z pogromu części autentycznej inteligencji rosyjskiej. Debatowano w nich o rzeczach nietykalnych dla ludzi „wolnych”, nie cofając się przed „typowo rosyjskimi” kwestiami „pryncypialnymi”.

Rubin nie wierzy „osobiście”, po tym co przeżył i widział, w zasadę „cel uświęca środki”, ale jak — pozostawszy komunistą — nie zrobić wyjątku dla „środków rewolucyjnych” i podyktowanej koniecznością historyczną „dyktatury proletariatu”? „W całej historii ludzkości po raz pierwszy nasz cel jest tak wysoki, że wolno nam także usprawiedliwić środki zmierzające do jego osiągnięcia”. Jego antagonistą Sołogdin odparowuje: „Im szlachetniejszy cel, tym szlachetniejsze powinny być środki. Nieuczciwe środki niszczą sam cel”. Dla Rubina problem jest czysto polityczny, dla Sołogdina czysto moralny. W tym pojedynku „teleologicznym”, o którego sile i aktualności wśród inteligencji rosyjskiej wiemy niemało z pism Terca-Siniawskiego, cios decydujący zadaje Sołogdin: „Nie dopuszczasz zasady osobiście. Moralność nie powinna słabnąć w miarę swego rozprzestrzeniania się. Jeśli ty osobiście zabijasz czy zdradzasz, jesteś zbrodniarzem. Ale Wielki i Nieomyślny likwiduje pięć lub dziesięć milionów ludzi, i to uważasz za uprawniony całkowicie postęp”. W „teleologicznym” wszechświecie koncentracyjnym Wielkiego i Nieomyślnego „teleologia” jest dyscypliną uprawianą bez niedomówień tylko w „pierwszym kręgu” piekła.

Popularną w *szarazsce* postacią jest jej stróż, ślepnący chłop Spiridon. I on, choć rozmowom przysłuchuje się w milczeniu i rzadko chwytając ich sens, zachowuje tu godność wolności wewnętrznej. Ale wolny czuł się w gruncie rzeczy zawsze. „Powikłane życie Spiridona, jego bezustanne przechodzenie z jednej strony walczącej na drugą (bywał partyzantem „białym” i „czerwonym”, zaniósł go do Niemiec skąd wrócił z rodziną do Rosji), wszystko to nie było czymś więcej niż zwykłym instynktem samozachowawczym? Nie godziło się jakoś z prawdą tołstojowską, że na świecie nie ma ani sprawiedliwych ani winnych? W prawie wyłącznie instynktownych postępkach prostego chłopca nie dochodził przypadkiem do głosu uniwersalny system sceptycyzmu filozoficznego?”. Po ukazaniu się pierwszej książki Sołżenicyna zestawilem Iwana Denisowicza z Jegorem, otepiałym więźniem katorgi z opowieści Czechowa o Sachalinie. Spiridon jest bogatszy, bardziej też skomplikowany od „sprawiedliwej” bohaterki *Zagrody Matryony*. Nerżin, zafascynowany nim oddawna, wydobywa z niego enigmatyczną po chłopsku formułkę „sceptycyzmu filozoficznego”: „Pies ma rację, ludożerca nie”. Spiridon i Nerżin są zapewne razem najbliżsi autorowi *Pierwszego kręgu*. „Socjalizm etyczny” Sołżenicyna, tak znienawidzony przez ortodoksów stalinowskich w Moskwie, dałoby się sprowadzić do imperatywu moralnego Kanta: „Człowiek winien być traktowany jako cel sam w sobie”. I w niejednym skoligacić ze *Światopoglądem i życiem codziennym* Kołakowskiego.

IV

Mistrzostwo Sołżenicyna, jego klasę pisarską, widać ilekroć wychodzi się za mury zamku w Mawrino. Odwracają się perspe-

ktwy: ciasna i zamknięta *szaraszka* więzienna jest duchowo otwarta i szeroka, otwarty i szeroki świat wolności jest duchowo ciasny i zamknięty. Więźniowie są wolni, bo „odebrano im już wszystko”; ludzie pozornie wolni są w istocie więźniami, bo można ich jeszcze czegoś pozbawić. To odwrócenie perspektyw ma dwa aspekty, tragiczny i ironiczny.

Pierwszy odślania się, gdy mowa o krewnych więźniów. „Wizyty krewnych u więźniów przywodziły na myśl płaskorzeźby na nagrobkach w starożytnej Grecji, gdzie przedstawiano zmarłego i tych którzy mu wystawili pomnik. Na nagrobkach była zawsze cienka kreska, oddzielająca zaświaty od tego świata. Żywi spoglądali z czułością na zmarłego, zmarły patrzył w stronę Hadesu, patrzył wzrokiem ani zadowolonym ani smutnym, lecz przezroczystym, wzrokiem który wiedział zbyt wiele”. Wzrok więźniów wie bardzo dużo, ale na ogół nie wie ile cierpienia i udręki kryją spojrzenia siedzących naprzeciw „wolnych” krewnych. Nie wolno wspomnieć o niczym, co naruszałoby przepisy dozwolonego prawem raz w roku półgodzinnego „widzenia” konwencyonalnego. Wytrwanie w wierności uwięzionym oznacza tam, na wolności, konspirację uczuć a nawet rzeczywistego stanu rodzinnego. Wstrząsająca jest scena spotkania Nerzina z żoną, ze skurczem gardła czyta się opis jej rozpaczliwie samotnego i zakamuflowanego życia w internacie studenckim. W poczekalni więziennej, tuż przed „widzeniem”, Nadia wdaje się w rozmowę z żoną innego więźnia. „Łatwo było kochać w dziewiętnastym wieku! Żony dekabrystów dokonały może czegoś nadzwyczajnego, postępując tak jak postępowały? Oddziały kadr wzywały je do ciągłego wypełniania formularzy? Były może zmuszone do zatajania z kim są zamężne, jak gdyby chodziło o zarazę? Musiały może tak robić aby nie stracić pracy, aby im nie wydarto jedynych pięciuset rubli na miesiąc? Bojkotowano je w miejskich spółdzielniach mieszkaniowych? Na podwórzu, koło studni, słyszały może jak je za plecami szeptem nazywano wrogami ludu? Matki i siostry zaklinały je może na wszystkie świętości, by wystąpiły o rozwód?”. Nad Nadią „wisało żałosne przeznaczenie wszystkich żon więźniów politycznych, czyli żon wrogów ludu: do kogokolwiek się zwracały, gdziekolwiek się udawały, wszędzie gdzie wiedziano o ich nieszczęsnym małżeństwie, wlokły za sobą krok w krok niezatartą hańbę mężów, w oczach wszystkich dzieliły brzemień winy tych strasznych przestępców którym niegdyś lekkomyślnie zawierzyły swój los; i zaczynały naprawdę czuć się winne, w *przeciwieństwie* do swych mężów, wrogów ludu którzy tyle wycierpieli i nie czuli się winni”. Tak, cienka kreska oddziela zmarłych od ich najdroższych, więzienne zaświaty od wolnego świata. Ale inaczej, niż w greckich płaskorzeźbach cmentarnych. Tu umarłymi za życia są „wolni”, a wciąż jeszcze żywymi w swych grobach więźniowie. Za kratami i drutami nie ma potrzeby ukrywać lub wypierać się jedynej ziemskiej własności serca, przenoszona przez wszystkie rewizje i kontrole aż do dnia w którym cienka kreska pęka ostatecznie.

Cienka linia — w odmienny, ironiczny sposób — dzieli również więźniów od strażników i twórców mechanizmu który ich więzi, eksploatuje i uciska. Duszą (z braku lepszego określenia) tego mechanizmu jest spiralny ruch wstępujący strachu. Boją się wszyscy, od najmniejszego „wolnego” urzędnika w *szaraszce* do Stalina na szczycie piramidy; wszyscy posuwają się skrajem przepaści, wpatrzeni w czyhającą zewsząd zgubę. Laborantka Si-moczka igra z ogniem, nie mogąc opanować swej miłości do więźnia Nerzina. Obu czekistów „pierwszego kręgu” dławi niepewność, czy zdołali aby na czas wytropić „tajemne machinacje wroga”. Inżynier Rojzman, kierownik jednego z laboratoriów, budzi się w nocy zlany potem na wspomnienie użytego świeżo w prasie „zatrutego słówka kosmopolita” („wspaniałe dumne słowo, którym niegdyś szczycili się Dante, Goethe, Byron, wyblakło, zmarszczyło się, zachrypiło i zaczęło oznaczać Żyda”). Naczelnik *szaraszki* pułkownik Jakonow błąka się nocą po opustoszałej Moskwie, przekonany że nic go już nie uratuje od łagrów. Jego zwierzchnicy w ministerstwie z takimi samymi myślami przyjmują pokornie, w postawie na baczność, potok *rugatielstw* Abakumowa. Abakumow, „ten człowiek rosty, silny i stanowczy, trząsł się ze strachu za każdym razem gdy szedł na audiencję do Stalina, bał się nie mniej niż obywatele sowieccy wytrąceni ze snu nocnymi krokami na schodach”.

Świetny jest punkt kulminacyjny audiencji Abakumowa u Stalina. Stalin napomyka o „zaostrozaniu się walki klasowej”. Abakumow: „Rozumiemy, Josif Wissarionowicz. My (mówił za całe ministerstwo) rozumiemy bardzo dobrze: zaostrzy się walka klasowa. Wobec tego, Josif Wissarionowicz, łatwo sobie przedstawić do jakiego stopnia wiąże nam ręce zniesienie kary śmierci. Bijemy głową o mur od przeszło dwóch lat: nie można rejestrować rozstrzeliwanych, trzeba redagować wyroki w dwóch różnych wersjach, w budżecie bigos nieopisany, bo nie wolno odnotowywać w rachunkowości sum wypłacanych egzekutorom. Na domiar złego nie ma czym w łagrach straszyć więźniów! Kara śmierci jest nam koniecznie potrzebna! Josif Wissarionowicz, zwróćcie nam karę śmierci!!!”. Stalin przytakuje z aprobatą: „Zwrócę wam karę śmierci wkrótce. Będzie to dobry środek wychowawczy”. Nazajutrz po wojnie zniósł karę śmierci żeby przypodobać się Zachodowi, teraz żałuje swego impulsu. Wie bowiem z doświadczenia jako mąż stanu i przywódca: „Ani degradacja, ani prześladowanie bez granic, ani dom wariatów, ani dożywocie w celi więziennej, ani łagry czy zsyłka nie załatwiają należycie problemu bezpieczeństwa; tylko śmierć jest porachunkiem pewnym i definitywnym”. Nagle rzuca z ukosa drwiące spojrzenie na Abakumowa: „A ty nie boisz się, że cię pierwszego rozstrzelamy?”. Pod zagadniętym uginają się kolana, z pobielałych warg wydobywa się bełkot: „Josif Wissarionowicz! Jeśli zasługuję... Jeśli to konieczne...”. Stalin wpada w zadumę. Oddawna wypróbował stary sekret popularności: spuszczać co jakiś czas ze smyczy oprawców, a potem odcinać się od ich nadmiernej gorliwości,

od ich *gołowokrużenia*, obcinając im samym wierne łby; przyjdzie kolej i na Abakumowa... Odprawia go z życzliwym uśmiechem: „Słusznie! Kiedy na to zasłużysz, rozstrzelamy cię”. Ale, by stało się do końca zadość prawom spiralnego ruchu wstępującego strachu, „im więcej ludzi pozbawiał życia, tym częściej i gwałtowniej drżał o własne”.

Tylko jeden człowiek „wolny” wyrwa się w powieści Sołżenicyna z tej spirali, młody dyplomata Wołodin. „Dawniej prawda Wołodina polegała na tym, że życie dane nam jest raz; obecnie, gdy owaładnęło nim nowe dojrzałe uczucie, odkrył w sobie i w świecie nową prawdę że także sumienie dane nam jest raz”. Jest już jednak osaczony, czeka na aresztowanie. Nad bramą dantejskiego piekła więzień i łagrów stalinowskich autor *Pierwszego kręgu* mógłby umieścić napis: „Porzućcie wszelką nadzieję, i radujcie się z odzyskanego sumienia, wy którzy tu wstępujecie”.

V

Z licznych uwag o literaturze, rozsianych mimochodem w powieści Sołżenicyna, dwie wystarczą dla zilustrowania jego stanowiska. W jednej mowa o pisarzach oficjalnych, „władcach umysłów”, którzy w pięknie urządzonej *daczach* pod Moskwą całą swoją wiedzę o życiu czerpią ze słuchania radia i z wpatrywania się w grządki pod oknami: „Byle kołchoźnik półanalfabeta zna życie grubo lepiej od tych mędrców pozujących na nieomyłne wyrocznie”. W drugiej zapewnia się, że „wielki pisarz jest w swoim kraju jakby dodatkowym rządem, i dlatego żaden ustrój nie lubił nigdy wielkich pisarzy lecz tylko przeciętnych”. W wywiadzie Pawła Liczko z Sołżenicynem znajdujemy podobne twierdzenie: „Nasze czasy, w których technika zapanowuje nad życiem, w których dobrobyt materialny uważany jest za rzecz najważniejszą, w których wszędzie słabnie wpływ religii, nakładają na pisarza bardzo szczególne obowiązki, zmuszają go do zajmowania wielu opróżnionych miejsc”.

W miesięczniku *Grani* wydrukowano w ubiegłym roku dość ciekawy szkic *Sołżenicyn i misja duchowa pisarza*, przysłany z Rosji pod pseudonimem. Jego autor (Błagow) czuje się uprawniony — co jest znamienne jako wyraz poglądów pewnego środowiska rosyjskiego — do zaproponowania paru generalizacji na marginesie *Dnia Iwana Denisowicza*. Pierwsza książka Sołżenicyna wydaje mu się nie tyle pamiątnikiem czy zbeletryzowanym dokumentem, co poematem, nowoczesną *byliną*, dawno oczekiwanym i upragnionym zejściem sztuki rosyjskiej do piekieł. A twórca Iwana Denisowicza urasta w jego oczach niemal do miary pisarza religijnego, który w świecie wyzutym z wolności, odpowiedzialności moralnej i wrażliwości na cudze cierpienia wzięł na siebie misję przywrócenia straskanego ogniwa między „objawieniem” (w zastępczej postaci literatury) i życiem duchowym człowieka.

Choć w tych wywodach tkwi sporo racji, po lekturze *Pierwszego kręgu* nie ma potrzeby posuwać się aż tak daleko. „O więzieniach i łagrach sowieckich pisać się będzie jeszcze osiemdziesiąt lat” — powiedział Leonid Leonow w rozmowie z Mihajlovem. Sołżenicyn zrozumiał że świat który z nich i *dokoła* nich powstał w Rosji jest załącznikiem innej Rosji, czymś w rodzaju realnego państwa w państwie legalnym, źródłem nieodwołalnych ocen moralnych i politycznych. To właśnie wyznacza dziś *jemu same-mu* w Rosji rolę „wielkiego pisarza, który jest w swoim kraju jakby drugim rządem”. De Custine orzekł blisko półtora wieku temu w *Listach z Rosji*, że rezygnacja rządzonych jest siłą rządzących. Sołżenicyn, „z ręką na sercu” przysięgający na posiedzeniu sekretariatu Związku Pisarzy Sowietkich że „nigdy nie zrezygnuje z kontynuowania realizmu rosyjskiego”, jest zaprzeczeniem rezygnacji rządzonych w postalinowskiej Rosji. „Jego utwory” — zauważył Surkow na tym samym posiedzeniu — „są dla nas o wiele bardziej niebezpieczne od utworów Pasternaka; Pasternak był człowiekiem oderwanym od życia, Sołżenicyn natomiast ma temperament żywy, wojowniczy, ideologicznie zdecydowany”. Bardziej czy mniej „niebezpieczny”, *Pierwszy krąg* zasługuje z pewnością na postawienie obok „oderwanego od życia” *Doktora Żiwago*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Widziane wprost

„Miał smutne, wzgardliwe oczy człowieka odpowiedzialnego za nieswoje winy”.

(Tyrmand, *Życie towarzyskie i uczuciowe*)

Nową powieść Tyrmanda czyta się najpierw — mimo rozmia-rów — jednym tchem, a później nachodzą człowieka refleksje, z którymi trudno się uporać. „*Przedziwny koncentrat idealizmu z ironią*” — mówiąc słowami samego Tyrmanda. Przewidująca wszystkie argumenty w świecie ironia człowieka przekarmionego „ideami”, a ginącego z głodu chleba (lekka przenośnia), sprawiedliwości i pewnego gruntu pod nogami, nie powinna zostawić żadnej świętości w stanie nienaruszonym — tymczasem ów głód wyzierający z książki z natręctwem gołych pięt z podartych skarpetek jest właśnie jakiś święty, naiwny. Można by też rzec — heroiczny, bo autor decyduje się na tę naiwność świadomie. Cytat — (będzie ich więcej — prawie każde zdanie Tyrmanda nadaje się na cytaty, z czego nawet można ukuć zarzut) — „*Zauważył dawno, że człowiek obwieszczający swe krzywdy rze-*

czywiste uważany jest tylko za nudziarza, którego wszyscy unikają, zaś głoszący swe krzywdy nieistniejące przy skrywanej świadomości, że naprawdę nie jest tak źle, wszędzie jest mile widziany i cieszy się powszechnym współczuciem”.

Ta samowiedza jest pierwszą trudnością, na jaką nadziewa się recenzent, nie wiadomo bowiem dokładnie z kim się „porać” — z autorem, z rzeczywistością, czy z własnym tzw. widzeniem świata? Ponieważ nie mogę pisać długiego studium, decyduję się na luźne, doskakujące notatki z lektury — nie przez kokieterię, lecz z uczciwości wobec autora.



Spróbujmy się najpierw uporać z „faktami wyjściowymi” tej książki. Czas akcji — rok 1963; miejsce — Warszawa; środowisko — „środowisko”, czyli owa dość okropna zbieranina artystów, dziennikarzy, hochsztaplerów, dygnitarzy średniej rangi, pań różnej rangi i architektów, stanowiąca współczesne górne dziesięć tysięcy PRL. „Wszyscy współżyli ze sobą na zasadzie ciasnoty i wzajemnego przylegania do siebie” — oraz: „cechą charakterystyczną towarzyskich zebrań była wzorzysta mozaika powiązań seksualnych: prawie każdy pan miał coś wspólnego z prawie każdą panią”.

Akcja główna (część pierwsza i trzecia powieści) obejmuje kilka miesięcy między dwiema podróżami służbowymi („prawdziwymi” — tzn. na Zachód) naczelnej postaci — karierowicza-dziennikarza Andrzeja Felaka. Pandemonium intryg i kontrintryg z udziałem kilkudziesięciu postaci („każda inna” — jak na kopertach ze znaczkami dla początkujących filatelistów — i każda obficie obrzucona charakteryzującymi i charakterystycznymi sytuacjami) oplata ciasno wątek dynamiczny, tzn. projektowaną podróż Felaka w toku załatwiania (słowo „załatwiać” ma w tej powieści — w tym życiu? — charakter metafizyczny: „*Wszystko jest do załatwienia*”; sukces zależy od techniki ustawienia żagli). Zauważmy, że ta podróż jest traktowana przez wszystkich — łącznie z autorem — jako rodzaj dobra absolutnego i celu samego w sobie: czemu nikt się nie dziwi. Ubóstwo życia obiektywizowało się w nową skalę wartości, sankcjonującą dziecinność. Jest to jedno ze źródeł wspomnianej wyżej naiwności. Do kogo wnosić pretensje?

Wątkiem kontrapunktowym są dzieje Mikołaja, przyjaciela (?? — czy Naphta i Settembrini byli przyjaciółmi?) Andrzeja Felaka. Gnębiony przez system i zgnębiony systemem Mikołaj jest dość niedwuznacznym *porte-parole* autora. „*Męczyła go obsesja godności, wykrzywiająca się łatwo w urażoną wrażliwość*”. Romans z żoną przyjaciela nie stanowi dla niego problemu moralnego: czemu nikt się nie dziwi. Ewolucja kodeksu czynów honorowych — ilość przeszła w jakość.

Narracja głównego biegu zdarzeń przerwana jest retrospektywną częścią drugą powieści, w której opowiada się dzieje kariery

bohatera negatywnego i z której dowiadujemy się, skąd się wzięły i co porabiały postacie drugoplanowe od roku 1946 na tle tzw. sytuacji ogólnej.



Nie wydaje mi się, by powyższa prezentacja była dobra. Materia fabularna książki jest tak gęsta, że klasyczne wypruwanie wątków (!) wydaje się czymś nie na miejscu — barbarzyńską pedanterią lub pedantycznym barbarzyństwem. Urok książki polega na nieprzerwaności „strumienia rzeczywistości” — pędzi on od pierwszej do ostatniej strony na tyle rwąco, by zatrzeć zarówno sceny kluczowe (rozmowa Andrzeja z ubekiem, rozmowa Mikołaja z Lewinsonem — charakterystyczne, że są to zawsze rozmowy!) jak i mielizny (dla mnie najprzykrzejsze są w tej książce liczne „kontrasty”, robione jak w pierwszych filmach: czuły telefon do męża z łóżka kochanka, etc. Ma to swój urok, ale na innym poziomie odbioru — tu psuje nastrój autentyzmu).



Pierwsze wrażenie: niewyważonej konstrukcji, ustępuje przy ponownym czytaniu zarzutowi odwrotnemu: wszystko zazębia się o wszystko — jak w marksistowskiej dialektyce. Brak życiowego luzu i jałowych biegów. Złośliwi powiedzą: jak w „Tajemnicach Paryża”! Zgęszczenie celowych postaci i celowych sytuacji stwarza jakąś rzeczywistość nierealną, „przesadną”, która jednak równocześnie siedzi tak mocno w perelowskich realiach, że autor zostanie pomówiony (już został pomówiony!) o paszkwil. (Przyjmijmy za dobrą monetę zapewnienie autora — modne ostatnio właśnie w powieściach z kluczem — że „wszystkie postacie tej książki, etc.”; to *who is who* jest nieistotne wobec autentyzmu atmosfery). Nie wiem dokładnie co znaczy określenie „umieć pisać”, ale wiem na pewno, że autor umie to o czym pisze jak nikt poza nim. Syntetyczne opisy miejsc i postaci („*Zakopane charakteryzowała niebywała ilość opalonych na czekoladowo, potężnie zbudowanych blondyn w ogromnych futrach, specjalny gatunek współczesnych Walkirii*” — i w ogóle *passim*) sprawiają fizyczną przyjemność (ma się ochotę zacierać ręce, lub coś w tym stylu). Rozkosze kibica bez kondycji na mistrzowskich rozgrywkach! Powie ktoś — na literaturę to za mało!; być może, powiem ja, ale tak szczerze przylegającej do rzeczywistości PRL książki jeszcze nie było. Poza „Złym” — który był jednak i pastiszem, co osłabiało efekt patrzenia wprost.



Nie trudno oczywiście o eleackie i eleganckie paradoksy, że to co jest najmocniejszą stroną książki (owo przyleganie) jest jej brakiem: bo jaką wartość czysto artystyczną (w znaczeniu wzbogacenia ludzkiego świata *tout court*, bez podziału bytu na realny

i „intencjonalny”) ma utrwalenie i tak już istniejącej (i dobrze znanej co najmniej 32 milionom) codziennej rzeczywistości? (Tyrmand oczywiście zna i ten problem: *„Ogarnęła go melancholia nikomu niepotrzebnych, nikogo nie ciekawiących meczów piłkarskich na prowincji, bezsensownie wypełnionych zaciętą kopanią dla nikogo”*).

Żeby wyjść z umownego koła retorycznych — a więc nieco dętych — pytań, stwierdźmy od razu, że ta książka, jakby nadpęknięta wzdłuż styku idealizmu i ironii jest przede wszystkim skargą. Skarga zawsze zawiera jakąś prawdę.



Prawd Tyrmanda jest wiele rodzajów — ale wbrew podejrzanej łączywości, z jaką w powieści wciąż mowa o różnych błyskotkach (te „międzynarodowe lotniska” i „lunche w transkontynentalnych samolotach”!!) — (po namyśle drugi nawias: zresztą, czemu nie?!) — nie trudno doszukać się prawdy zasadniczej: goryczy upokorzenia.

Scenka ze str. 114:

„— Pan skąd? — zagadnął Amerykanin łamaną niemczyzną.

— Z Polski — odparł Andrzej przyjaźnie.

— Aha — kiwnął głową Amerykanin — pan komunista.

— Jestem Polakiem — rzekł Andrzej, i coś z poniżającej prośby zadrgało mu w głosie.

— To dziś to samo — rzekł Amerykanin. Dopił piwo, kiwnął mu głową i wyszedł”.



Gombrowiczowski Polak „niższy”, świadom swojej „niższości”, ale świadom też, że na żadną siłę jej nie przekuje: bo brak mu kryteriów „ogólnoludzkich”, bo świat ten jest zamknięty i umowny. *„Było prowincjonalnie i groźnie”* — powiada w pewnym miejscu autor. Obsesja prowincji, meczu, nie ciekawiego nikogo”. Co uderza w tej książce — i co wydaje mi się najprawdziwsze i najsmutniejsze — to poczucie, że wszyscy sobą nawzajem gardzą. Ta pogarda jest m.in. źródłem owych „obowiązujących reguł zdawkowości i bagatelizującego fasonu, wyszlifowanych przez lata średnio-europejskiego bytu kawiarnianego” — na tle których słowa „rozpacz” i „sumienie” — niewypowiedziane, lecz wciąż w książce obecne — wypadają naiwnie.



Tyrmand-technik i Tyrmand-moralista. *„Siły głupoty poddane zostały dzisiaj zabiegowi organizującemu, którego precyzja gwarantuje ich funkcjonowanie i eliminację ich przeciwników”*.

Walka zostaje więc zredukowana do konspiracji jednoosobowych. Mikołaj: *„Ja mam tylko dwa obowiązki. Wobec prawdy o przemocy sił wyzwolonych przez ludzką głupotę. To raz. A dru-*

gi wobec siebie samego. Nie chciałbym doczekać chwili, w której musiałbym sobie powiedzieć, że sprzeniewierzyłem się temu co uważam za słuszne i klawe”.

Moralność jednostkowa, indywidualne sumienie jest jedyną wartością realną, jaka pozostała w świecie, gdzie równość szans („*bo w ogóle nie ma równych szans!*”) ustąpiła miejsca powszechnej dostępności brudnych chwytów. Ostatecznym miernikiem człowieka staje się jego charakter — „klasa faceta”, pojęcie moralno-techniczne, dalej już nierozkładalne. Myślę, że tyrmandowy podział na *bad guys* i *good guys* wynika nie z „prymitywizmu patrzania” (autor daje wystarczające dowody znajomości różnych labiryntów), lecz z konsekwentnego stosowania jednego tylko kamienia probierczego — uczciwości, wyrastającej (lub nie) z owej nierozkładalnej pestki charakteru. Ponieważ jego bohaterowie bezustannie poddawani są próbom, polaryzacja jest nieunikniona. Ludzie u Tyrmanda wydają się predystynowani do swoich dalszych losów i ich reakcje są przewidywalne. Wobec tej przewidywalności akcja, *story*, odsuwa się na plan dalszy — momentem naprawdę pasjonującym autora jest wyszukiwanie coraz to nowych, nieprzyszpilonych dotychczas okazów, różniących się od znanych i skatalogowanych jedynie bardziej finezyjnym wykresem skrzydełek lub niezauważonymi dotychczas plamkami na odwłoku. Jako doświadczonego entomologa pociągają go szczególnie owe dwuznaczne tereny demokratycznego *savoir-survivre*, gdzie różnica między unikiem a świństwem jest czasem jedynie kwestią odcieni. Trzeba nielada wiedzy technicznej, by uporać się z klasyfikacją; ta wiedza prezentowana jest w książce z tak bezinteresowną miłością szczegółu, wręcz pedanterią, że przywodzi na myśl pieczołowite dziewiętnastowieczne „ilustracje”. Może to właśnie jest formułą tych „Tajemnic Warszawy”: dziewiętnastowieczna pasja do mechaniki (por. np. tytuły książek Andrzeja: celność pastiszu tej „Pikielhauby z plexiglasu” jest piękna doskonałością wzoru matematycznego!) plus dwudziestowieczne rozczarowania?



Mieroszewski zauważył kiedyś, że komunizm jest reakcyjny dlatego, że aktualizuje w dwudziestym wieku problemy dziewiętnastowieczne. Jeżeli każda akcja wywołuje równą sobie reakcję (w tym wypadku nazwy te należałoby odwrócić), to czy przymiotnik „dziewiętnastowieczny” jest komplementem czy obelgą?



Recenzję (?) tę kończę z poczuciem źle spełnionego obowiązku wobec czytelników, nielojalności wobec autora (tyle jeszcze byłoby do mówienia!) i niewyzyskania tematu. Ta książka obywatelna bezradnością wobec skłębionej rzeczywistości, „przedziwną sztuką” ewokowanej przez Tyrmanda.

Piotr MEYNERT

Nadeślane nowości wydawnicze

- GRUBER (Henryk). *Wspomnienia i uwagi* (1892-1942). Str. 574 z indeksem nazwisk. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1968). *Rok Dmowskiego w Ameryce*. Str. 180. (Wyd. Adam Gawlikowski, Nowy Jork, 1968).
- Sprawozdanie z obchodów Tysiąclecia Polski w Argentynie*. Str. 27. (Wyd. Komitet Obchodu Tysiąclecia, Buenos Aires, 1968).
- TIGRID (Pavel). *Le printemps de Prague*. Str. 280. (Wyd. Ed. du Seuil, Paryż, 1968).
- WYRWA (Tadeusz). *Le modèle polonais de l'Entreprise socialisée*. (Problèmes de gestion sociale). Str. 306. (Etude effectuée dans le cadre de la VI^e Séction de l'Ecole Pratique des Hautes Etudes. Facultés des Lettres et des Sciences Humaines, Sorbonne-Paris, 1968).
- GREENE (Victor R.). *The Slavic Community on Strike. Immigrant Labor in Pennsylvania Anthracite*. Str. 203. (Wyd. University of Notre Dame Press, Notre Dame, Ind. USA, 1968, cena dol. 6,95).
- CIOŁKOSZ (Adam). „*Anti-Zionism*” in *Polish Party Politics*. Str. 8 (dwukolumnowych). (Odbitka z No 3, Vol. XXII „The Wiener Library Bulletin”, Summer 1968, London).
- PASZKOWSKI (Lech). *Charles Darwin and Strzelecki's Book „Physical Description of New South Wales and Van Diemen's Land”*. Str. 246-250. (Odbitka z „Australian Zoologist”, Vol. XIV, Part 3, 1968).
- SYMMONS - SYMONOLEWICZ (Konstantin). „*The Polish Peasant in Europe and America: Its First Half-a-Century of Intellectual History (1918-1968)*”. Str. 16. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. XIII, No 2, Spring 1968, pp. 14-27, New York, N.Y.).
- STALIŃSKI (Tomasz). *Am Abgrund der Macht*. Roman. Str. 360. Przekład z polskiego Wandy Brońskiej. (Wyd. Verlag Kurt Desch, Monachium, 1968).
- GUZY (Piotr). *Kurzer Lebenslauf eines positiven Helden*. Przekład z polskiego Rolfa Leitnera. Str. 220. (Wyd. S. Fischer Verlag, Frankfurt am Main, 1968).
- TERZ (Sinjawski) (Abram). *Gedanken hinter Gittern*. Str. 110. (Wyd. Paul Zsolnay Verlag, Wien/Hamburg, 1968).
- TERZ (Abram). *Phantastische Geschichten*. Sämtliche Erzählung. Str. 351. (Wyd. Zsolnay Verlag, Wien/Hamburg, 1967).
- TERZ (Abram). *Chithaintha Kanavu* (The makepeace experiment). Str. 223. W języku tamil. (Wyd. Jothi Nilayam, Madras, November, 1967).
- POŁOŃSKA-WASYŁENKO (Natalia). *Zaporożia XVIII Stolittia ta joho spadszczyna*. T. II. Str. 247 i 1 nlb. (Wyd. „Dniprowa Chwyła”, Monachium, 1967).
- GOLDELMAN (Sołomon I.). *Żydiwska nacjonalna awtonomia w Ukraini 1917-1920*. Str. 138 i 2 nlb. Zapysky Naukowoho T-wa im. Szewczenka. Tom 182 Praci Istoryczno - Filozoficznoji Sekcji NTSz. (Wyd. „Dniprowa Chwyła”, Monachium, 1967).
- HAŁAN (Anatol). *Newyhadane* (Opowiadania). Str. 318 i 1 nlb. (Wyd. Julian Serediak, Buenos Aires, 1967).
- VALENTA (Jaroslav) VASAK (Cestmir). *Hodina Ypsilon*. Str. 214. (Wyd. MNO, Praga, 1967).
- UCHNAWIEC (Janka). *Kalumby*. Poemy. Str. 40. (Wyd. Usiebiefarskaha Archiwu, New York, 1967).

DATA	POLITYKA
15-8-68	Prezydent i pierwszy sekretarz rumuńskiej partii komunistycznej Ceausescu przybył z wizytą oficjalną do Pragi. Przed odlotem z Bukaresztu oświadczył on, że liczy na pomoc Czechosłowacji, jeśli by pozostałe państwa Układu Warszawskiego zaostrzyły bojkot Rumunii.
16-8-68	Rząd NRF studiuje propozycje Ulbrichta w sprawie „normalizacji stosunków między dwoma państwami niemieckimi”.
17-8-68	Oddziały Wietkongu i Północnego Wietnamu podejmują 18 ataków w różnych częściach Południowego Wietnamu. Zdaniem rzecznika armii amerykańskiej jest to wstępem do trzeciej ofensywy komunistycznej.
18-8-68	Federalne wojska nigeryjskie podejmują generalne natarcie na główne pozycje wojsk plemienia Ibu w Biafrze.
19-8-68	Były amerykański minister Obrony Robert McNamara zaapelował do Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego by położyły kres wyścigowi zbrojeń nuklearnych.
20-8-68	Trzej przywódcy sowieccy Breżniew, Kosygin i Podgorny przezwali urlopy by wziąć udział w nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Centralnego w sprawie Czechosłowacji.
21-8-68	Wojska Układu Warszawskiego wkraczają do Czechosłowacji.
22-8-68	Zachodnioniemiecki min. Spraw Zagranicznych Brandt oświadczył, że wydarzenia w Czechosłowacji nie wpłyną na zmianę polityki Bonn zmierzającej do poprawy stosunków z Europą Wschodnią.

KULTURA I NAUKA

Według ankiety *Głosu Pracy* w której wzięło udział 275.000 ludzi najbardziej popularną książką współczesną w Polsce jest „Po burzy jest pogoda” E. Paukszty.

Doroczny zjazd Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych, odbywający się na Uniwersytecie Duquesne w Pittsburghu w dniach od 13 do 17 sierpnia, nadał swą roczną Nagrodę Kulturalną red. Arturowi L. Waldo.

Komisja rehabilitacyjna na wydziale filozofii Uniwersytetu Karola w Pradze uniewinniła ze wszystkich zarzutów 28 osób, w tym 4 pośmiertnie. Żyjącym zaproponowano powrót na zajmowane poprzednio stanowiska naukowe.

Wielu księży katolickich i wiernych w Anglii publicznie nie zgadza się z encykliką papieską „*Humanae Vitae*”.

RÓŻNE

Biskup Sufragan diecezji tarnowskiej Karol Pękała utonął w morzu Czarnym na wybrzeżu bułgarskim, w czasie kąpieli.

W Bogocie rozpoczęły się obrady 39 Kongresu Eucharystycznego z udziałem Papieża.

Księża brazylijscy postanowili zorganizować ruch „nacisku wolnościowego bez gwałtu”.

2.581.876 ton bomb zrzucono w Wietnamie od lutego 1965 do lipca 1968, w czasie 107.700 raidów lotniczych.

Generał Eisenhower miał siódmy atak serca i przebywa w szpitalu.

Zmarł w Kołobrzegu Marian Rojek, delegat Rady Polonii Amerykańskiej na Polskę.

Polski tygodnik *Forum* opublikował pełny tekst odpowiedzi przywódców Czechosłowackich na „list warszawski” pięciu państw Układu Warszawskiego.

DATA	POLITYKA
23-8-68	W Waszyngtonie ogłoszono, że plany spotkania prezydenta Johnsona z premierem Kosyginem zostały odroczone na okres nieokreślony.
24-8-68	Do Moskwy przybyli przywódcy państw biorących udział w inwazji Czechosłowacji: Gomułka, Ulbricht, Kadar i Žižkov, by zatwierdzić „porozumienie” zawarte między przywódcami czechosłowackimi i sowieckimi.
25-8-68	Francja przeprowadziła doświadczalny wybuch swej pierwszej bomby wodorowej.
26-8-68	Stany Zjednoczone zapewniły Jugosławię, że nie pozostaną obojętne w wypadku inwazji Sowieckiej na Jugosławię.
27-8-68	Na Konwencji partii Demokratycznej w Chicago wiceprezydent Humphrey otrzymał nominację na kandydata partii w wyborach prezydenckich. Przed siedzibą konwencji doszło do gwałtownej bójki policji z tłumami demonstrantów.
28-8-68	Na Zachód nadechodzą wiadomości o koncentracji wojsk sowieckich na granicy Rumunii. Władze rumuńskie zaprzeczają, jakoby ogłosiły tajną mobilizację.
29-8-68	Z Bonn nadeszły wiadomości o porozumieniu Chrześcijańskich Demokratów i Wolnych Demokratów ze skrajną partią pravicową NPD, przynajmniej w dwóch okręgach wyborczych w Dolnej Saksonii, by nie dopuścić do zwycięstwa socjalistów.
30-8-68	W Kongo (Brazzaville) ogłoszono stan wyjątkowy po nieudanym zamachu stanu.
31-8-68	Sowiety poinformowały Stany Zjednoczone, że nie zamierzają dokonać inwazji na Rumunię.

KULTURA I NAUKA

Międzynarodowy Kongres Geologiczny w Pradze nie przerwał obrad mimo wejścia wojsk okupacyjnych. Uczniowie sowieccy zdjęli z klap marynarek swe emblematy narodowe, a uczniowie polscy — jak podało wolne radio Praga — wyrazili ubolewanie z powodu udziału wojsk polskich w inwazji.

W Radomiu natrafiono na cmentarz sprzed 25 wieków. Znalaziono wiele przedmiotów z brązu.

„Tydzień Polski” połączony z wystawą przemysłową w Glasgowie został odwołany na żądanie władz miejskich, z powodu udziału PRL w inwazji Czechosłowacji.

W Moskwie wykonano po raz pierwszy oratorium Moisiejego Weinberga „Kwiaty Polskie” do słów J. Tuwima.

Prasa brytyjska zamieszcza entuzjastyczne recenzje z wystawionej na Festiwalu Edynburskim sztuki „Acropolis” w wykonaniu zespołu teatru eksperymentalnego z Wrocławia pod kierownictwem artystycznym Grotowskiego.

RÓŻNE

Ks. Bp Stanisław J. Brzana sufragan Diecezji bufałowskiej mianowany został przez papieża ordynariuszem diecezji Ogdensburg (północna część Stanu New York).

Międzynarodowy Instytut Prasy złożył hołd dziennikarzom czechosłowackim za ich odwagę w przekazywaniu prawdy.

Przed siedzibą Ośrodka Kultury Czechosłowackiej w Warszawie mieszkańcy stolicy składali kwiaty.

Nowa dewaluacja cruzeira w Brazylii.

„Żołnierze radzieccy są głęboko zaniepokojeni knowaniami sił anty-socjalistycznych w Czechosłowacji” — pisze *Krasnaja Zwiezda*.

Zmarł w Löwenstein koło Stuttgartu ks. dr Jan Manthey pronotariusz apostolski, sekretarz papieskiego Instytutu Archeologii w Rzymie.

Algier uwolnił Boeinga izraelskiej linii lotniczej „El Al”.

DATA	POLITYKA
1-9-68	Hubert Humphrey wybrał jako kandydata na wiceprezydenta polityka polskiego pochodzenia, senatora Edmunda Muskie. Rząd francuski anuluje wizytę Gomułki w Paryżu, jako w obecnej chwili niepożądaną.
2-9-68	Władze sowieckie wznowiły oskarżenia, że Niemcy Zachodnie ingerowały w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji.
3-9-68	Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna w NRF wezwała do zdecydowanego wzmocnienia Paktu Atlantyckiego w związku z inwazją Czechosłowacji.
4-9-68	Prasa amerykańska podaje, że Sowiety przeprowadziły doświadczenie z rakietą o wielu głowicach nuklearnych. Stany Zjednoczone dysponują już takimi rakietami.
5-9-68	Kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych z ramienia partii Republikańskiej, R. Nixon, wypowiedział się za stosowaniem sankcji gospodarczych wobec Sowietów, by zmusić Moskwę do przyznania większej wolności krajom Europy Wschodniej.
6-9-68	Chiny komunistyczne ogłosiły utworzenie Komitetów Rewolucyjnych w dwóch ostatnich prowincjach, które sprzeciwiały się jeszcze rewolucji kulturalnej: w Sinkiang i w Tybecie.
7-9-68	Banki centralne świata zachodniego udzieliły W. Brytanii gwarancji kredytowych na sumę dwóch miliardów dolarów. Ma to stopniowo doprowadzić do ograniczenia roli funta, jako waluty rezerwowej świata.
8-9-68	Do Rumunii przybył z wizytą oficjalną brytyjski minister Spraw Zagranicznych Stewart. Odwołał on natomiast zapowiedziane wizyty w Bułgarii i na Węgrzech, ponieważ wojska tych państw wzięły udział w inwazji na Czechosłowację.
9-9-68	Prezydent de Gaulle napiętnował w ostrych słowach inwazję sowiecką na Czechosłowację, ale podkreślił, że Francja nie zrezygnuje ze swej polityki pojednania ze Wschodem i nie zamierza zacieśniać swych związków z Sojuszem Atlantyckim.

KULTURA I NAUKA

Na placu Czerwonym w Moskwie doszło do demonstracji przeciw inwazji Czechosłowacji. Władze aresztowały poetkę Gorbaniewską, poetę Delone, uczonych Litwinowa, L. Daniel, K. Babitskij oraz krytyka Feinberga i robotnika Dremługę.

Nowy film R. Polańskiego „Dziecko Rosemary” nakręcony w Hollywood zdobył wiele pochlebnych recenzji w prasie.

Kultura przyznała tegoroczną nagrodę literacką w wysokości F. 5.000 tygodnikowi czechosłowackiemu *Literarni Listy*.

Ponad 30 tysięcy osób nie dostało się w tym roku w Polsce na wyższe uczelnie. Rektorom i ministerstwom odebrano pule miejsc rezerwowych.

M. Andrusiewicz, esperantystka z Jeleniej Góry zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie literackim w Madrycie za utwór pt. „Bedaurinde” — Nadzieja.

RÓŻNE

Związek Młodzieży Katolickiej w Bawarii podjął uchwałę, że jej oddziały w poszczególnych diecezjach zajmą się poszczególnymi krajami Europy Wschodniej, by umożliwić w przyszłości lepsze zrozumienie między Wschodem a Zachodem.

Prasa zachodnia podaje, że władze w Polsce ustanowiły medal za udział w inwazji Czechosłowacji.

Podwójne trzęsienie ziemi w Persji spowodowało śmierć ponad 20.000 ludzi. Ponad 100.000 jest bez dachu nad głową.

Zmarł w Londynie gen. bryg. Leon Strzelecki, legionista i beliniak. Żył 73 lata.

Ujawniono, że w Algierii znajduje się pewna ilość sowieckich ekspertów wojskowych oraz ponad 1.000 specjalistów z innych dziedzin, m.in. 200 inżynierów w przemyśle naftowym.

Miedzy Izraelem a Egiptem doszło do gwałtownej wymiany ognia artyleryjskiego na linii Kanału Sueskiego.

DATA	POLITYKA
10-9-68	88 czołowych intelektualistów moskiewskich wystosowało list protestacyjny wobec najazdu sowieckiego na Czechosłowację.
11-9-68	Senator Edmund Muskie wypowiedział się za wycofaniem wojsk amerykańskich z Wietnamu.
12-9-68	Albania wystąpiła formalnie z organizacji Układu Warszawskiego.
13-9-68	<i>Svobodne Slovo</i> donosi że parlament czechosłowacki zażądał, aby sprostowano wiadomość podaną przez warszawską <i>Trybunę Ludu</i> jakoby parlament czechosłowacki wypowiedział się był 27 sierpnia za polityką neutralności.
14-9-68	Według <i>Corriere della Sera</i> trwa ożywiona działalność włoskich przywódców komunistycznych, którzy w spotkaniach bilateralnych starają się wytłumaczyć towarzyszom ze Wschodu swoją linię polityczną: Pajetta był w Bukareszcie i w Budapeszcie, Galluzzi w Belgradzie, Cossutta w Moskwie; na 16 września wyznaczono wyjazd Galluzziego do Sofii. Z tych rozmów wyłączona jest ze zrozumiałych przyczyn Warszawa: komuniści polscy najostrożniej w całym „bloku” skomentowali krytyczną postawę włoskiej partii komunistycznej wobec inwazji Czechosłowacji.
16-9-68	
17-9-68	W Warszawie, w Sofii, w Pankow i w Budapeszcie złożone zostały przez ambasadorów czechosłowackich noty protestacyjne przeciw „kłamliwej kampanii” pod adresem przywódców czechosłowackich w prasie tych krajów. Szczególnie ostro został sformułowany protest przeciw działalności Radia Węłtawa, które pod kontrolą sowiecką nadaje z NRD.
	Ota Szik został mianowany radcą handlowym ambasady czechosłowackiej w Belgradzie. Kolaboracjonistę Koldera wyznaczono równocześnie na identyczne stanowisko w Sofii.
19-9-68	„New York Herald Tribune” z 19 września donosi, że 7. IX. 68 w małym miasteczku czeskim Jiczin, koło granicy polskiej, dwaj pijani żołnierze polscy zastrzelili 24-letniego robotnika Jarostawa Vesely i 56-letnią Zdenę Klimesovą, oraz zranili pięć osób. Krótki komunikat miejscowej sekcji partii komunistycznej stwierdza: „Los zabitych i ranionych jest symboliczny dla naszych tragicznych czasów”. Spór o to kto ma sądzić zabójców — Polacy czy Czesi — nie został jeszcze rozstrzygnięty w dwa tygodnie po fakcie. Stacjonowany w Jiczinie polski oddział czołgów przesunięto na odległość pięciu kilometrów od miasteczka.

KULTURA I NAUKA

W Londynie rozpoczął się Tydzień Filmu Rumuńskiego.

Katolicki Uniwersytet Lubelski obchodzi w tym roku 50-lecie swego założenia i działalności. Jubileuszowe sesje naukowe, imprezy artystyczne i sportowe trwać będą przez cały rok akademicki 1968-69.

Uroczystości centralne odbędą się w dniach 19-20 października 1968 roku.

RÓŻNE

Rząd belgijski podjął decyzję sporządzenia ewidencji ludności na taśmie magnetycznej „mózgu elektronowego”. Będą tam zapisywane wszystkie dane dotyczące mieszkańców Belgii. Każdy mieszkaniec otrzyma stały numer ewidencyjny.

W wypadku samolotowym między Ajaccio-Nicea zginął wybitny atomista polski, Jerzy Sawicki; żył lat 37.

Zmarł w Lozannie Józef Potocki, ostatni ambasador R.P. w Madrycie.

Adam Bartosz, redaktor *Gwiazdy Polarnej* (Stevens Point, Wis., USA) po 50-letniej pracy dziennikarskiej i społecznej wycofuje się z działalności.

Zmarł w Londynie Antoni Borman, czołowy współpracownik *Wiadomości Literackich* od początku ich istnienia, a potem *Wiadomości* londyńskich. Żył lat 71.

Listy do Redakcji

Rzym, 14 sierpnia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 5/247 *Kultury* (z maja 1968 r.) na str. 131 autor artykułu pt. „Duchowieństwo na emigracji” twierdzi, że:

„Gdy jest zapotrzebowanie, powiedzmy na pięciu księży zagranicę, Frankowski w imieniu swych mocodawców, i w ścisłym z nimi porozumieniu, przedstawia Prymasowi listę 9 księży, na których wyjazd władze zezwolą i z tej tylko listy Prymas może wybrać owych pięciu”.

Jako Delegat Prymasa Polski dla duszpasterstwa emigracji polskiej i z Jego upoważnienia oświadczam, że wyżej przytoczone twierdzenie autora artykułu jest całkowicie niezgodne z prawdą, a tym samym wyrządza krzywdę Księdzu Prymasowi i duszpasterzom polskim pracującym na emigracji.

Zamieszczenie tak dalece nieprawdziwej i oszczerczej notatki o Prymasie Polski jest smutnym objawem i świadczy o braku odpowiedzialności autora artykułu za to, co w nim napisał.

Z wyrazami poważania,

Bp Władysław RUBIN



Melbourne, 26 sierpnia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Korzystając z tego, że list J.E.Ks. Biskupa Władysława Rubina przyszedł za późno, aby być zamieszczonym wcześniej niż w numerze październikowym, był Pan uprzejmy przesłać mi do wglądu ów list, sugerując wyjaśnienie. Toteż pozwalam sobie prosić o zamieszczenie poniższego:

Jeżeli informacja zawarta w mym artykule jest istotnie krzywdząca i oszczercza dla Prymasa Polski i Duchowieństwa na Emigracji, chętnie za nią przeproszę, albowiem — co jest chyba jasne z całego artykułu — nie miałem intencji szkodenia, ani tym bardziej zniesławiania. Zawsze — mimo, że ludzka natura tego nie lubi — przepraszam za mimowolnie wyrządzoną krzywdę, a gdy ktoś przekona mnie o myłności mych opinii, zmieniam je. Ale mam takie głupie podejście, że nie można mnie zahukać autorytetami, a jedynie przekonać argumentami i faktami. Obowiązkiem wobec własnego sumienia jest obrona prawdy, tak jak ją widzę. Ponieważ dalej jestem przekonany o prawdziwości mej informacji, zapytuję z prośbą o wyjaśnienie:

Jak rozumieć niezaprzeczalne fakty, że niejednokrotnie Biskupom i innym przedstawicielom Episkopatu władze PRL odmawiały paszportów i wiz wyjazdowych do Rzymu czy dokąd indziej? Jak wyjaśnić znane publicznie fakty, że wielu księżom krajowym uniemożliwiono wyjazd z Polski, a emigracyjnym księżom nie dano wiz wyjazdowych do Polski? Czy Ksiądz Biskup chce abyśmy wierzyli, że każdy obywatel PRL, a szczególnie ksiądz katolicki, może w każdej chwili otrzymać paszport i wizę wyjazdową bez trudności? I że władze PRL są w tej materii życzliwe i nie pozwoliły sobie nigdy na szyskany? Czy istotnie każdy desygnowany na wyjazd przez Księdza Prymasa biskup i ksiądz, lub nawet działacz świecki, otrzymał bez trudności wizę i czy wyjazd takich ludzi zależał wyłącznie od Prymasa Polski? Jeżeli tak, to proszę o fakty i dane.

Łączę wyrazy szacunku,

Andrzej CHCIUK

Paryż, 25 września 1968.

Drogi Panie Redaktorze,

Uważam za celowe ogłosić tekst listu, który (w pierwszych dniach bm., czyli kilka tygodni temu) wysłałem — pocztą poleconą — do premiera P.R.L. Cyrankiewicza.

Prosząc o zamieszczenie tekstu tego listu w Pańskim Piśmie, pragnę powtórzyć zapewnienie, że ewentualne odpowiedzi premiera Cyrankiewicza na sformułowane przeze mnie pytania, wykorzystam w mej książce z najgłębszą lojalnością.

Łączę uścisk dłoni i najlepsze pozdrowienia,

Michał BORWICZ

Paryż, dn. 4. IX. 1968.

Szanowny Pan
Premier JÓZEF CYRANKIEWICZ
Prezydium Rady Ministrów
Warszawa

Ekscelencjo,

Jestem autorem szeregu książek (w tym kilku w języku polskim), dotyczących głównie II Wojny Światowej ze szczególnym uwzględnieniem hitlerowskiej okupacji w Polsce. Książki moje zyskały opinię prac obiektywnych, opartych na poważnej i zawsze gruntownie sprawdzonej dokumentacji. W trosce o ustalenie szczegółów kontrowersyjnych, wypadało mi niejednokrotnie zwracać się do różnych mężów stanu z prośbą o odnośne ustalenia lub oświecenia. Ta także troska dyktuje mi niniejszą prośbę do Jego Ekscelencji.

Biorąc pod uwagę przedmiot mojej prośby, uważam za właściwe dodać, że jestem Żydem. Jak dotąd, nikt nie posądził mnie jednak o anty-polskość. W okresie „kultu jednostki” pewne gazety w Polsce, w artykułach przeznaczonych na wywóz (i w istocie przedrukowanych w gazecie komunistycznej, wydawanej w Paryżu) wymyślały mi wprowadzić od „jednego z hersztów A.K.-owskich bandytów” insynuując w kontekście, że „jako taki” brałem bez mała udział w mordowaniu Żydów. Ponieważ chodziło o wersję z „na zawsze minionej epoki błędów i wypaczeń”, nie sądzę, by jeszcze obecnie należało się z tych zarzutów usprawiedliwiać. A oto moja prośba:

Podjąłem pracę nad tomem komentowanych dokumentów (który ukaże się w języku francuskim) p.n. *Auschwitz Judenrein* czyli „Polska” droga do socjalizmu. W trosce o uniknięcie mimowolnych pomyłek, byłbym wdzięczny Jego Ekscelencji za łaskawą odpowiedź na następujące pytania:

1) Rewelację, którą można wyrazić skrótem *Auschwitz Judenrein* uzasadnił później — z właściwą mu przenikliwością i erudycją — wybitny badacz, ideolog i teoretyk Kazimierz Rusinek (w „Polityce”). Tym niemniej palma pierwszeństwa w proklamowaniu tejże rewelacji przynależy niewątpliwie Jego Ekscelencji, który odkrył i ujawnił ją w przemówieniu wygłoszonym dn. 16. IV. 1967 z okazji inauguracji pomnika w Oświęcimiu. Odnośnie całości tego przemówienia, ja (w przeciwieństwie do większości publicystów zachodnich, którzy itd.) znajduję w nim cały szereg myśli bardzo słusznych. Tych ostatnich nie omieszkam zacytować, a nawet zestawzić ich z odpowiednimi ustępami przemówienia Jego Ekscelencji w Nowym Jorku, na nadzwyczajnej sesji ONZ w sprawie wojny izraelsko-arabskiej, z ustępem

dotyczącym Żydów, a raczej w ogóle osób żydowskiego pochodzenia (nawiasem: do którego pokolenia?) w przemówieniu sejmowym z 10. IV. 1968 z przemówieniem z 31. VIII. 1968 itd. To już jednak rzecz konfrontacji tekstów w odniesieniu do innych problemów. W tekście oświęcimskiego przemówienia Jego Ekscelencji znajduję wszakże następujące zdanie: „Jest z nami młode pokolenie, które wie, że (itd.) hitlerowcy musieli uchodzić z tej ziemi i wysadzać w powietrze komory gazowe i krematoria przeznaczone *następnie* (moje podkreślenie M.B.) dla eksterminacji narodu polskiego”. Ponieważ w całym tekście tegoż przemówienia nie znalazłem nawet najmniejszej wzmianki przeciw komu ciż hitlerowcy używali tychże komór gazowych i tychże krematoriów *przedtem*, będę wdzięczny Jego Ekscelencji za łaskawą na ten temat informację.

2) W kilku mych książkach znajdują się wzmianki o pomocy, jakiej Jego Ekscelencja — będąc sam więźniem Oświęcimia — udzielił tam różnym Żydom. Skoro jednak Żydów w Oświęcimiu nie było w jaki sposób Jego Ekscelencja mógł udzielić im pomocy?

3) Według oficjalnej tezy PRL, cała Polska była — w czasie hitlerowskiej okupacji — zajęta ratowaniem Żydów. Cała, tzn. łącznie z formacjami p. Bolesława Piaseckiego (obecnie jednego z czołowych współ-ideologów PRL), z p. Korczyńskim (obecnie generałem) itd. itd. itd. W związku z tym (i abstrahując w niniejszym liście od całokształtu innej dokumentacji) pozwalam sobie zapytać, czy ustępy z referatu Jego Ekscelencji, wygłoszonego w r. 1945 (a więc za świeżej pamięci!) p.n. „Oświęcim walczący” (z którego cytaty umieściłem w mej broszurze p.n. „Organizowanie wściekłości” na str. 10-11, 40-41, w niektórych mych książkach francuskich itd.) są autentyczne, czy też chodzi jedynie o apokryfy, sfabrykowane przez międzynarodowe żydostwo?

4) W związku z zaburzeniami studenckimi w Warszawie, Jego Ekscelencja osobiście podpisał wyrzucenie z zajmowanych stanowisk itd. rodziców studentów oskarżonych (słusznie czy niesłusznie) o organizowanie lub przyczynienie się do tych zaburzeń. W prasie zachodniej owe sankcje na rodzicach za stanowisko ich synów wywołały komentarze, które Jego Ekscelencji są na pewno znane. Zważywszy, że cała prasa zachodnia mogła — i w tym wypadku — być inspirowana przez „tajne mocarstwo mędrców Syjonu”, wykonując zlecenia N.R.F. i hitlerowskich zbrodniarzy wojennych (których obecność w Izraelu zdemaskował z właściwą mu prawdomównością, bystrością umysłu i finezją, wspomniany już wyżej erudyta Kazimierz Rusinek) radbym — celem uniknięcia wszelkiej jednostronności — zamieścić w mej książce odpowiedź Jego Ekscelencji na następujące pytanie: — Co sądziłby Jego Ekscelencja, gdyby premier Sławoj-Składkowski przedsięwziął represje przeciw śp. Ojcu Jego Ekscelencji za działalność Jego syna Józefa na Uniwersytecie Jagiellońskim za rządów Sanacji i Ozonu?

5) Wiadomo, że odwetowcy (rewanżyści) Niemiec rekrutują się przede wszystkim pośród byłych uchodźców z polskich Ziem Odzyskanych i z Sude-tów. Nie mówię z uchodźców, lecz z *byłych* uchodźców, ponieważ w międzyczasie ci ostatni zostali wcieleni do społeczeństwa niemieckiego. Założmy jednak, że — zamiast wcielić ich do swojej ludności — rząd niemiecki: a) umieściłby wszystkich tych uchodźców, ich dzieci i wnuki (urodzone już w samych Niemczech!) w permanentnych obozach specjalnych; b) dla utrzymania ich pobierałby systematycznie w ciągu ponad dwudziestu lat, ogromne sumy od ONZ; c) wykorzystywałby ten stan rzeczy, by wzniecać i intensyfikować w owych obozach permanentny fanatyzm anty-polski; d) formowałby w tychże obozach grupy terrorystyczne, zaopatrując je w broń i instruktorów; e) wysyłałby formowane w ten sposób grupy na polskie Ziemie Odzyskane z misją popełniania tam sabotaży i zamachów. Jak osadziłby Jego Eksce-

lencja tego rodzaju „walkę wyzwolenczą”? Pozwalam sobie przy tym przypomnieć, że paralełę między polskimi Ziemiami Odzyskanymi i Izraelem oraz między niemieckimi i arabskimi uchodźcami przeprowadził szeroko sam prezydent Nasser w wywiadzie udzielonym Gerhardowi Freyowi, wydawcy głównego organu neo-hitlerowskiego „Deutsche National und Soldaten-Zeitung” (nr z 1. V. 1964). Chociaż w bieżących okolicznościach prezydent Nasser posiada chwilowo przyczyny, by nie powtarzać tej paraleli, nie ulega przecież wątpliwości, że odwetowcy z „Deutsche National und Soldaten-Zeitung” śledzą dokładnie wypowiedzi polskich mężów stanu i nie omieszkają się do nich odwoływać. Z tej przyczyny odpowiedź, o którą proszę Jego Ekszelencję jest tym bardziej istotna dla sprawy polskich Ziem Odzyskanych.

By nie nadużywać uprzejmości Jego Ekszelencji, ograniczam się celowo do tych kilku pytań, związanych najściślej z komentarzami do oficjalnych wypowiedzi Jego Ekszelencji. Nie muszę jednak dodawać, że książka moja obejmie również liczne dokumenty, odnoszące się do całego szeregu innych dokonań P.R.L. Jest przy tym rzeczą naturalną, że oddzielny rozdział poświęcony będzie udziałowi Rządu Jego Ekszelencji w przygotowaniach oraz udziałowi wojsk P.R.L. w zbrojnej walce (czyżby pod hasłem „Za Wolność Naszą i Waszą”?) o wyzwolenie Czechosłowacji od „syjonistów”, w walce prowadzonej ramię w ramię z odwiecznymi sprzymierzeńcami Polski, w tym z wojskami niemieckimi (pod wodzą generała Hansa Ernsta, byłego podoficera Wehrmachtu), które to wojska niemieckie posiadają — jak wiadomo — bardzo chlubne tradycje zarówno w walce z „syjonistami”, jak w „wyzwoleniach” Czechosłowacji.

Jestem głęboko przekonany, że Jego Ekszelencja doceni w pełni moją troskę o obiektywizm i nie odmówi mi informacji o które proszę. Przy sposobności pozwalam sobie pogratulować Jego Ekszelencji z okazji tego nowego etapu w Jego biografii. Nie wątpię, że etap ten wejdzie do historii i to ten przede wszystkim, zgodnie z zasadą, że punkt dojścia wieńczy dzieło.

W oczekiwaniu łaskawej odpowiedzi, proszę Jego Ekszelencję o przyjęcie wyrazów zapewnienia najdalej posuniętej rzeczowości w opracowaniu.

Michał M. BORWICZ

6 września 1968.

Drogi Panie Redaktorze,

W ogłoszonym w nrze 8/9-250/1 „Apelu czterech S” dostrzegam pewne nieścisłości polskiego tłumaczenia z oryginalnym tekstem czeskim, wydrukowanym w specjalnym dodatku do „Literarnich Listów” w ilości 250 tysięcy egzemplarzy.

Nie są one być może bardzo istotne i nie warto by się było nad nimi zastanawiać, gdyby nie historyczne znaczenie tego dokumentu. Chciałbym więc zwrócić uwagę przede wszystkim na dwie rozbieżności:

1. Z „czterech S” w języku czeskim (Socialismus, Spojenectvi, Suverenity, Svoboda) po polsku musimy zrezygnować ze słowa „swoboda” gdyż ma już dziś inne znaczenie i zastąpić go słowem „Wolność”. Natomiast „spojenectvi” oznacza nie tyle „przyjaźń” lecz przymierze, czyli „sojusz”. Użycie tego wyrażenia uwypukliłoby lepiej intencję autorów i podpisujących, którym zależało na podkreśleniu przynależności Czechosłowacji do Układu Warszawskiego.

2. Notka tłustym petitem w „Kulturze” podaje, że apel został skierowany do 14-tu członków Prezydium KC w porządku alfabetycznym, „aby wyeliminować posądzenie o robienie różnic pomiędzy wymienionymi osobistościami; wszyscy w równym stopniu ponoszą pełną odpowiedzialność narodową”.

Analiza tekstu czeskiego prowadzi do nieco odmiennego wniosku. Adresaci zostali podzieleni na dwie wyraźne grupy, a do niektórych z nich apel zwraca się w bardzo szczególny sposób. Oto tłumaczenie ustępu apelu skróconego w notce:

„Towarzyszu Barbirek, Bilak, Czernik, Dubezek, Kolder, Kriegl, Piller, Rigo, Smrkowsky, Szpaczek, Szwestka; towarzyszu Kapek, Lenart i Szimon — możliwe, że nie we wszystkim macie jednakowe poglądy. Niektórzy z was, choć odnieśliście wspólnie zwycięstwo styczniowe, pozostają pod ostrzałem ostrej krytyki za swoje przedstyczniowe błędy. Taki jest los polityka. Lecz siedem miesięcy jakie upłynęły od stycznia wykazały, że nikt nie zamierza zamienić tej krytyki w krwawą zemstę. Byłoby naprawdę tragiczne, gdyby wasze osobiste poglądy miały przeważać nad odpowiedzialnością, jaką obecnie ponosicie za 14 milionów 369 tysięcy ludzi, która to liczba was także obejmuje”.

Podział na dwie grupy — jedenastu i trzech — wydaje się raczej zaskakujący gdy chodzi o dobór nazwisk. Nie wchodzi w kryteria jakimi się posłużono w dniu ogłoszenia apelu. Może była to kwestia przypadku. Lecz dalszy tekst jest charakterystyczny i stanowi — w moim przekonaniu — ważną część dokumentu.

Ostatnia uwaga. W sensie stylistycznym i literackim apel jest swego rodzaju pomnikiem językowym. Ta jego cecha zaginęła niestety w polskiej wersji.

Łączę uścisk dłoni i pozdrowienia,

Paweł ZAREMBA

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlatern-gasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 28, Que., Tel. : 488-5224; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikleciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book C° 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. Y. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

Zapowiedzi wydawnicze

W PAŹDZIERNIKU 1968 UKAŻĄ SIĘ:

SPECJALNY ZESZYT « KULTURY »

poświęcony wydarzeniom czechosłowackim



TOM 23 « DOKUMENTÓW »

RAPORTY AMBASADORA REALE

*Eugenio Reale był ambasadorem włoskim w Warszawie
w latach 1945-1946*



TOM 24 « DOKUMENTÓW »

UKRAINA 1966-1968

Rosnący ruch oporu na Ukrainie

Cena 5,00 F